

# HISTERIA

Wpadniesz w nią i TY

magazyn [histeria.pl](http://histeria.pl)

LISTOPAD 2015/6

PO STYCZNEJ  
**STEFAN GRABIŃSKI**

GOŚĆ SPECJALNY:

**SYLWIA BEACH**

Guślarz, Ligeja  
i Wendigo  
**Martyna Major**

CZERWONA FREA | JASNOWIDZ  
JESTEŚ SOCJOPATĄ | KARIN | LIMIT  
MARZENIE SPOWITE SMOGIEM | MOGIĘKI  
NIELUBA | WYPADEK PRZY PRACY  
ŻERTWĘ SWĄ ZŁÓŻ, GDZIE STARE CZCZONO BOGI

# SPIIS TREŚCI:

Słowo od redakcji		3
Wyznania Histeryka		4
CZERWONA FREA	Antoni Nowakowski	5
JASNOWIDZ	Jakub Zieliński	20
JESTEŚ SOCJOPATĄ	Sylwia Błach	42
KARIN	Marianna Szygoń	49
LIMIT	Marek Palutkiewicz	59
MARZENIE SPOWITE SMOGIEM	Karol Zdechlik	70
MOGIŁKI	Olga Rot	76
NIELUBA	Martyna Konwińska	80
WYPADEK PRZY PRACY	Jarosław Jakubowski	88
ŻERTWĘ SWĄ ZŁÓŻ, GDZIE		
STARE CZCZONO BOGI	Justyna Lech	97
PO STYCZNEJ	Stefan Grabiński	107
Guślarz, Ligeja i Wendigo	Martyna Major	118

**Redaktorzy naczelni:** Błażej Jaworski, Maciej Zawadzki

**Projekt okładki i skład:** Roman Panasiuk

**Ilustracje:** Marcin Czarnecki, Stanislav Lament, Roman Panasiuk, Izabela Wojciechowska

**Korekta:** Dagmara Adwentowska, Magdalena Kucenty

email: [magazynhisteria@gmail.com](mailto:magazynhisteria@gmail.com)

Witajcie!

Ten numer będzie wyjątkowo dziadowski. Oczywiście mamy na myśli ducha starosłowiańskiego obrzędu, który unosi się nad listopadowym wydaniem, a nie poziom tekstów w nim zawartych. W jedenastej Histerii oprócz sześciu opowiadań przyjętych w zwykłym trybie, znajdziecie teksty laureatów DZIAD(Y)owskiego konkursu. Podium zdominowały panie.

À propos pań. Dokładnie rok temu gościliśmy na naszych łamach Sylwię Błach. Tym razem Jej Mroczna Wysokość zaszczyliła nas opowiadaniem: „Jesteś socjopata”.

W związku z 79. rocznicą śmierci Stefana Grabińskiego postanowiliśmy przypomnieć Wam opowiadanie „Po stycznej”, do którego ilustrację wykonała Izabela Wojciechowska, debiutująca wśród historycznych grafików.

Na deser jak zwykle publicystyczna wisienka na torcie w postaci artykułu „Guślarz, Ligeja i Wendigo”, czyli kreacje obrzędu dziadów w literaturze grozy, autorstwa Martyny Major.

Radzimy jednak zacząć od wywiadu z wrześniowym Historykiem Miesiąca – Pawłem Cieliczko, który zdobył ten tytuł po raz drugi.

Życzymy strasznej lektury.



B. Jaworski i M. Zawadzki

# WYZNANIA HISTERYKA



**Paweł  
Cieliczko**

*Absolwent historii UAM, doktor literaturoznawstwa w Instytucie Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk, pomysłodawca i redaktor almanachów: „Warszawski przewodnik literacki” oraz „Poznański przewodnik literacki”, prowadzi strony internetowe oraz profile na facebooku poświęcone tym projektom. Założyciel i prezes Fundacji na rzecz Badań Literackich, organizator wielu konferencji humanistycznych, redaktor tomów zbiorowych związanych z literaturoznawstwem.*

## ***Głosami naszych czytelników zostałeś po raz drugi Histerkiem Miesiąca. Jakie to uczucie?***

Przyjemne, że aż strach. Przy pierwszym wyborze mogłem mówić o szczęściu debiutanta, niektórzy recenzenci podkreślali też, że dużo głosów przysporzyła mi dobrze napisana scena erotyczna. Powtórny wybór na Histeryka Miesiąca traktuję jako uznanie dla opowiadania oraz zobowiązanie do tego, żeby pisać kolejne i po raz trzeci zasłużyć sobie na nagrodę czytelników Magazynu Histeria.

## ***„Noblowski cyrograf” czy „Sędzia Dago”? Z którego opowiadania jesteś bardziej zadowolony i dlaczego?***

W poprzednim wywiadzie opowiadałem o „Noblowskim cyrografie”, więc tym razem – dla odmiany – muszę wskazać „Sędziego Dago”. „Sędzia Dago” to opowiadanie znacznie trudniejsze, jego akcja rozgrywa się pomiędzy połową XIX wieku a latami 30. XX wieku, ale poszczególne wątki nawiązują do czasów starożytnych, do początków państwa polskiego, a inne myśli sięgają do najświeższych wykopalisk prowadzonych przy poznańskiej katedrze. Do tego jeszcze cała ta skomplikowana konstrukcja została podlana sosem opowieści a’la Lovecraft i połączona kilkoma wątkami. Gdy rozrysowałem sobie konstrukcję opowiadania, to nie wierzyłem, że uda się tak skomplikowaną koncepcję zmieścić na piętnastu stronach i ująć w przejrzystej dla czytelnika narracji. Nagroda czytelników pokazuje, że mi się udało, co mnie bardzo cieszy.

## ***Z jakimi pisarzami chciałbyś znaleźć się w jednej antologii?***

Na razie piszę opowiadania konwencyjne. Magazyn Histeria ogłasza konkurs, daje piętnaście stron do dyspozycji i wskazuje, do czyjego piarstwa należy nawiązać. Te opowiadania traktuję więc jako pewnego rodzaju wprawki literackie, jako ćwiczenia warsztatu.

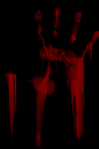
Miło by mi było znaleźć się w antologii z autorami Histerii, takimi jak Krystian Janik, Olga Haber, Przemysław Karbowski. A co będzie dalej, czas pokaże.

## ***Masz jakiś ulubionych autorów, którzy również publikują opowiadania w Histerii?***

Nie lubię grozy dla samej grozy, dlatego najbardziej podobają mi się opowiadania Przemysława Karbowskiego. Myślę, że wynika to z faktu, że nasza metoda pisarska – jeśli tak można powiedzieć – ma pewne podobieństwa. Bierzymy pewne zdarzenia z przeszłości, które są straszliwe, przerażające lub po prostu zupełnie niezrozumiałe, zdarzenia, przy których tradycyjne formy ich wyjaśnienia zawiodły, i staramy się o nich opowiedzieć w kategorii opowiadania grozy. Napisanie opowiadania grozy osnutego wokół barbarzyńskich eksperymentów na dzieciach w czasie okupacji, podobnie jak o samobójczej śmierci wybitnego wydawcy i intelektualisty, pozwala powiedzieć znacznie więcej o ludzkiej naturze, niżeli mogą wyrazić historycy czy biografowie ograniczeni warszatem zawodowym czy powagą swojej publikacji. Opowiadanie grozy staje się nie tylko utworem literackim, daje przyjemność lektury, ale także podważa nasze schematy myślenia, postrzegania świata, narusza poczucie bezpieczeństwa, pokazuje, że psychopaci nie są tylko tworam fantazji pisarzy, ale łatwo znaleźć ich obok nas, wśród ludzi, których byśmy o takie skłonności nigdy nie podejrzewali.

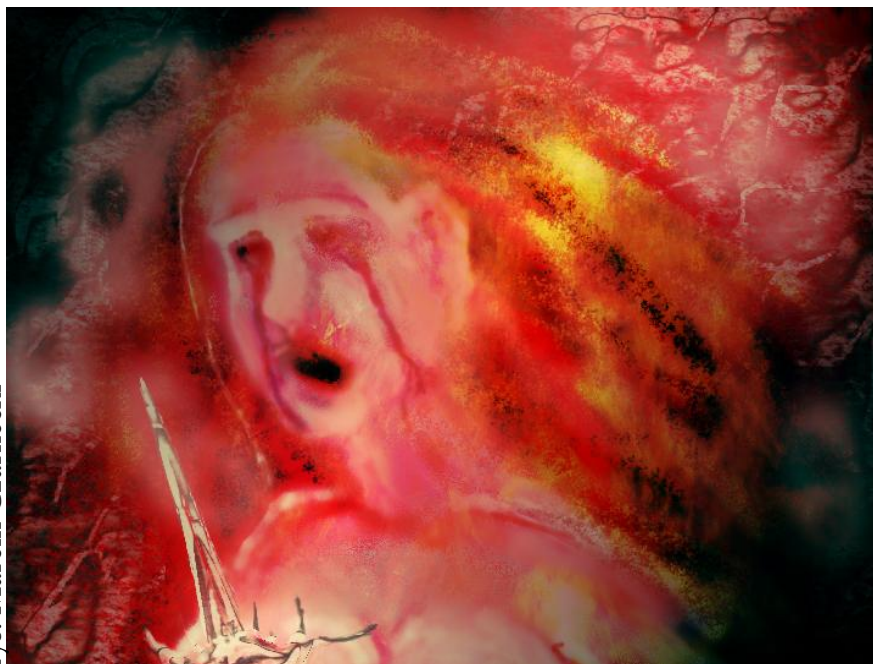
## ***Wymień trzy książki z szeroko pojętej grozy, które zrobiły na Tobie największe wrażenie.***

Pytanie o szeroko pojętą grozę odsyła w zupełnie inne rejony. Prawdziwą grozę odczuwałem, czytając książki, które nie są i pewnie nigdy nie będą zaliczane do kanonu tego gatunku. „Malowany ptak” Jerzego Kosińskiego w paradokumentalny sposób relacjonuje traumatyczne przejścia żydowskiego chłopca ukrywającego się na polskiej prowincji, gdzie widzi ciemną stronę zwykłych ludzi. „Czarny potok” Leopolda Buczkowskiego, eksperymentalna powieść szkatułkowa opowiada o grupie ludzi, którzy w 1943 roku na Podolu walczą z Niemcami i ukraińską policją, uciekając, ukrywając się, żyjąc w ciągłym strachu, gdzie nawet szare krajobrazy widziane są przez pryzmat ich przydatności do ukrycia się przed pościgiem. Wreszcie „Pamiętnik z powstania warszawskiego” Mirona Białoszewskiego, który opisuje swoje przemieszczanie po bramach, piwnicach, podwórkach, świat, w którym wszystko uległo odwróceniu, dom stał się najbardziej niebezpiecznym miejscem, a piwnica azylem. Groza tych książek robiła na mnie największe wrażenie, bo pokazywały one, jak w wyniku nagłego zdarzenia, na które nie mamy żadnego wpływu, cały otaczający nas świat może runąć, wszystkie wartości ulegają odwróceniu, a życie sprowadza się do biologicznej walki o przeżycie. Najgorsze w nich zaś było to, że nie były do tego potrzebne żadne potwory, tylko czynili to zwykli, normalni ludzie.





rys. Marcin Czarnecki



# CZERWONA FREA

Antoni Nowakowski

Pierwszy raz w życiu Ingrid drżała z trwogi. Pociła się z zawłaszczającego umysł strachu. Dłonie trzęsły się niczym liście osiki na wietrze, więc zacisnęła palce w pięści. Nie chciała patrzeć przez otwór okienny w murze komnaty – chłonęła tylko dźwięki dobiegające zza podwórca dworzyszczą. Pozostawało już tylko jedno – słuchać. Z oczyma wbitymi w posadzkę odbierać męczące uszy odgłosy krwawego starcia.

Miarowy łomot tarana zagłuszał wrzaski i jęki walczących wojów. Nie ustawał. Ingrid wiedziała, że w końcu brama pęknie i napastnicy wedrą się do środka. Przełamią rozpaczliwą obronę pozostawionej przez Haralda garstki zbrojnych.

Potężny bal uderzał bez chwili przerwy. Huk miarowych pchnięć przebijał się przez krzyki walczących, rżenia konających i przeraźliwe zawodzenia tych, których trafił

strumień wrzącej smoły. To oznaczało, że wojownicy Rudego Svena uparcie nacierają. Ich bitewne okrzyki coraz bardziej nasyciła pewność tryumfu.

Okuta żelazem głowica kłody drewna uderzała coraz szybciej, brzmiąc niczym chrypliwy głos kruka, zwołującego pobratymców na ucztę z ciał poległych. Taran walił nieprzerwanie, a berserkerzy Svena już wyli w poczuciu bliskiego zwycięstwa. Istniał jeszcze cień nadziei na ocalenie; na odparcie wrogów. Może jej mąż, Harald, wróci z wyprawy i wysiecze w pień wrogów oblegających gródek.

Ingrid wiedziała, co się stanie, jeśli wedrą się do środka. Wybiją rannych, złupią dwór, a potem spalą. Ją Rudy Sven weźmie siłą, i to nie raz. Potem odda swoim wojownikom, żeby też nasycili się jej urodą i młodością. Będą się sycili tak długo, aż męskie nasienie zacznie ciec po nogach gwałconej.

Sven nie potrafił przebaczyć, że odrzuciła jego miłowanie i wybrała Haralda. Uraziła dumę wielkiego jarla, upokorzyła go, może nawet wystawiła na pośmiewisko. Teraz przybył, żeby się zemścić. Gdyby jej mąż i reszta wojów byli tutaj, napastnicy nigdy nie podjęliby szturm. Harald jednak wyruszył przeciwko rabusiom, łupiącym kupców i kmiecie chaty. Zuchwała wataha panoszyła się w jego domenę. Młody knel jarl nie mógł pozwolić na grabienie i wyrzynanie tych, którym przyrzekł opiekę.

Teraz stawało się jasne, że Sven wymyślił chytry podstęp, aby wywabić męża Ingrid i w końcu zdobyć jej ciało.

Ciosy tarana narastały. Trach... trach... trach... Walił coraz szybciej i szybciej, pchany wysiłkiem wielu ramion.

– Pokażcie im głowę tego zdechlaka z mlekiem pod nosem! Pokażcie im, żeby nie liczyli na wybawienie!

Potężny krzyk przebił się przez bitewny rejwach i dotarł aż do komnaty Ingrid.

– Głowę i to, co mu jeszcze oderznąłem!

Ingrid dobrze знаła ten władczy ton. Dobrze pamiętała głos Rudego Svena, jarla sąsiednich włości, pana wielu innych ziem.

Podbiegła do okna. Ktoś za koroną wału wysoko wznosił długą włócznię – wystarczająco wysoko, aby poznała zatkniętą na grocie głowę swego męża. Dostrzegła nawet oczy, wybałuszone w męce konania, wykrzywione usta, skrzepy krwi na poszarpanym fragmencie szyi. I wiszące niżej męskie przyrodzenie, które tak lubiła pieścić w łożu. Usłyszała też jęk, żalostny skowyt obrońców, cichnący wraz z zaciskaniem zębów z rozpaczy.

Krzyki napastników nasilały się. Głowa Haralda zatoczyła łuk. Ktoś machał dzidą, obwieszczając bliskie rozstrzygnięcie walki.

Huk pękających wrót zagłuszył wszystko. Strumień zbrojnych wlewał się na dziedziniec. Błyskały ostrza mieczy i toporów. Wysoki mężczyzna bez hełmu, z grzywą rudych włosów biegł na czele, siekąc na lewo i prawo oszołomionych obrońców. Ich ciała padały na ziemię, jedno za drugim.

Ingrid odwróciła się. Sven tryumfował... Zbliżał się koniec. Zbliżała się chwila próby.

Spojrzała na leżący na stole sztylet, piękną broń o długim i mocnym ostrzu. Zostawił ją Harald przed udaniem się w drogę. Teraz posłuży do tego, o czym myślała od początku napaści.

– Zabijcie wszystkich! Wyrzńcie do ostatniego! – Mocny głos Rudego Svena przepełnił podwórzec. – Ja poszukam tej suki, żeby się nią nacieszyć! A potem nacieszycie się wy, dobrzy moi ludzie! Pamiętajcie też o reszcie niewiast i o skarbczyku Haralda!

Zakrwawiona głownia miecza zamigotała czerwienią, gdy Sven jednym ciosem odrąbał głowę rannemu obrońcy.

Ingrid chwyciła pugiuał. Nadchodził czas, by wbić sobie ostrze w pierś. Nadchodził czas próby.

Rzuciła jeszcze okiem na starą służkę, Thargone, siedzącą w kącie izby.

Kobieta z widocznym na pomarszczonej twarzy spokojem wiązała rzemień na pękato wypełnionym worku. Przedtem raz po raz dreptała do spizarni, wynosząc bochny chleba, półcie wędzonego mięsa i garnce z kaszą. A teraz dłonie starowinki chciwie zacisnęły się na dostrzeżonym obok kominka krzesiwie i hubce.

Thargone uśmiechnęła się radośnie.

\*\*\*

Drzwi do komnaty, wyważone naporem barku Svena, z trzaskiem walnęły o ścianę.

– Teraz cię wreszcie zerznę. Zapamiętasz tę chwilę, długą chwilę, do końca życia. – Sven wytarł o zapaskę Thargone umazaną krwią głownię miecza. Splunął. – Byłaś dla mnie wszystkim, a ty odrzuciłaś moje lubowanie... Gnido, wreszcie poznasz, aż do końca, smak mojej zemsty. Nareszcie się nią nasycę.

Sztylet dziwnie ciążył w dłoni Ingrid, gdy przykładła go pod lewą pierś. Ostrze skierowała nieco do góry, by trafiło prosto w serce. Wystarczyło mocno pchnąć, żeby umrzeć. Żeby Rudy Sven nie dopełnił swojej pomsty.

Opuściła rękę. Z rozpaczą stwierdziła, że nie może zadać ciosu. Nie potrafiła przebić gorączkowo pulsującego serca. Jej serca.

Nie przeszła próby.

Ingrid dobrze wiedziała, czemu tak się stało. Pragnęła żyć. Bezwładne dłonie nie słuchały poleceń umysłu. *Uderzajcie! Uderzajcie! Wepchnijcie ostrze głęboko w ciało, żebym nie zaznała mąk długiego konania!*

Głównia przeszła powietrze. Sven zadał cios płazem broni, celując w palce trzymające pugiinał.

Ingrid jęknęła z bólu. Sztylet potoczył się po posadzce.

– Wielce sprawny oręż... – Sven z uwagą oglądał podniesioną broń. – Zdradliwy i skuteczny jak jad zmii... Podarunek bezgłowego Haralda, co? Nie przydał ci się, a mi tak. Bardzo.

Jednym cięciem pugiinału rozciął suknię Ingrid od szyi aż po brzuch, a potem z całej siły uderzył pięścią w pępek. Raz, drugi, trzeci...

Półprzytomna z bólu Ingrid czuła, że unoszą ją mocne ramiona Svena. Że kładzie ją na stole, a potem zadziera nogi i zakłada sobie na barki. Czuła, że ostrze rozcina resztę sukni, pięknego przydzwiewku, z którego była taka dumna. Próbowwała wierzgać, rzucała się rozpaczliwie, jednak kolejny cios pozbawił ją resztek sił. Kątem oka zobaczyła postacie wojów w hełmach z rogami, trzymających w dłoniach umazane krwią topory. Kilku się oblizywało. Któryś zaśmiał się ochryple.

– Nie lódź się, suko, że uderzę jeszcze raz. – Sven nachylił się nad rozpaczliwie drgającym ciałem kobiety. – Mogłabyś nic nie czuć... Będiesz czuła wszystko i zapamiętasz tę rozkosz do końca życia.

Ingrid dostrzegła, że Thargone, drepcząc wzdłuż ściany, przemyka się do wyjścia. Nikt nie zwracał na nią uwagi. Trzymała w dłoni coś dobrze znanego Ingrid.

Thargone wyносиła z izby rzucony przez Svena na kamienne flizy pugiinał Haralda.

– Ród się o mnie upomni! – Ingrid podjęła ostatnią próbę obrony. W jej umyśle tłukła się jedna myśl: *Nie przeszłam próby. Nie odważyłam się wyjść na spotkanie śmierci.* – Zapłacisz za wszystko!

– A tak... – Rudy Sven parsknął szyderczym rechotem. Rozerwał pętle nogawic i wyciągnął naprężonego członka. – Za każdego usiezonego dam sute pogłównie. Jeśli kapłani naszego nowego boga, Krysta, okażą niezadowolenie, wdzieję wór pokutny i będę leżał krzyżem w ich świątyni. Czemu nie?

Ręce Svena rozwierały kurczowo zaciśnięte nogi Ingrid.

– Ty zaś w końcu zgnijesz na garści grochowin. – Sven nachylił się nad twarzą kobiety. Skrwawiona dłoń zmierzwiła jej włosy, zostawiając czerwone plamy. – Któż zajmie się wdową, która odtrąciła miłość wielkiego jarla i poniosła słuszną karę? Szczejniesz,



ropucho, jednak najpierw poznasz smak mojej pomsty aż po trzewia. Tak głęboko w ciebie wejść.

\*\*\*

Ingrid z trudem otworzyła powieki. Nie chciała się zbudzić z tego stanu półsnu, dziwnej bezprzytomności, w której wiedziała, że nadal żyje, jednak nic nie czuła. Nie chciała wracać do świata złupionego dworzyszczą i rechoczącego z zadowolenia Svena.

Łagodne uderzenia w twarz w końcu zmusiły ją do porzucenia tego dziwnego otępienia, w które zanurzyła się, gdy kolejny wojownik wcisnął swoje przyrodzenie w jej ciało.

– Wreszcie się obudziłaś... Wypij ten kordiał, on ci pomoże. Wypij...

Nie знаła tego kobiecego głosu, słodkiego, a jednocześnie władczego. Ingrid wiedziała tylko, że leży na miękkim pościeliu, a nad nią rozpościerają się nisko zawieszony, poczerńiałe od dymu, grube pnie powały. Wyraźnie słyszała teraz coś innego – świrdujące uszy jęki przerywane charczeniem. Brzmiały tak, jakby kogoś męczył niewyobrażalnie wielki w sile ból. Męczył kogoś, mającego niebawem wydać ostatnie tchnienie.

– Słusznie sądzisz, że Thargone umiera. Poznałam jej imię, gdy cię tu przywlokła. – W głosie zabrzmiała niekłamana troska. Obraz belek przesłoniła wiotka dłoń o długich palcach, trzymających mokłą chustę. Ingrid poczuła, że kobieta wyciera jej czoło i policzki. – Jestem Frea, opiekunka kobiet i dobrych mężczyzn. Wstawaj!

Rzęzenie nasilało się. Ingrid wolno piła napój podany przez Freeę. Miał słodki smak, jak wino z dobrze wystającego, przejrzałego już miodu. Dotychczas zamazany obraz nagle się wyostrzył, jakby kordiał przywrócił zdolność wyraźnego widzenia. Ingrid już dostrzegała wysoką kobietę o długich, kasztanowych włosach, szczupłej twarzy bez zmarszczek i wielkich oczach, patrzących bystro i uważnie. Widziała też wynędzniałą postać o siwych włosach, leżącą na sienniku, przykrytą derką ze skór.

To była Thargone.

Źrenice Ingrid spostrzegły nagle coś dziwnego – wir. Powietrze nad pościeliem umierającej zdawało się krążyć. Kręcić w kółko, w którym nagle pojawiły się liczne twarze, miłe albo wykrzywione w szyderym uśmiechu. Pojawiały się i niknęły, jakby w skocznym tanie na święcie zbiorów. Oblicza kobiet, mężczyzn i dzieci, niezrozumiałe obrazy różnorodnych zdarzeń, pogwarek, narodzin i śmierci.

Wstając, potrząsnęła głową. Zobaczyła omam, złudę, pewnie wywołaną tym, co się jej przydarzyło; zmęczeniem i bólem.

Lej powietrza zniknął. Nagle prysnął, niczym mydlana bańka.

– Co się stało? Czemu umierasz!?! Skrzywdzili cię? – pytania same spłynęły z ust Ingrid.

– Nie, po cóż jurnym wojownikom stara służka... – Słowa Thargone brzmiały niewyraźnie i głucho. – Najwyżej ją kopną. Zmordowałam się, okropnie się zmordowałam.

Słowa Thargone brzmiały teraz wyraźnie. Frea delikatnie wycierała pot z czoła konającej kobiety.

– Byłaś bez czucia – podjęła po chwili Thargone. Jęknęła rozpaczliwie. – Wyniosłam cię. Oni szukali srebra i jantaru, gonili nagie dziewczki, łupili skarbczyk... Ułożyłam cię na wózku. Zabrałam toboły z żywnością, żebyśmy miały spyżę. Wymknęłam się bez trudu.

Powieki starej kobiety zamknęły się, jakby już nie chciała niczego oglądać. Jakby wystarczyło jej, że swoją duszą widziała obraz ucieczki z dworzyszczca Haralda.

– Ciągnęłam i pchałam wózek, aż w końcu pękło mi coś w środku. Nie ustawałam, chociaż krew dusiła mi gardło. Wiedziałam, że Frea nas uratuje.

Thargone znowu zamilkła na chwilę.

– Spłaciłam wszystko – podjęła, dysząc ciężko. – Kiedyś ktoś taki jak Sven obiecywał mi lubowanie. Kochanie... Posiadł mnie, a potem wygnał, gdy stałam się brzemienna. Dziecię urodziło się martwe. Ojciec Haralda przyjął mnie – ciągnęła wolno – szanował... Twój mąż też. Pytał się, jak zdobyć twoją miłość, Ingrid. Doradzałam mu. Dobrze mu doradzałam... Dobrze się na koniec odpłaciłam.

Ingrid pokręciła głową.

Znała tę opowieść. Znała, chociaż nigdy jej wcześniej nie słyszała. Nie wiadomo, w jaki sposób, jednak wiedziała o wszystkim. Pamiętała.

– Odeszła – głos Frei przerwał ciszę. – Musimy ją pochować. Trzeba wykopać głęboki dół, a ciało przywalić kamieniami, żeby go nie rozszarpały dzikie zwierzęta.

Delikatnie nakryła derką skuloną, drobną postać.

– Spójrz, oprócz swego życia, coś ci jeszcze ofiarowała... – W głosie Frei zabrzmiało zdziwienie. – Coś cennego...

Ingrid nachyliła się nad ciałem starej służki.

Thargone w dłoni ścisnęła sztylet Haralda. Długie, dwusieczne ostrze znaczyła głęboka bruzda: od rękojeści prawie do sztychu. Ingrid wiedziała, do czego służy, bo Harald

kiedyś jej o tym powiedział. Spływała nią krew, a ostrze łatwiej wbijało się w ciało. I bez trudu można było je wyciągnąć, żeby zadać kolejny cios.

Ingrid w milczeniu patrzyła na oręż. I na twarz Thargone. Na jej usta.

Wyraźnie słyszała słowa zmarłej, a przecież wargi Thargone nie poruszały się.

Pozostawały zaciśnięte w skurczu bólu, tak jak teraz.

\*\*\*

– Zmienisz się, tak jak zmienia się strumień, gdy skuje go lód i zasypie całun śniegu. Nie poznasz, co pod nim się kryje. – Frea oblizwała łyżkę. Poziomki i borówki, polane suto miodem, pysznie smakowały. – Staniesz się inna. Ten buhaj cię nie pozna. Nie może przejść mu przez głowę nawet cień myśli, że kiedyś się spotkaliście.

Ingrid przytaknęła. Zadomowiła się w siedlisczu Frei, skrytym we wnętrzu okazałego pagóra porośniętego drzewami. Opiekunka opowiadała kiedyś, że w dawnych latach, gdy bogami byli Odyn i Thor, ktoś wzniósł tutaj budowlę z pni, zagłębioną w gruncie, a potem suto osypał ziemią. Może byli to wygnańcy, a może wojowie łakomi na dobro innych, tego Frea już nie była pewna, chociaż wydawało się, że wie prawie wszystko.

Ingrid polubiła też zajęcia wypełniające dzień od świtu do zmroku. Zbieranie ziół, poznawanie ich właściwości, sporządzanie wywarów, driakwi, mieszanin. Garnce i skopce z wytworami rąk Frei zapełniały ściany skrytej w leśnej głuszy sadyby, a teraz przybywało nowych.

Ingrid polubiła opiekunkę – wysoką kobietę o długich, kasztanowych włosach, szczupłej twarzy i przenikliwym spojrzeniu. Ingrid z coraz większą uwagą słuchała jej słów: wytłumaczeń, co do czego służy, a także rozważań o naturze kobiet i mężczyzn, ich sile i słabościach, charakterach i nawykach. Czasami zastanawiała się, skąd Frea to wszystko wie. Nie wyglądała już na dzierlatkę, jednak nie sprawiała wrażenia dojrzałej kobiety. Trzeba było przecież wielu lat, żeby osiąść umiejętności znane Frei. Wielu tuzinów lat...

Ingrid wnet porzucała te rozważania – mówiła sobie w duchu, że zapyta o to, gdy nadejdzie właściwy czas. Gdy zemści się na Svenie.

Szybko zaprzyjaźniła się z wielkimi i groźnymi psami, Czarnym i Szarym, strzegącymi samotni wewnątrz wzgórza, chociaż początkowo budziły w niej trwogę. Szary i Czarny coraz częściej okazywali Ingrid swoje przywiązanie. Zwierzęta cechował nieomylny węch. Z daleka wyczuwały przybyszów, powiadamiając o nich szczekaniem i warczeniem.

Niebawem Ingrid ze zdziwieniem stwierdziła, że właściwie niczego im nie brakuje. Przybywały kobiety z prośbami o radę, o leki, a niekiedy po to, żeby szczerze porozmawiać. Odchodziły uspokojone, zadowolone, szczęśliwe. Zawsze przynosiły dary – wędzone i suszone mięso, płaty tkanin, suknie, srebrne ozdoby. Przybywali też mężczyźni, starsi i całkiem młodzi, równie sowiec odpłacając się za leki i rady Frei.

– Dziwisz się, że tyle wiem... – stwierdziła nagle Frea. Po raz kolejny Ingrid czuła, że opiekunka zna jej myśli. – Bardzo wiele otrzymałam w darze – kontynuowała – równie dużo sama poznałam. Ty też niebawem dowiesz się wszystkiego. Prawie wszystkiego... Wtedy, gdy dopełnisz zemsty, przyjdzie ten czas.

Oczy Frei niespodziewanie błysnęły.

– Wtedy już tu nie wrócę... – odpowiedziała bez namysłu Ingrid. – Nie wiem, co później ze sobą pocznę. Może ród mnie przyjmie, a może nie... Krewni Svena będą mścili się za jego śmierć. Z ręki kobiety...

Odłożyła łyżkę. Skopek borówek z miodem wyjadły już do czysta.

– Pewnie wyślą mnie do klasztoru, żebym pokutowała do kresu swoich dni – ciągnęła wolno. – Nie, lepiej wywędruje gdzieś daleko.

Frea uśmiechnęła się lekko. Powoli pokiwała głową.

– Zostaniesz popychłem, służebną dziewczką w jakimś gródku albo żoną parobka? – spytała kpiąco. – Ty, córka władcy i wdowa po jarlu? Pewnie w końcu skoczysz do studni z kamieniem uwiązany u szyi. Jeśli dokonasz zemsty, wróc do mnie. – Głos Frei zabrzmiał tak mocno, że zaniepokojony Czarny podniósł łeb. – Twój los... inny los... wypełni się do końca.

Ingrid nie chciała pytać, czemu Frea mówi z taką pewnością siebie.

Woda w saganku zaczęła bulgotać. Gotowały tusze zajęcze, sarninę i dziczyznę, niedawno dostarczone przez żony kmieciów. Ingrid chochlą przemieszała zawartość kociołka.

Ciągle przemyśliwała o sposobie pomsty. Wiedziała, jak jej dokona. Nie wiedziała tylko, jak przyciągnie do siebie Rudego Svena. Jarl zajmował spory gród, a okazałe podgrodzie wciąż się rozrastało. Wielu ludzi z jego domeny oglądało Svena tylko na jarlowskich sądach i rzadko już zwoływanych wiecach.

– Staniesz się zielarką, kobietą biegłą w pomaganiu mężom i niewiastom – stwierdziła Frea, smakując wywar. Z uznaniem pokiwała głową. Zdawało się, że znowu z łatwością odczytuje myśli Ingrid. – Wyruszysz do kasztelu tego knura i prędko znajdziesz cizbę chętnych na twoje zioła, maści i sposoby zdobycia miłości...



Ingrid słuchała w napięciu. To, czego nie potrafiła wymyślić, niespodziewanie stawało się naprawdę proste.

– Wielki jarl Sven zechce poznać kogoś, o kim mówi wiele wieści, młodzików i wojów... Mądrą i urodziwą niewiastę – dodała z uśmiechem Frea. – Rozkochasz go w sobie. Ogarnięty zwierzęcą chucią stanie się twój, a jego pierwszy pocałunek okaże się ostatnim. Pocałunkiem śmierci.

Sięgnęła do skrzyni z sukniami. Do tego schowanka wkładała też trzosiki z krążkami srebra, ofiarowane przez możniejszych gości.

Wyjęła dwa grube mieszki i zważyła w dłoni.

– Potrzebni będą pacholki, trzech, czterech, żeby cię strzegli. Ludzie nieulękli i sprawni we władaniu tulichem albo siekierą. Znam takich... Dużo mi zawdzięczają. Paręnaście sztuk srebra wzmocni ich przywiązanie.

Czarny przeciągnął się leniwie i szeroko ziewnął. Wydawało się, że pilnie słucha Frei. Szary ułożył się obok. Z łbem wtulonym między przednie łapy wpatrywał się w obie kobiety.

Zaskomlał.

Frea czule pogłaskała go za uchem.

– Kiedy wyruszę? – Ingrid poczuła nagle uniesienie. Radość ogarniającą duszę na myśl, że dokona zemsty.

– Nie wiedziałam, co począć – mówiła nieskładnie. – Nocami śniłam o Haraldzie, o jego głowie zatkniętej na włócznie, o tym buhaju, traktującym mnie jak jałówkę. A ty, moja opiekunko, znalazłaś sposób.

Wstała od stołu i pokłoniła się głęboko.

– Nieprędko, gołębaczko, nieprędko... – Frea wyciągała z saganka kawały mięsiwa. Wcześniej uzgodniły, że sporą część dziczyzny uwędzą na zimę. – Minie wiele dni... Zmienisz się, bo on nie może cię poznać. Musisz posiadać wiele umiejętności, aby w swoich radach stać się nieomylna. Słaba jurność w łożu – pij wieczorami moje driakwie. Jeśli twoja luba lęka się spółkowania – lubczyk, inne zioła, miłe słowa, powolne pieszczoty ją ośmielą. Pokocha spełnienie.

Podala Ingrid długi nóż. Obie wzięły się za dzielenie jeszcze parujących tusz. Frea rzuciła kiedyś ze śmiechem, że żywią się jak żony jarłów.

– Zmienisz barwę włosów – ciągnęła. – Sok z łupin kasztana i grzebień z ołowiu uczynią cię płomienście rudą. Najpierw niech urosną do pasa i przesłonią twarz. Wybierz sobie nowe imię.

Ingrid wcierała sól w płaty mięsiwa i nacierała je wywarem z ziół.

– Stanę się Freą – stwierdziła Ingrid po chwili zastanowienia. – Czerwoną Freą. Powiem moim knechtom, żeby tak o mnie mówili.

Z uwagą obejrzała sztylet Haralda. Trzymała go zawsze blisko łoża i nie używała do żadnych prac. Miał posłużyć tylko do jednego – poderżnięcia gardła Svenowi.

Frea wytarła dłonie w płat sukna. Przez długą chwilę milczała. Zamknęła powieki. Zdawała się wsłuchiwać w głos niesłyszalny dla innych.

Szary przytulił się do nóg swojej pani. Wielki pies podniósł łeb i wpatrywał się w jej twarz.

– Dobrze, wezmą cię za moją następczynię – stwierdziła za słyszalnym namysłem. Niepodziwianie się uśmiechnęła. – Narodziła się nowa Frea. Opuściła knieję, górskie wąwozy i pustelnicze życie. Nowa Frea... porzuciła życie w głuszy.

Rogowym grzebieniem przecesała włosy. Mówiła dalej, z tym samym uśmiechem, jednak głos nagle nabrał mocy:

– Coś za coś... Niewiele żądam. – Słowa padały wolno. – Pomogę ci, przygotuję, zmienię. Poznasz bardzo wiele. Gdy zaszlachtujesz Svena i wrócisz, wypijesz kordiał. Puchar z nim będzie na ciebie czekał, na tym stole. Przyrzeknij.

Splotła dłonie i kciukami pogładziła się po kształtnej brodzie, jakby jeszcze coś rozważając.

– Przyrzeknij! – powtórzyła z naciskiem. – Wypijesz likwor aż do dna.

– Co zawiera? – Ingrid zbierała myśli. Nie spodziewała się, że opiekunka zażąda odpłaty za pomoc. Dziwne. Kordiał musiał mieć wielką moc, jeżeli Frea tak stanowczo żądała skosztowania go. – Będziesz przecież czekała na mnie?

– Nie lękaj się, znajdziesz mnie tutaj. Znajdziesz... Likwor nie zawiera nic złego. – Frea zmrużyła oczy. Rzuciła zwierzęce gnaty psom. – Gdy go wypijesz, poznasz wszystko. Aż do końca.

\*\*\*

– Mój jarlu, skosztuj tego specjału. Wzmacnia jurność. – Ingrid uśmiechnęła się kusząco. – Przed nami długa noc...

Podawała Rudemu Svenowi złoty kielich. Był wart wiele, bardzo wiele, może nawet ze dwie wsie, jednak Frea ofiarowała go bez wahania.

– Ten wieprz będzie podziwiał drogocenną czarę, więc nie zajmie się jej zawartością – stwierdziła stanowczo. – Pewnie ci ją zabierze. Może okaże łaskę i zechce odkupić za garść

liczego srebra. Oglądając cenny puchar i ciebie, niecierpliwie czekając na zaspokojenie chuci, wypije wszystko bez wahania.

Sven przerwał rozpinanie kaftana. Pociągnął spory łyk napoju.

– Cudownie słodki... Rozkosz dla podniebienia – stwierdził, obracając naczynie. – Taka czara w wozie wędrownego zielarki? Skąd ją masz?

Z widocznym smakiem upił następny haust.

– Często do mojego domostwa przybywają znamienici goście z prośbami o pomoc. – Ingrid luzowała zapinki sukni. Jeszcze jedno pociągnięcie, może dwa, a napój Frei obezwładni ciało Svena. Z utęsknieniem czekała na tę chwilę. – Wręczają cenne dary. Pośpiesz się, bo długo już czekam na spełnienia twojej i mojej żądy...

Poprawiła poduszkę na wezgielciu posłania. Leżał pod nią sztylet wraz z długim i wąskim płatem futra. Ingrid odcięła go od wilczej dery, zabranej z sadyby Frei. Gruba i gęsta sierść ubitych basiorów wspaniale nadawała się do tego, co zamierzała zrobić.

Sven jednym haustem dopił resztę likworu. Przetarł oczy i potrząsnął głową.

– Zaiste, godny królewskiego stołu... – stwierdził, odkładając puchar. – Powinnaś mi go ofiarować za rozkosz, którą zaraz ci sprawię. I to nie jeden raz.

Mówił ospale, jakby wypowiedanie słów sprawiało mu trudność. Znowu potrząsnął głową. Niezdarnie rozpinał kolejne guzy.

– Mój byczku, spocznij na łożu. Zdejmę z ciebie resztę odzienia. – Ingrid delikatnie popchnęła jarla. – Sprawdzę, słodki mój panie, czy przyrodzenie nabrzmiało ci tak, jak oboje tego chcemy.

Sven posłusznie przysiadł na skraju posłania. Uśmiechał się.

Ciężki złoty kielich zatoczył łuk, gdy Ingrid uderzyła nim w głowę jarla. Raz, drugi, trzeci...

Zdawało się, że Sven chce wstać. Już nie mógł. Zamierzał krzyknąć, otworzył usta, jednak tylko wybełkotał coś niezrozumiałego. Wpakowany między zęby futrzany knebel zdusił słowa.

Jarl zwałił się na szerokie łoże jak pień drzewa, ścięty uderzeniem topora.

– Poznajesz, wieprzu? – Ingrid przesunęła sztylet przed wybałuszonymi oczyma Svena. – Zaraz cię sprawię, tak jak ty sprawiłeś mnie i Haralda. Jednak najpierw zdejmę ci odzienie. Przecież przyrzekłam...

Cięta nogawice, najpierw jedną, potem drugą. Sprawnie rozpruła skórzany miśzek, chroniący przyrodzenie Svena.

– Będiesz wszystko czuł, capie, chociaż nie tak, jakbym chciała! – wrzasnęła dziko Ingrid. – Takiej rozkoszy, przeklęty ogierze, nie oczekiwałeś!

Oderżnięte przyrodzenie zostało w dłoni kobiety. Chlusnęła krew, plamiąc jej palce. Ciało Svena wyprężyło się w męce. Oczy stały się szkliste, jakby tracił przytomność.

– Będiesz wszystko czuł, przyrzekłam to sobie, jak czułam ja i Harald! – Jednym ruchem Ingrid wyszarpnęła knebel. Dźgała ostrzem w umięśnioną pierś mężczyzny. – Nie zbiegniesz w otchłań beczucia! Mnie tego nie dałeś! Nie zbiegniesz!

Wsadziła przyrodzenie Svena do jego ust, tłumiąc próbę wrzasku, a potem wolno, uśmiechając się, poderżnęła mu gardło.

Broczące krwią ciało jarla zważyło się na polepę. Jeszcze chwilę charczał.

– Zabrałabym z sobą, wieprzu, twojego kutasa, a później rzuciła Czarnemu i Szaremu na pożarcie, ale pewnie w drodze zacznie śmierdzieć. – Ingrid wycierała sztylet w kaftan. – Napój smakował ci, knurze, ale moja zemsta jest po wielokroć słodsza.

Wiedziała, że musi się spieszyć, zostawić wszystko, zabrać tylko konie i wiernych pacholców, a potem gnać dzień i noc, aby ujść niechybnej pogoni.

Zabierała też coś, co teraz coraz mocniej ogarniało jej duszę – poczucie ukojenia. Zaspokojenia.

I dziwną dla niej samej chęć stania się dawną Ingrid – kochającą żoną wybranego męża, z nadzieją oczekującą na przyjście na świat wytęsknionego potomka.

\*\*\*

Gdy Ingrid zobaczyła porosłe krzewami i drzewami wzgórze, jej serce przeszło dreszcz niepokoju. Strużki dymu nie wydobywały się na zewnątrz, tworząc jak zwykle szarą zasłonę, rozwiewaną przez wiatr. Psy nie wybiegły na spotkanie, radośnie szczekając i skomląc z uciechy.

Ciało Frei leżało na porządnie umoszczonym posłaniu, przykryte aż po brodę grubą opończą. Wnętrze skrytej w ziemi sadyby wyglądało tak, jakby zmarła przed śmiercią doprowadziła wszystko do ładu, a potem wygodnie się ułożyła, naciągnęła okrycie i skołała.

Tylko wysunięta dłoń Frei, z palcami kurczowo zaciśniętymi na figurce kobiety, psuła wrażenie spokoju. Pięknie wyrzeźbiony w drewnie posążek przedstawiał niewiastę o foremnych piersiach z dwoma naszyjnikami na smukłej szyi. Twarz zdobił zadumany uśmiech.

Obok posłania leżały oba psy. Martwe. Szary opiekuńczo trzymał łapę na barku Czarnego.



Frea przesunęła stół na środek izby. Stał na nim kielich nakryty spłachciem białej tkaniny. Piękny, srebrny puchar, inkrustowany misternie wygładzonymi, grubymi bryłkami jantaru.

Twarz Frei wyglądała staro, bardzo staro. Siwe pasma długich włosów otulały chude i pobrużdżone policzki. Na łożu spoczywała kobieta mająca już za sobą wiele dziesiątków lat życia.

Ingrid odchyliła i uniosła górną część opończy. Zobaczyła rysujące się pod suknią obwisłe piersi, zapadnięty brzuch, wykrzywione nogi, jakby kolana i łydki okazały się już za słabe, aby nieść ciężar nawet tak chudego ciała. Gdy się zegnały, Ingrid patrzyła w oczy nadal jurnej kobiety, a teraz widziała kogoś, kto od dawna miał przed sobą tylko jeden gościniec – ścieżkę wiodącą ku śmierci.

Podciągnęła derkę i uklękła.

*Coś za coś... Gdy wrócisz, wypijesz kordiał. Przyrzeknij... Przyrzeknij!*

Ingrid nie wiedziała, czy słyszy te słowa, czy tylko powraca do nich myślami. Brzmiały wyraźnie, dźwięcznie, jakby martwa Frea przypominała o złożonej obietnicy.

Napój w pucharze błyszczał złocistą barwą. Ingrid odnosiła dziwne wrażenie, że emanuje z niego jasny blask. Piła powoli, z coraz większą rozkoszą smakując każdy łyk.

Czuła tylko jedno – ogarniał ją szalejący wir. Wcale nie ciemny, wcale nie przytłaczający. Kręcący się niczym dziecinna fryga jasny lej twarzy, postaci, wspomnień najróżniejszych osób, ich doświadczeń, doznań i najskrytszych tajemnic. Dwa oblicza narastały, olbrzymiały, przybliżały się.

Bez trudu poznała młodzieńcze lico Frei. Drugą twarz, też niewieścią, rozmywał blask wiru. Kobieta uśmiechała się przyjaźnie. Usta bezgłośnie się poruszały.

Ingrid nie wiedziała, jak długo to trwało. Straciła rachubę czasu.

Gdy wir w końcu się rozwiął, wiedziała jedno – poznała wspomnienia zmarłej. Poznała umysł Frei, wchłonęła go, nasyciła nim swoją duszę.

Ingrid zrozumiała, że to się już raz zdarzyło. Nie domyśliła się, że zna myśli Thargone, przekazane po śmierci. Nie pomyślała wtedy, że likwor w pucharze służy nie tylko wzmocnieniu jej ciała. Umożliwił też wchłonięcie wspomnień starej służki.

*Chciałam się wówczas przekonać, czy możesz zostać moją następczynią. – Ingrid z łatwością odczytała niewypowiedziane słowa martwej opiekunki. Zdawały się jak ptak szybować w powietrzu. – Czyniłam tak z wieloma kobietami i żadna nie przeszła próby. Ty tak... Gdy dokonałaś zemsty, wiedziałam, że pojawiła się moja następczyni. Wtedy*

*postanowiłam odejść. Zbyt wiele lat już minęło... Czułam się zmęczona. Zabrałam ze sobą psy. Wiernie mi służyły. Pogrzeb nas wspólnie.*

Ciągle napływało coś nowego, jakby Frea pragnęła na pożegnanie przekazać najistotniejsze wieści.

*Ty też kiedyś odejdziesz, po wielu dziesiątkach lat, a może i później – gdy wyszukasz nową Freę. Gdy nauczysz się przyrządzania tego napoju, likworu przemienienia. Przeistoczenia...*

Ingrid wstała z trudem. Nagle poczuła zmęczenie. Czekał ją pochówek Frei, Czarnego i Szarego.

Myśli Ingrid biegły ospale, jakby umysł jeszcze nie potrafił sobie poradzić z wielością wspomnień tak znacznej liczby osób. Nie czuła się jednak źle, męczył ją tylko ogrom poznanych myśli, doświadczeń, umiejętności.

Znowu nadbiegały nowe słowa.

*Byłam ucieleśnieniem dawnej bogini, nadal nieumarłej. Odeszła wraz ze swoim bratem i innymi bogami, gdy nadszedł czas Krysta. Bogini miłości, płodności i wojny. Opiekunka kobiet. Nie śmiałam przybrać jej imienia. Nie śmiałam.... Nieco je zmieniłam. Zabierz jej posążek, kiedyś go przekażesz komuś innemu. Zabierz, poprowadzi cię dalej, wskaże drogę do poznania sposobu tworzenia napoju przemiany.*

Ingrid już wiedziała – wielka bogini Freya ucieleśniła się w niedawno tak prężnym i młodym ciele zmarłej. W jej duszy i sercu. Teraz ona, zabójczyni Svena, stała się jej następczynią. Teraz Ingrid rozumiała, czemu jej opiekunka nie ośmieliła się przybrać tego samego imienia.

Wyjęła posążek z palców Frei, dziwnie łatwo, jakby zaciśnięta dłoń, skuta zamrozem śmierci, bez oporu poddała się jej woli.

Na skrzyni w kącie ziemianki stało lustro, piękny wytwór rąk biegłego w swoim kunszcie mistrza. Frea i Ingrid lubiły się w nim przeglądać. Teraz Ingrid z uwagą wpatrywała się w swoją twarz, szczupłe oblicze młodej i urodziwej kobiety. W zielone oczy, jakby zasnute mgiełką smutku. W pełne usta, stworzone do całowania.

*Coś za coś* – napłynęła kolejna myśl, a może tylko wspomnienie. – *Coś za coś...*

– Martwa już opiekunka miała rację – z dziwną dla niej samej goryczą stwierdziła Ingrid. – Nie będę już miała męża. Czulego miłośnika, któremu oddałabym ciało i duszę. Nie ucieszę się z dzieci, napełniających mnie szczęściem. Coś za coś. Coś za coś...

Mocno potrząsnęła głową, a potem przeglądała rude włosy. Zmieniły barwę – nie lśniły już płomienistym blaskiem. Wyglądały, jakby nasączyła je ludzka krew.

– Dawna Ingrid odeszła na zawsze – powiedziała sama do siebie – i to się już nie zmieni.

Niespodziewanie westchnęła.

– Narodziła się nowa Frea. Czerwona Frea... Kiedyś inna kobieta mnie zastąpi. Freyo, pomóż mi! Może nie będzie musiała, tak jak ja, odciąć komuś kutasa, poderznąć gardła i ubroczyć dłoni krwią. Może ją to ominie...

Ledwie słyszalny śmiech odpowiedział na błaganie nowej Frei. Czerwonej Frei.

Tylko rozbawiony, dobiegający z daleka śmiech.

rys. Roman Panasiuk



# JASNOWIDZ

Jakub Zieliński

Chwilę po zaparkowaniu samochodu na skraju pola i zamknięciu drzwi, wysiadający ze środka Jacek Tokarski wzdrygnął się z zimna i zapalił papierosa. Powiódł beznamiętnym wzrokiem po skutej lodem okolicy, starając się po raz kolejny odpowiedzieć sumieniu na pytanie: Dlaczego wciąż to robi? Czemu nie zaprzestanie, odpuści? Pozostawi zmarłych ich własnym, niebezpiecznym ścieżkom? Ale jak wcześniej, tak i w tej chwili nie był w stanie odnaleźć ukojenia. Rozcierając zmarznięte dłonie, zastanawiał się dodatkowo, co ma odpowiedzieć człowiekowi, który go tu zaprosił i oczekiwał natychmiastowej pomocy.

Zgasiwszy czubkiem buta niedopałek, wyciągnął z kieszeni telefon i wybrał numer, czując zarazem gwałtowne skurcze w żołądku...

\*\*\*

Niecałe dwanaście godzin później, przemiła gospodyni burmistrza Żarek – pani Zofia – zaoferowała Tokarskiemu pomoc przy wnoszeniu do środka bagaży i skrzyni z jego aparaturą naukową. Pomimo silnego zmęczenia i dręczącego go od tygodnia bólu karku,

jasnowidz zdecydowanie odmówił, niemalże wyrywając spore pudło z rąk zaskoczonej kobiety.

– Miła pani, dziękuję za chęci, ale sam się tym zajmę. To bardzo drogi sprzęt. I do tego ciężki.

– Chciałam tylko pomóc – dodała, cofając się przed nim, niczym przed źródłem nowej plagi egipskiej.

Ciężko sapiący mężczyzna ruchem głowy wskazał na białe drzwi obok stojaka i zapytał szorstkim głosem:

– Tam mam pokój?

– Nie, to wejście do spiżarni. Pan będzie spał na górze, w gościnnym – wyjaśniła, uśmiechając z politowaniem, gdy taszczył po schodach kolejne walizki i inne przedmioty.

– Niby taki mądrała, a jednak się czasem myli – burknęła cicho pod nosem, machając ręką w geście rezygnacji i wróciła do przygotowywania obiadu.

Rozpakowywanie i ustawienie przez mężczyznę aparatu trwało do późnego wieczora. Z racji małej liczby zleceń w ostatnich miesiącach zrezygnował z pomocy asystenta i zajmował się wszystkim samodzielnie. Zagryzając w akcie gorzkiej dumy zęby, tłumaczył to sobie przejściowym kryzysem „na rynku”.

Jednakże, pomimo najszczerzych chęci i swego daru, w żaden sposób nie potrafił określić dokładnego momentu, gdy ponownie wyjdzie na prostą.

Teraz jednak próbował skupić się na wyznaczonym zadaniu i stojących za nim korzyściach materialnych, obiecanych przez starego przyjaciela. Przez wszystkie lata dzielące ich od ostatniego spotkania, myślał o nim wręcz jako o byłym przyjacielu, jednak zaistniałe okoliczności miały najwyraźniej zweryfikować ten status.

Ustawił budzik i zamknął okno, obserwując jeszcze przez moment ośnieżone drzewa i przesiekę między nimi, wiodącą do centrum miasteczka.

W tej dokładnie chwili, wszystko zdało mu się tak zwyczajne... tak proste. Czemu zatem wciąż miotają nim dawne lęki?

I dlaczego, gdy przejeżdżał obok rzeki, całym jego organizmem wstrząsnęła fala spazmów i mdłości?

\*\*\*

Nie tak wyobrażał sobie ich spotkanie po latach. Owszem, w głosie burmistrza Stachowiaka nie było już pokładu gorzkiego sarkazmu, jakiego nie szczędził w przeszłości

dopiero zaczynającemu karierę znajomemu, jednak... Czuł między nimi rodzaj niewidzialnej ściany, oddzielającej realia lokalnej polityki od zjawisk paranormalnych, którym teraz zawierał bezgranicznie. Bardziej niż najśłodszym obietnicom z ust *szczerego* człowieka.

Nic też dziwnego, że ich powitalny uścisk dłoni był tylko pustym gestem kurtuazji, popartym serią komunałów:

– Jacku! Kopę lat! Nic się nie zmieniłeś. Dziękuję ci za szybki przyjazd.

– Nie ma sprawy. W końcu, czego się nie robi dla dawnych znajomych? – łągał, mając teraz przed oczyma wyobraźni listę niezapłaconych rachunków i email, w którym uzgodnili pokażną kwotę „znalezniego” za usługi medium.

– Jak się miewa twoja żona? Acha, mam się do ciebie od teraz zwracać: panie burmistrzu?

– Nie przesadzaj, po imieniu, jak zwykle. A Maria... Pytała o ciebie kilka razy, chciała o czymś porozmawiać. Ale w tej chwili jest zbyt roztrzęsiona. Bardzo to wszystko przeżywa...

– Przykre – odparł sucho Tokarski, zastanawiając równocześnie, czy nie pakuje się w aferę większą niż tylko rutynowe poszukiwanie osoby zaginionej.

Spojrzał wnikliwie w oczy kolegi i delikatnym ruchem głowy wskazał stojącego obok burmistrza mężczyznę, ubranego w policyjny mundur. Polityk dostrzegł jego gest i szybko przedstawił swego towarzysza.

– Wybacz, gdzie moje maniery? Komisarz Piotr Brzecki. Jacek Tokarski. To właśnie o nim ci niedawno pisałem.

– Miło mi poznać. Słyszałem o pana niekonwencjonalnych metodach. I współpracy z policją na Pomorzu. To prawie moje rodzinne strony, urodziłem się w Grudziądzu – stwierdził, uśmiechając się nieszczercze, na co Tokarski odpowiedział dwuznacznym mrugnięciem oka.

– Pan też zatem tutaj na gościnnych występach? Muszę przyznać, Waldku, że się nieźle ustawiłeś – zażartował jasnowidz, jednak obaj rozmówcy nie podzielili jego nastroju. Po chwili niezręcznego milczenia, burmistrz zdecydował się rozładować napiętą atmosferę, zapraszając gości do swego gabinetu na wstępną naradę.

\*\*\*

– Piotrek zna już wszystkie szczegóły, a tobie opisałem część z nich w korespondencji. Kilka dni temu dwójka nastolatków – Anna i Maciek – wyszła ze szkoły. Piątek, ostatni dzień

przed feriami. Wiadomo – młodzi lubią się wyszaleć, a okazji do tego ciągle pełno. Niedaleko stąd, w Goleniowie, była tego dnia dyskoteka. Kiedy nazajutrz matka chłopaka zadzwoniła na policję, myśleliśmy że pewnie się upił i teraz boi wrócić do domu, więc został u znajomych... W niedzielę wieczorem – kolejny telefon. Dalej nic, co gorsza – nikt ich nie widział na tej dyskotecie. Wysłaliśmy dwa patrole i samochód, poszliśmy z psem pod szkołę. Wilczur nie chwycił jednak tropu... Za dużo świeżego śniegu. Dopiero w poniedziałek po południu babcia jednego z ich kolegów zadzwoniła z Jaworznika po tym, jak rozwiesiliśmy wszędzie ich portrety. Widziała, jak w tamtą noc dzieciaki wałęsały się po okolicy, blisko przecinki prowadzącej w dół, do rzeki...

– Rzeki? Niedobrze... – mruknął skupiony Tokarski, unosząc wzrok znad szklanki herbaty. – Macie jakieś ich zdjęcia? Albo coś, co do nich należało?

– Matka Tomka powinna tu być za jakieś pół godziny – odparł włączający się do rozmowy Brzecki, do tego momentu nieobecny wzrokiem gapiący się na śnieg okrywający parapet za oknem. Jacek zmarszczył brwi i wpatrując w zbiór trofeów myśliwskich na ścianie za plecami burmistrza, zapytał głośno:

– Mówisz o jego matce. A co z rodzicami tej dziewczyny?

– Rozmawiasz właśnie z jednym z nich – odparł ponurym głosem Waldek, drżącymi palcami wkładając w usta papierosa.

\*\*\*

Resztę wieczoru spędzili na przygotowywaniu operacji, mającej na celu zbadanie wszystkich możliwych tropów prowadzących do znalezienia nastolatków. Tokarski nie potrzebował wcale swych paranormalnych zdolności, aby wyczuć zarówno niechęć ze strony Brzeckiego, jak i wielkie zaniepokojenie Waldka, u którego pod maską zaradnego polityka ukrywał się niepokój rodzica jedynaczki. Odwiedzająca ich zapłakana matka chłopaka nie była zbyt pomocna – owszem, dostarczyła sweter i podkoszulkę, jednak wyprane tuż po jego zaginięciu. Rozmawiała przez chwilę na osobności z gospodarzem domu, wprawiając go w spore zdenerwowanie. Zamykając drzwi za kobieciną, wciąż kręcił głową z niedowierzaniem. Wyjaśnił po chwili kompanom, że ich gość wierzył w nadprzyrodzoną ingerencję topielca, wciągającego dwójkę zaginionych w wodne odmęty...

– Bo to, wiecie, był drugi lutego. Matki Boskiej Gromniczej. A dawniej też ponoć jakieś inne, pogańskie święto. Naprawdę, panowie, niektórzy ludzie stąd dalej wierzą w takie zabobony

\*\*\*

Kiedy tuż przed północą wyraźnie znużony policjant wstał od stołu i pożegnał się ze współpracownikami, Stachowiak poczęstował jeszcze Tokarskiego odrobiną brandy i zaproponował papierosa.

– Nie wiedziałem, że palisz. Kiedy zaczęłeś?

– To ten ciągły stres. Jak nie polityka, to utarczki z dziennikarzami i miejscowymi watażkami, którzy obejrzeni za dużo filmów o mafii. Nawet na takiej prowincji trafiają się debile.

– Jak ten Brzecki? Czy znasz go równie dobrze jak mnie? – spytał podchwytliwie Jacek, przypatrując się uważnie reakcji Waldka. Ten zapewnił go spokojnym tonem o profesjonalizmie swojego współpracownika, dodając:

– Wypytałem o niego przełożonych. Same dobre opinie. Ponadto w Grudziądzu zajmował się sprawami dużo większej rangi.

Gość burmistrza duszkiem wypił zawartość kieliszka, nie przestał jednak spoglądać na wyraźnie podenerwowanego towarzysza.

– Tylko tyle... czy może coś jeszcze?

– Jacku, ufam ci jak nikomu innemu. Słuchaj, tu chodzi o moje dziecko! Nigdy w życiu nie bałem się tak bardzo jak teraz. W każdej chwili myślę, co się z nią stało, gdzie może być... Nie mogę spać, co godzinę budzą mnie koszmary.

– A Maria? Jak ona to przyjęła ?

– O nią boję się nawet bardziej. – Uzupełnił zawartość kieliszków i wstał od stołu, podchodząc do okna. – Od początku tygodnia prosiła Ankę, żeby nigdzie się nie włóczyła po lekcjach, wracała od razu do domu... Opowiadała mi ciągle, że słyszała od ludzi wiele niepokojących plotek o Tomku. Rozmawiała też z ich nauczycielami. Ale wszyscy ją uspokajali, że to nic takiego, pierwsza miłość, każdy to przechodził i tym podobne... – Odwrócił się w stronę skupionego Tokarskiego, ocierając łzy z kącików oczu. Nachylił się nad stołem i dotknął jego ramienia, szepcząc:

– Maria chciała z tobą porozmawiać, kiedy będziesz gotowy. Mam nadzieję, że nie odmówisz jej prośbie. To może być nawet ważniejsze...

– Oczywiście, Waldku, zrobię to. Dziękuję za poczęstunek, ale chyba pójdę już spać, jeśli pozwolisz. Jutro czeka nas wszystkich cholernie ciężki dzień...

Na twarzy Stachowiaka pojawił się teraz cień uśmiechu – pierwsze tego rodzaju zachowanie od momentu, gdy powitał starego druha. Łagodny ton głosu jasnowidza od razu



przypomniał gospodarzowi najlepsze chwile z ich przeszłości, gdy – wbrew przeciwnościom losu – starali się „zmieniać świat na lepsze”. Pomyślał nawet, że być może Tokarski nigdy nie porzucił tej idei, realizując ją na własny, nieszablonowy sposób? Nie przestając się uśmiechać, poklepał gościa po ramieniu i życzył dobrej nocy. W jego sercu pojawiła się kropla nadziei...

\*\*\*

Po zaledwie trzech godzinach snu, pragnąc wykorzystać energię związaną z pełnią Księżyca (powodującą u niego specyficzny niepokój), Jacek włączył całą przywiezioną aparaturę. Zaspana gospodyni, obudzona przez dziwne brzęczenie i głośnie stukanie, pojawiła się na progu jego pokoju krótko po trzeciej nad ranem. Widząc jednak zaangażowanie Tokarskiego w obsługę urządzenia, którego zastosowania nie pojmowała, z lękiem w sercu wróciła do siebie, zamykając drzwi na klucz.

\*\*\*

Punkt dziewiąta rano, zgodnie z wcześniejszym ustaleniem, w kuchni tymczasowej stacji jasnowiedza zjawił się Brzecki i jego młodszy asystent, sierżant Bielik. Poczęstowani uśmiechem gospodyni i mocną kawą z odrobiną świeżego mleka, na próżno jednak oczekiwali na przyjscie Tokarskiego. Przekazali więc zdziwionej Zofii próbki materiałów dostarczone przez rodziców zaginionego i pożegnali się, obiecując wrócić po południu.

Do tego czasu, zaspany i podirytowany wdzierającym przez szpary w oknach chłodem, stary znajomy burmistrza zajął miejsce na krześle i podłączył elektrody do swej głowy. Sprzęt, jakim operował, we wszystkich krajach Europy Zachodniej był już od dawna uznany za przestarzały. Tokarski odkrył jednak, że tylko za pośrednictwem takiego właśnie, zmodyfikowanego aparatu, może przedstawić bardziej namacalny schemat miotających nim „wizji”. Problem polegał na tym, że powstałe w efekcie wydruki – rodzaj mapy umysłu medium – potrafił odszyfrować tylko on sam, w dodatku używając określeń przypominających naukowcom bełkot szaleńca.

Wyjątkowo upartego i skutecznego szaleńca.

Dał Brzeckiemu znak ręką, że jest gotowy i poprosił o wręczenie przedmiotu należącego do zaginionego. Chwytając brudną koszulę Maćka, zamknął oczy i poddał się fali szybkich, jaskrawych obrazów, wypełniających całkowicie jego czaszkę.

– Wyczuwam tu związek z jakąś substancją. Z płynem organicznym. Nie jestem pewien, czy jedno z nich, czy oboje mieli z tym kontakt.

– O jaką konkretnie substancję chodzi? – zapytał obserwujący go uważnie Brzecki.

Skupiony jasnowidz drżał lekko, a maszyna rejestrowała kolejne impulsy pracy jego mózgu. Operowała równie głośno jak zwykle, kreśląc pionowe i poziome linie, w których wszyscy zebrani mieli nadzieję ujrzeć wskazówki pomocne w odnalezieniu zaginionego duetu.

– Może to tylko pot. Może sperma lub krew. Wszystkie są ciepłe i związane z ludzkim ciałem. Przynależne dla życia i wysiłku włożonego w ich przepływ w organizmie...

– Mniej filozofii, więcej konkretów, człowieku! Zmarnowaliśmy już dość czasu. Czy oni żyją? – dociekał policjant, jednak indagowany gość nie miał wcale zamiaru udzielić mu jednoznacznej odpowiedzi. Nienawidził, gdy przerywano mu trans – zwłaszcza tak szorstkim i bezczelnym tonem.

Na sekundę przed ocknięciem, szepnął jedynie ponurym głosem:

– Krew. I lód. Krwawy lód. Obmyci zimnem, oboje. Musimy szukać na dole... niżej, jeszcze niżej!

\*\*\*

Pół godziny później cała trójka siedziała już w salonie gościnnym burmistrza, jedząc przygotowane przez Zofię kanapki i rozkładając zebrany do tej pory materiał dowodowy. Jasnowidz słyszał wprawdzie głos burmistrza i co chwila przytakiwał, jednakże mętnym wzrokiem wpatrywał się w przeszklony blat stolika. Starał się ignorować siedzącego obok Brzeckiego, wciąż nie będąc pewnym, jak ma go traktować. *Przyjaciół czy wróg?*

\*\*\*

Policjant najwyraźniej wyczuł emocje jasnowidza, gdyż zapytał bez ogródek:

– Gdyby nie chodziło o kasę, chciałoby ci się tutaj tłuc i ich szukać?

– Nie rozumiem twojego pytania. Wierz mi lub nie – robię to dla tych dzieciaków. I dla Waldka. Do tej pory pomogłem w zlokalizowaniu ponad sześciuset ciał. Samych trupów. W każdym z tych momentów, przy każdym kolejnym śledztwie miałem nadzieję, że odnajdę wreszcie żywą osobę. I wiesz co? W tym przypadku wyczuwam coś innego niż do tej pory. Bardziej wyrazisty puls.

\*\*\*

Moment grobowej ciszy, po którym padło następne pytanie drążącego temat Brzeckiego:

– Z tych wszystkich ludzi... kogo najbardziej chciałbyś ocalić? Odnaleźć żywego?

Tokarski wytarł tłuste palce w chusteczkę i sięgnął do kieszeni bluzy po papierosa. Chwilę przed udzieleniem odpowiedzi przygryzł górną wargę, jakby wahając się, czy może być szczerym wobec rozmówcy. Pomyślał jednak, że ten zapewne słyszał już to i owo od Waldka, postawił więc na bolesną szczerość.

– Moją żonę. Wracała z pracy, gdy rozpętała się burza śnieżna – opowiadał beznamiętnym głosem, wpatrując się w ziemię – a jej samochód wpadł w poślizg i wyłamał barierkę zabezpieczenia mostu. Początkowo znaleziono tylko pusty wóz – jej ciało porwała woda. Cały czas żyłem nadzieją, że zdołała wyskoczyć. To trwało cztery dni i noc. Nie spałem, niemal wariowałem w tej matni. Godzinę po pogrzebie zemdlałem i trafiłem na OIOM. Ponoć przez kilka minut byłem w stanie śmierci klinicznej... Ale nie, nie spotkałem jej po tamtej stronie – zakończył, uprzedzając możliwe ironiczne pytanie ze strony Brzeckiego.

Na policzku Tokarskiego pojawiła się teraz łza. Policjant był jednak niewzruszony i jakby ignorując te emocje, zadał szeptem trzecie pytanie:

– Oboje żyją? Jedno z nich?

– Nie mogę ci jednoznacznie odpowiedzieć. Tak i nie, czarne i białe, woda i ogień. Nic nie jest klarowne w tym momencie...

Przerwał, zauważając wchodzącego do pomieszczenia burmistrza, ciężko dyszącego i rozcierającego zmarznięte dłonie. Przywitał się ze współpracownikami i wyjął z kieszeni małą kartkę, wręczając ją policjantowi.

– Wracam z posterunku. Jeden z twoich ludzi – ten mały, rudy – przesłuchiwał dziś staruszkę. Podobno jest lekko szurnięta... ale znalazła to na śniegu, niedaleko swego domu. Wygląda na rysunek Tomka. Jasna cholera, oni naprawdę poszli nad tę jebaną rzekę! – Schował twarz w dłonie i przez chwilę zastygł w takiej pozycji, siadając na krześle. Gdy w końcu nieco oprzytomniał, spojrzał na Tokarskiego i podetknął mu kartkę niemalże pod sam nos, niczym doświadczonemu psu gończemu.

– Zbadaj to, dobrze? Proszę cię. Za pół godziny robi się ciemno, więc nie ma sensu zaczynać teraz akcji poszukiwawczej. Wyruszamy o świcie.

– Dzwoniłeś do Myszkowa? Przyślą tu kogoś? – zapytał Brzecki, jednak Stachowiak

zaprzeczył ruchem głowy, wstając gwałtownie od stołu i nachylając się w stronę policjanta.

– Załatwimy to sami. Nie potrzebuję nikogo innego. Żadnych ćwoków od roboty papierkowej. Obu wam ufam. Im – ani trochę. Rozumiecie?

O ile ponury komisarz dość niechętnie przytaknął słowom gospodarza, w sercu Jacka pojawiło się nagle pełne zrozumienie dla tej decyzji. Pobudek czysto osobistych, ale i tych bardziej materialnych. Sam nie darzył gliniarzy przesadnym uwielbieniem – zbyt często starali się bowiem przywłaszczyć sobie jego zasługi. A Brzecki stał się w tym momencie głównym wrogiem medium w rywalizacji o największy sukces w całej karierze...

Rozstali się w milczeniu, uzgadniając miejsce i godzinę porannego wymarszu.

\*\*\*

Tej nocy, Jacek Tokarski śnił o emanującym dziwnym światłem ekranie telewizyjnym i spływającej po jego powierzchni szkarłatnej cieczy. Monitor przemienił się nagle w tafłę lodu, pokrywającą się z każdą sekundą kolejnymi płatkami śniegu. Odbijały się w nim wizje drzew i nadrzecznego wału ziemnego, a widokom towarzyszył szum przepływającej wody. Wszystko się przemieszczało... Nie! Zrozumiał, że dostrzega obrazy oczami ofiar, niesionych przez lodowaty prąd w dół rzeki...

Przez cały czas trwania koszmaru odczuwał w skroniach wyraźny puls, wciąż obecny w ciele jednego z zaginionych. Niczym światło latarni morskiej pośród najsilniejszej burzy, niczym potężny magnes...

Obudził się cały zlany potem i przez dłuższą chwilę dochodził do przytomności, wpatrując się w jaskrawą tarczę Księżycy. Chwycił za leżące obok łóżka kartkę i ołówek, walcząc z czasem o zapisanie resztek umykających myśli.

Kiedy skończył notować, odkaslnął i zamknął okno. Nabrał teraz pewności – kolejny dzień będzie dla niego przełomowym. W każdym aspekcie istnienia i udręk, jakich doświadczył.

\*\*\*

Gdy o świcie zameldowali się na progu domu burmistrza, żaden z mężczyzn nie był w stanie uwierzyć w podłość fatum, jakie zdawało się drwić z ich planów. Wszystko dookoła pokryte bowiem było grubą warstwą śniegu. Tak przynajmniej domniemali, z trudem dostrzegając cokolwiek wśród białej zawieruchy. Śnieżycy zmusiła ich początkowo do

zatrzaśnięcia drzwi i wycofania się w głąb domu, jednak determinacja ojca zaginionej wzięła górę. Nakazał towarzyszym wyprawy zaczekać na parterze, a sam wkroczył do zagraconej piwnicy, wyciągając stamtąd po kilku minutach parę latarek i małe saperki.

– Panowie, nie mamy czasu do stracenia. To sprawdzony sprzęt, przebije się nawet przez ten śnieg. Droga do rzeki jest nieco stroma, ale powinniśmy dać radę. Najważniejsze to dokopać się do samochodu...

– Waldku, poczekajmy jeszcze. Trzy godziny temu wszędzie wokół było pusto. Przez ten czas nie mogło aż tyle napadać... To jakiś koszmar! Musimy poczekać na pług, a nie brnąć w tę zamieć! – podniesionym głosem starał się go przekonać Brzecki, lecz na próżno. Głuchy na jego prośby burmistrz położył przed nim i Tokarskim niezbędny sprzęt, a sprawdzając poziom baterii w latarce i telefonie, wymruczał cicho:

– Nie masz dzieci, to nie zrozumiesz...

\*\*\*

Po chwili Jacek przeprosił obu kompanów i wbiegł na piętro, aby wyłączyć niepotrzebną już teraz maszynę oraz zabrać dokumenty i dodatkową podkoszulkę. Nerwowo rozglądał się też w poszukiwaniu ukrytego pod stertą rzeczy portfela. Jednak uwagę medium przykuło ostatecznie coś zgoła innego.

Mała beżowa koperta, położona na wygniecionej pościeli. Mógł przysiąc, że nie widział jej w pomieszczeniu tego poranka. Co oznaczało w zasadzie tylko jedno...

– Przepraszam, że to położyłam, jak pana nie było w pokoju. Ale to list od pani Marii. Przyszła tu dziś rano, tuż przed świtem. Cała zapłakana, biedactwo... Kazała to przekazać – wyszeptana smutnym tonem gospodyni i zanim Tokarski zdążył cokolwiek wydukać, odwróciła się na pięcie i wyszła.

W pierwszym odruchu, coraz bardziej zdenerwowany mężczyzna, chciał po prostu schować korespondencję do kieszeni i pozostawić jej lekturę na później. Jednak instynkt podpowiedział mu coś innego. Szybkim ruchem rozerwał więc brzeg koperty i zaczął czytać:

*Witaj Jacku,*

*Chciałam z Tobą pomówić na osobności, ale nie jestem w stanie. To wszystko boli zbyt mocno...*

*Nawet nie wiesz jak bardzo, Mario, pomyślał, wodząc nerwowym wzrokiem po*

kolejnych słowach. Gdy dotarł niemal do końca strony, zauważył, że w środku koperty znajduje się jeszcze jedna kartka, a wiadomość od żony burmistrza ma ciąg dalszy na odwrocie...

*Nie mamy już niczego więcej do ukrycia, żadnych sekretów. Gdy tylko dowiedział się o tym, że Ania nie wróciła na noc do domu, poszedł na strych. Tłumaczył, że musi znaleźć jakiś list od ministra, z kodem aktywacji specjalnej jednostki poszukiwawczej. Akurat zasnąłam, ale obudziło mnie walenie do drzwi i jego podniesiony głos. Gdy otworzyłam, już go nie było. Na progu zostawił całą naszą korespondencję...*

*Boję się, jak nigdy w życiu, że stracę i Anię, i jego. Zawsze nienawidziłam samotności, a teraz...*

*Jest jeszcze coś. W kopercie znajdziesz drugą kartkę. To list od Waldka, wysłany do człowieka z twojej miejscowości. Przeczytałam tylko kilka zdań i... stanęło mi serce. Nie mogę w to uwierzyć, ale jeśli to prawda...*

*Uwierz mi, proszę. O niczym nie wiedziałam! A teraz nie potrafię już dłużej żyć, znając tę prawdę. Nie chcę też więcej mieszkać z nim pod jednym dachem...*

*Nie ufaj nikomu.*

*W szufladzie zostawiłam ci mały prezent. Modlę się jednak o to, abyś nie musiał go użyć.*

*Przepraszam za wszystko, co się stało. I uważaj na siebie.*

*Może jeszcze zdążymy porozmawiać, zanim wyjedziesz.*

*Niech Bóg ma cię w swojej opiece,*

*Maria*

Wzruszony i zarazem przerażony Tokarski wolno odłożył wiadomość od żony Waldka i prędko zerknął na drugą kartkę.

Znacznie starszą, pożółkłą na brzegach, ale z treścią nadal doskonale czytelną.

Wiedząc, że lada chwila do drzwi pokoju może zapukać ponagląący go Brzecki, szybko powiódł wzrokiem po serii nakreślonych na papierze wskazówek, uporządkowanych w punktach i wyjątkowo rzeczowych. Wytyczonych z zimną, matematyczną precyzją...

Włosy stanęły dęba na jego karku w sekundzie, w której zdał sobie sprawę, że rozpoznaje nie tylko charakter pisma autora, ale co gorsza kojarzy wymienione w korespondencji imię ofiary... i zaplanowany schemat zbrodni.

– Chryste Panie – wyszeptał, upuszczając na ziemię zarówno list, jak i trzymaną pod

pachą latarkę. Rozlegający się po całym domu łomot był jednak niczym w porównaniu z przeogromnym żalem i targającym sercem mężczyzny lękiem.

Sekundę później słyszał już kroki na schodach, w pośpiechu chowając oba papiery w kieszeni kurtki i ocierając łzy. Zanim rozległo się pukanie, pomyślał jeszcze, że może jednak nie był aż tak znakomitym jasnowidzem, jak mu się przez lata zdawało?

A może to sam Wszechmogący poddawał go tak niegodziwej próbie?

– Jacku? Jesteś gotowy? Chodź prędko na dół. Przestało padać. Brzecki zaraz odpala samochód i jedziemy...

– Nad rzekę... – odpowiedział szeptem, myśląc równocześnie: *Niech i tak będzie. Niech się dzieje, co nam jest pisane.*

Gdy otworzył drzwi i spojrzał na człowieka, którego jeszcze kilkanaście minut wcześniej uznawał za swego godnego zaufania sojusznika, jego wzrok musiał najwyraźniej obrazować wewnętrzne cierpienie. Zaskoczony Waldek odwrócił bowiem głowę i gestem ręki ponaglił do zejścia na dół, mruczając:

– Jedźmy, człowieku, prędko! Każda chwila się teraz liczy!

Wprawdzie Tokarski miał w tym momencie ochotę na wbicie ostrego noża prosto w serce burmistrza... lecz tylko zacisnął zęby i rozluźnił pięść, podążając w milczeniu w ślad za nim.

\*\*\*

Dotarcie do skrzyżowania dróg na skraju lasu, prowadzących w stronę rzeki, zajęło im niecałe czterdzieści minut. Śnieżna zawierucha ustała, jednak ogrom białego puchu na mało uczęszczanej trasie skutecznie opóźniał jazdę. Do tego jeszcze po drodze omal nie zderzyli się z wyskakującą tuż przed maskę pojazdu sarną... Gwałtowne szarpnięcie hamującego wozu zarzuciło ciałem Tokarskiego, instynktownie chroniącego dłonią tkwiący w kieszeni podarunek od Marii. W tej chwili dziękował opatrności, że pozostali mężczyźni nie dostrzegli jego nerwowego gestu...

Gdy wysiedli z samochodu, Waldek szybko sprawdził, czy mają cały potrzebny sprzęt, wyciągnął ze swojego plecaka trzy krótkofalówki i rozdając je kompanom, zakomenderował:

– Komisarz już o tym wie, także to wprowadzenie jest głównie dla ciebie, Jacku. Od teraz będziemy komunikować się przez te radia. Nie ufam do końca telefonom komórkowym. Poza tym na takim odludziu nawet i przy dobrej pogodzie zasięg jest do dupy. A stacja tych cacek jest w domu Bielika, o tam. – Wskazał palcem na dość typowy, murowany dom

z kilkoma antenami na balkonie i dachu.

– I tam wracamy po zakończeniu akcji. W razie jakichkolwiek problemów i znalezienia dzieciaków – wywołuj któregoś z nas. Gdybyśmy nie odpowiedzieli – wciskaj ten czerwony guzik. Wtedy połączysz się bezpośrednio z Bielikiem w centrali. Wszystko jasne?

Tokarski wziął do ręki czarną krótkofalówkę i w milczeniu przytaknął. Więszym zainteresowaniem obdarzał teraz policjanta, zacierającego dłonie i sprawdzającego zawartość plecaka. Miał wciąż w pamięci ostrzeżenie Marii, doskonale korespondujące z jego własnymi uczuciami.

Ostatnie spojrzenie na ich obu. Sprawdzenie zarówno sprzętu, jak i zaopatrzenia. Według prognozy śnieżycy mogła bowiem uderzyć ponownie w każdej chwili. Nie mieli zbyt wiele czasu, który zresztą od początku był ich głównym przeciwnikiem.

– Powodzenia – mruknął Jacek w stronę kroczącego szybko w drugą stronę funkcjonariusza i spojrzał na rozjaśnione śniegiem drzewa. Ponieważ nie był tutejszym i nie znał okolicy, burmistrz poradził mu trzymanie się najbardziej znanej ścieżki, wiodącej do feralnej rzeki...

\*\*\*

Po kilku minutach przedzierania się przez gęste krzaki i brnięcia w zaspach, Tokarski trafił wreszcie na rozwidlenie dróg. W oddali widział jeszcze sylwetkę Stachowiaka, decydującego się na marsz w stronę tartaku. Polityk znał dobrze właściciela zakładu; mężczyzna dodatkowo był mu winny sporą przysługę – dług, który mógł spłacić właśnie teraz, pomagając w poszukiwaniach.

Waldek wywołał przez radio Brzeckiego. Ten był już niemal przy zamrzniętym strumieniu, prowadzącym z wysokości szkoły w dół, wprost do rzeki. Wybrał najmniej uczęszczaną i zarazem najtrudniejszą trasę. Liczył jednak na swoją krzepę i doświadczenie w wspinaczkach po jurajskich ostańcach.

– Co tam, panowie? Jesteście już przy rzece?

– Widzę składowisko drewna przy przecince do Masłońskich. Cholera, to była przecinka dawno temu. Bardzo zarosła. Jak będziesz miał chwilę, może przedzwonisz do leśniczego?

– Dobra, później. Mamy teraz ważniejsze rzeczy do ogarnięcia. Poza tym znowu pada... Mam nadzieję, że zdążymy. Jacku? Słyszysz mnie?



Wywołany przez krótkofalówkę jasnowidz wolno zbierał się z ziemi, rozcierając obolałe kolano. Przeliczył swe siły i próbując skrócić drogę do celu, wpadł w gąszcz, z którego potrafił wydostać się jedynie poprzez naginanie i łamanie grubych, sosnowych gałęzi. Największa z nich stawiała opór i wystrzeliła, uderzając z pełnym impetem w jego nogę. Ostatecznie jednak znalazł się w punkcie, przed którym roztaczał się widok na dużo rzadziej obsadzone drzewa i dalszą ścieżkę, prowadzącą wprost w dół.

– Jacku! Halo! Odezwij się!

– Jestem, jestem. Wszystko w porządku.

– Co tam, zablądziłeś? Patrzysz na mapę? – ironizował Brzecki, a w tle komunikatu Tokarski z łatwością mógł usłyszeć przepływającą rzekę... *Ubiegł mnie*, stwierdził z wściekłością w duchu. *Wyprzedził. Nie ma daru, ale zna ten teren lepiej...*

Medium starał teraz uciszyć burzę swych myśli i brnął w gęstym śniegu, kierując się w stronę wyznaczoną przez drogowskazy. Rozgorączkowanym wzrokiem starał się wypatrzeć jakąś przebitkę między drzewami, jasne niebo bez śladu gałęzi, czy choćby dym z komina nadrzecznego budynku.

Wtem usłyszał delikatny szept, który jednak niemal ogłuszył go swoją czystością. I świadomością tego, kto był autorką słów:

– Jacku, poczekaj. Muszę ci coś jeszcze powiedzieć...

Pomimo gęstniejącego śniegu, bez trudu rozpoznał oblicze Marii, wyjątkowo bladej i szczerze opatulonej w gruby sweter oraz szalik. Na ten widok uśmiechnął się z niedowierzaniem i wyciągnął ramiona w akcie powitania, jednak kobieta zatrzymała się o kilka metrów przed nim, wciąż przenikliwie szepcząc:

– Jestem już spokojna. Ufam, że uda ci się ich znaleźć. Dziękuję... I przepraszam. – Zamknęła oczy i odwróciła się, nakazując zdumionemu Jackowi gestem dłoni, aby za nią podążał. Przez chwilę kroczyli w stronę rzeki, walcząc z oblepiającym twarz śniegiem i cisnącymi się na usta bolesnymi pytaniami. Jasnowidz w końcu nie wytrzymał i krzyknął:

– Czyli on wiedział o nas, tak? I dlatego... zabił... Nie, to niemożliwe!

– Uwierz mi, proszę... Nie miałam pojęcia. A teraz nie chcę już żyć z tą świadomością. On się zmienił, Jacku. To nie jest ten sam człowiek, którego pamiętasz! Uważaj na siebie.

– Zrobię to, ale tylko przez wzgląd na nas... Na ciebie – wyszeptał, klęczący teraz w śniegu Tokarski, pełnym obłędu wzrokiem wpatrując się w zmierzającą w stronę wioski sylwetkę. – Odnajdę **twoje** dziecko. Rozumiesz?

Nie odpowiedziała, niemal całkowicie już znikając w śnieżnej zamieci, przejmującej władanie nad leśną przecinką. Doszczętnie załamany mężczyzna chciał pobiec za kobietą, wykrzyczeć wypełniające jego serce uczucia, przytulić... lecz szybko uświadomił sobie beznadziejność tego gestu.

Z zamyślenia wyrwał go dramatyczny krzyk Brzeckiego, znajdującego się najwyraźniej jakieś pięćdziesiąt metrów dalej, obok stromego wału prowadzącego do koryta rzeki.

Tokarski podążył jego śladem, niczym głodny drapieżnik wyczuwający zapach krwi ofiary. Praktycznie zapomniał już o pozostawionej na polanie żonie Stachowiaka... Choć nadal nie był w stanie pojąć, jak tam trafiła? Czyżby podsłuchiwała ich rozmowy? Może sam Waldek nie wytrzymał napięcia i powiadomił ją o szczegółach akcji?

– Tutaj, szybko! Widziałeś gdzie burmistrza?

– Nie. Nie od momentu, kiedy się rozłączyliśmy. O co chodzi? Znalazłeś coś?

– Bielik odebrał właśnie telefon od Zofii. Zajrzała do pokoju Marii i... znalazła ją z podciętymi żyłami. Ona nie żyje, rozumiesz? Zabiła się! Ja pierdołę!

– Jak... jak dawno temu? – wyszeptał z niedowierzaniem Tokarski, na co funkcjonariusz prawa zareagował pełnym nienawiści spojrzeniem, ścisnąc trzymane w kieszeni radio.

– Co? Dwie godziny temu. Próbowali ją reanimować w karetce, zrobili transfuzję... Kurwa mać, co tu się dzieje?

– To niemożliwe! – stwierdził zdecydowanym tonem Jacek, dzieląc niedowierzanie Brzeckiego. – Rozmawiałem z nią pięć minut temu. Była tam, na tej polanie.

– Wskazał palcem na ledwie widoczną wśród świerków przesiekę, ale gdy odwrócił wzrok w stronę podirytowanego komisarza, ujrzał już wycelowany prosto w twarz pistolet.

– Zwariowałeś? Odłóż to. Przecież...

– Trzymaj ręce nad głową albo dostaniesz kulkę. Rozumiesz? Od razu wyczułem, że jesteś lewy. Chcesz wychujać i Waldka, i mnie przy okazji. Tylko kasa się dla ciebie liczy, prawda?

– Naprawdę sądzisz, że zmyślam? Że próbuję cię okłamać? – pytał zdenerwowany Tokarski, przypominając sobie o ukrytej w kieszeni broni. Wiedział jednak doskonale, że nie zdąży nawet kiwnąć palcem. Miał do czynienia z pewnym siebie zawodowcem...

– Nie wiem, ile ci obiecał, ale dla mnie to sprawa osobista. Mieszkam tutaj dłużej od niego, znam wszystkich w tym miasteczku. I nie pozwolę, żeby jakiś przybłęda miał mnie teraz ograbić ze znaleźnego. Nie jesteś detektywem ani policjantem... Tak naprawdę, bez nas,

byłbyś nikim! Nikim!

*Byłem tak blisko celu,* pomyślał, wbrew powadze sytuacji próbując uspokoić oddech. W zgłoszonej do maksimum krótkofalówce usłyszeli dramatyczny ton Bielika, błagającego policjanta o natychmiastowy kontakt. Brzecki, wciąż obserwując uważnie zachowanie medium, nacisnął czerwony guzik i krzyknął:

– Jestem. Zgłaszam się. Dawaj, co tam masz.

– Jest coraz gorzej. Ludzie ze szpitala już zadzwonili do burmistrza. Próbowałem się z nim skontaktować i dowiedzieć, jak to wszystko przyjął i co chce dalej zrobić... Ale najpierw nie odpowiadał, a potem słyszałem tylko jakiś wrzask i jego przeklinanie. Masz jakieś pomysły?

– Próbuj dalej, a jak ci się uda, daj mi znać. Jeśli dotarł już do rzeki, to spróbuję go tam poszukać. Będę w kontakcie...

Policjant miał właśnie zamiar rozłączyć się i wrzucić odbiornik do kieszeni, gdy kolejne uderzenie silnego wiatru zdmuchnęło prosto w jego twarz znaczną ilość śniegu; na tyle dużą, że oślepiła go na kilka sekund. Czas, który wystarczył zdesperowanemu Jackowi do podjęcia radykalnej decyzji: rzucił się na rozkojarzonego przeciwnika, z całych sił uderzając kolanem w jego nos, po czym zaczął chaotycznie uciekać. Kluczył, schylając głowę; starając się w ten sposób utrudnić Brzeckiemu ewentualny strzał.

Biegł na oślep, cały czas do przodu, bez oglądania się za siebie. Po kilkudziesięciu metrach nie był już w stanie w ogóle rozróżnić, czy ucieka na wschód czy zachód. I tym bardziej stwierdzić, czy uzbrojony stróż prawa nadal znajduje się za jego plecami.

Przestał na to wszystko zważać w chwili, gdy ponownie ujrzał Marię. Znajdowała się przy ledwie widocznym pod śniegiem drogowskazie, wyciągniętą dłonią wskazując ścieżkę wiodącą do przystani. Gdy tylko dostrzegł sylwetkę dawnej ukochanej, z niedowierzaniem w głosie wycharczał:

– Przecież... ty... nie żyjesz! On mi powiedział! Mario!

Błada postać na rozdrożu milczała, a gdy zbliżył się do niej na odległość raptem kilku metrów, mocny podmuch wiatru sprawił, że jej oblicze rozmyło się niczym mgła. Jacek na moment przystanął, aby złapać oddech. Nie dowierzał już oczom, posądzając je oprowadzenie wprost w ramiona śmierci...

Zanim jeszcze zdążył choćby wypowiedzieć jej imię, poczuł piekący ból w lewym ramieniu. Zobaczył na śniegu krople krwi, świadczące o tym, że został postrzelony. Jakby dla potwierdzenia tego, usłyszał nieco zniekształcony przez wiatr krzyk policjanta:

– Stój! Łapy do góry! Bo ubiję jak psa!

Jacek poczuł jednak, że w tym momencie nie musi się wcale odwoływać do wizji, a jedynie ogólnoludzkiego instynktu, nakazującego walkę o przetrwanie. Schylił się najniżej jak mógł i zaczął biec w stronę ostatniej gęstwiny krzaków przed zejściem na małą, drewnianą przystań. Pomimo głośniego oddechu i narastającego bólu, usłyszał szcęk przeładowywanej broni. Odwrócił się gwałtownie, próbując dostrzec, jak daleko za nim stoi policjant.

Źle jednak ocenił sprawność fizyczną swojego organizmu i stracił równowagę, potykając się o ukryty w śnieżnej zaspie korzeń. Zachwiał się gwałtownie, próbując dramatycznie chwycić gałąź drzewa. Okazało się to daremnym trudem – Tokarski spadł całym impetem ciała z dość wysokiej skarpy, rozpoczynającej się ostrym wcięciem tuż przy drodze nad rzekę. Przetoczył się kilka razy w białym puchu, mając przed oczyma karnawał czerwonych i czarnych plam. Usłyszał jeszcze huk wystrzału i stek przekleństw Brzeckiego uświadamiającego sobie, że chybił celu. Zimno śniegu otrzeźwiło Tokarskiego jednak dość szybko – podobnie jak perspektywa kolejnego precyzyjniejszego strzału. Tym bardziej, gdy usłyszał adresowany do siebie krzyk rozwścieczonego prześladowcy:

– Myślisz, że cię nie widzę w tej dziurze? Wstawaj! Bez sztuczek!

Kątem oka dostrzegł jednak, że broczący krwią z rozbitego nosa Brzecki był w sporej odległości od punktu, w którym teraz się znajdował. Nerwowym ruchem sięgnął do kieszeni i zacisnął palce na zabranym z domu pistolecie. Wiedział, że będzie miał tylko jedną szansę i musi ją wykorzystać. Przestał oddychać i walcząc z bólem, nasłuchiwał skrzypienia kroków policjanta.

Kiedy ustały raptem kilka metrów od miejsca, w którym leżał, był już zdecydowany na ostateczny pojedynek. Zdyszany i spocony Brzecki otarł czoło i wycelował broń prosto w leżący w rozpadlinie kształt, warcząc:

– Słyszysz mnie, gnoju? Pokaż mi swoje ręce!

Jacek błyskawicznie odwrócił się na plecy i widząc niczym przez mgłę twarz adwersarza, strzelił w jego klatkę piersiową. Ciałem mężczyzny targnął spazm, potem kolejny – wraz z następną kulą, trafiającą tym razem w lewe ramię. Policjant instynktownie wycelował w głowę medium, ale trzeci i decydujący strzał Jacka przeszył jego czaszkę na wylot.

Gdy tylko zamilkło echo wystrzałów, wygrzebujący się z lodowatego dołu Tokarski poczuł znaczenie słów „ogłuszająca cisza”. W głowie wciąż coś dudniło i wibrowało, jak gdyby wszystkie oddane wcześniej strzały odbijały się w niej rykoszetem. Nie spojrział ani razu na martwe ciało Brzeckiego. Nadal – i wbrew wszystkiemu – interesował go tylko

najważniejszy cel, niczym drogocenny skarb ukryty na dnie ciemnej jaskini. Ciężko oddychając, utykał w stronę wąskiej dróżki, prowadzącej do tartaku. Nie był już wcale pewien, czy uda mu się tam spotkać Waldka. Czy może zrozpaczony ojciec znalazł już swoje dziecko?

Trzy, cztery kroki – i oto ujrzał nurt rzeki. Wodę, która w jakiś mistyczny sposób przyzywała go do tego miasteczka. Żywiół, który w tej chwili skrywał przypuszczalnie jedyne żywe istoty, które mógł kiedykolwiek odnaleźć.

Gdy tylko sensacje w głowie ustały, do uszu jasnowidza zaczął dobiegać coraz wyraźniejszy głos nawołującego przez radio Bielika, bezskutecznie próbującego skontaktować się z przełożonym:

– Halo? Panie komisarzu! Jest pan tam? Co się dzieje?

Tokarski postanowił zaufać instynktowi i po naciśnięciu czerwonego przycisku, stwierdził beznamiętnie:

– Tu Jacek. Brzecki zgubił swoje radio. Nie wiem, gdzie jest...

– Jesteście już nad rzeką? Widzisz gdzieś burmistrza? On też nie odpowiada – dodał zaniepokojonym głosem, z trudem przebijającym się przez falę zakłóceń i trzasków. – Powiedz mu, że nadciąga kolejny atak śnieżycy. Macie jakieś dwadzieścia minut na to, żeby się schować w tartaku czy gdziekolwiek indziej. Słyszysz?

– Tak, słyszę. Zaraz go znajdę. Dzięki i bez odbioru.

Nie pozwolił już rozmówcy na odpowiedź i wyłączył radio, rozglądając się po linii brzegowej. Utykając, podszedł nieco bliżej w stronę gęsto porośniętego sosnami brzegu rzeki, u podnóża urwiska dostrzegając klęczącą nad wodą sylwetkę Stachowiaka.

*A więc dokonało się*, pomyślał, ostrożnie podchodząc do nieruchomego burmistrza. Gdy znalazł się ledwie kilka metrów od niego, ciszę rozdarło dramatyczne nawoływanie Bielika, informującego ponownie o nadciągającej zamieci. Ojciec zaginionego wydawał się jednak być całkowicie niewzruszony. Do momentu, w którym but Jacka nie złamał jednej z wyrzuconych na brzeg gałęzi, zdradzając jego obecność.

– Spóźniliśmy się – oznajmił drżącym głosem Waldek, zanurzając po chwili zakrwawione ręce w lodowatej wodzie. – Widziałem jej twarz, przez chwilę. Oboje byli tutaj. – Wskazał na pęknięta tuż obok zakola rzeki powierzchnię lodu, pod którą Tokarski dostrzegł okazałą kolekcję osadzonych na mieliźnie gałęzi i zgniłych liści.

– Woda zabrała ich w dół. Musimy iść dalej. I to szybko, bo inaczej... śnieżycy... – stwierdził monotonnym głosem jasnowidz, choć w głębi duszy pragnął teraz wrzeszczeć i płakać na przemian. A nade wszystko – wyrwać język i wylupić oczy swego dawnego

przyjaciela, w akcie ostatecznej zemsty za zdradę. I wyrafinowane morderstwo.

– Idź sam. Ja już nie dam rady. Moje serce tego nie wytrzyma – wyszeptał Waldek, po czym wstał gwałtownie i spojrzał prosto w oczy Tokarskiego, nie kryjąc swego ogromnego zaskoczenia.

– Gdzie jest Brzecki? Był tu przecież wcześniej, przed nami. Widziałeś go? Słyszałem też jakieś strzały. A przecież mówiłem leśniczemu, żeby poczekał do wiosny z tymi polowaniami na dziki. Chyba że to nie był on... – dodał, wydając się być kompletnie oderwanym od rzeczywistości. Jasnowidz postanowił jednak spróbować przekazać mu hiobowe wieści:

– Waldku, posłuchaj mnie uważnie. Twoja żona, Maria... nie żyje. Popelniła samobójstwo. Rozumiesz?

– Nie – odparł krótko i zdecydowanie burmistrz, podbiegając teraz do Jacka i z wściekłością uderzając pięścią w jego klatkę piersiową. – Nie! Mylisz się! Bielik mówił mi przez radio, że jest gdzieś tu, w lesie. Przyszła po naszych śladach. Mam tylko nadzieję, że zdąży się schować przed śnieżycą.

– Człowieku, ona nie żyje. Weź się w garść – parsknął Jacek, z trudem kryjąc swoje obłądne poczucie triumfu. Za sprawą pojawienia się w miasteczku, dość nieoczekiwanie wyrównał ich rachunki względem życia i śmierci partnerek. Do tego jeszcze, miał decydujący atut – dar, pozwalający uratować jedyną córkę popadającego w obłąd polityka.

– Co ty? Dlaczego mówisz tak zimno? Nie wierzę. Pomóż mi! Chodźmy naprzód! Oni tam toną, w tym lodzie! – kolejne słowa burmistrza były niczym krótkie serie z karabinu, wystrzeliwane w próżnię. Tokarski nie miał bowiem zamiaru iść gdziekolwiek, dopóki nie usłyszy prawdy o swym największym koszmarze. Z najwyższym trudem powstrzymując się przed fizycznym atakiem na rozmówcę, wyciągnął z kieszeni obciążający Stachowiaka list i rzucił go przed jego stopy, pytając oskarżycielskim tonem:

– Waldku. Dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego zabiłeś Irenę?

– Cooo? Jezu. Kto ci o tym... Nie, to nie ja! To był wypadek! Nie chciałem jej śmierci. – Poczucie winy mieszało się teraz w jego głosie z ogromnym smutkiem, jednak po chwili wstrzymał oddech i spojrzał z nienawiścią na milczącego jasnowidza, zaciskając lewą dłoń w pięść.

– Kim ty jesteś, do kurwy nędzy, żeby mnie o to pytać? Zdradziłeś mnie. Znalazłem wasze listy. Kochałem Marię, jak nikogo innego. Tylko ją i moją córkę. A ty mi ją zabrałeś! To przez ciebie nie żyje!

– Jesteśmy kwita. Nie zbliżaj się do mnie. Idę po Ankę. Sam. Może choć ją ocalę.

Może jeszcze żyje...

Chłodny, lecz boleśnie trzeźwy cynizm słów Tokarskiego sprawił, że Waldek osunął się ponownie na kolana i wyładował swą frustrację na zbitce lodu i śniegu, okładając ją pięściami do momentu, w którym jego ręce nie pokryły się krwawymi plamami, dość wyraźnymi nawet na tle zaczerwienionej skóry.

*Krwawy lód. Spełniło się! Muszę iść dalej, w dół rzeki. Prąd wody pewnie zabrał te ciała już daleko... Nie mam czasu do stracenia!*

Jacek przestał już zwracać uwagę na bodźce ze świata zewnętrznego; kierowała nim tylko moc powracającej chwili temu wizji. *Jak wyścig z samym sobą*, pomyślał. Nie szukał już uznania ani też jakichkolwiek pieniędzy. Chciał jedynie odnaleźć żywych, uratować nieszczęsne dzieciaki. Przełamać zły los.

Coraz bardziej spocony i zdyszany Tokarski nie przestawał biec, obojętny na słabnące nawoływania i błaganie ze strony zrozpaczonego burmistrza; ojca proszącego go z całych sił o uratowanie jedynej córki i litość nad swoją duszą. Jacek wpatrywał się już tylko obsesyjnie w taflę rzeki, próbując wychwycić jakiegokolwiek ślady, anomalie, może nawet i części ubrań zaginionych.

Wreszcie, tuż za kolejnym zakolem nurtu Czarki, jasnowidz dostrzegł pod taflą ośnieżonego lodu dwa ledwie zarysowane kształty, zatrzymane w miejscu przez płataninę gałęzi i zgromadzonych kamieni. Na ten widok z gardła Tokarskiego wydobył się triumfalny ryk, brzmiący jak odgłos dzikiego zwierzęcia. Mężczyzna energicznym ruchem sięgnął do plecaka i wyjął z niego latarkę, strumieniem światła próbując wybadać teraz grubość lodu. Oblicza Ani i Marcina znajdowały się zaledwie dwa centymetry pod zamrożoną warstwą wody. Jacek przez chwilę zastanawiał się, czy nie spróbować jakoś dostać się pod powierzchnię i ich stamtąd wyciągnąć. Widok kilku potężnych kamieni ułożonych na brzegu rozwiązał resztkę jego wątpliwości.

Zaledwie kilka mocnych uderzeń i dopnie swego. Dotrze do celu wieloletnich zmagania z losem i bezowocnych poszukiwań. Zdejmie ze swoich barków ciężką od lat klątwę...

– Halo? Panie burmistrzu? Panie Tokarski! Słyszysz mnie pan? Za pięć minut śnieżycyca dotrze do rzeki. Lepiej znajdźcie jakieś schronienie i to szybko. Odbiór.

Wyłączając natrętne radio, Jacek spojrzął na niebo i przypadkiem dostrzegł na przeciwległym brzegu dwie sylwetki, żywo dyskutujące i machające do niego rękami, jak gdyby w formie zwielokrotnienia przestrogi Bielika. Na ten widok syknął z wściekłości i kontynuował rozbijanie lodu, starając się równocześnie celować w punkty odległe od ciał obu zaginionych.

*Pieprzeni leśnicy, pomyślał. Chcą mi ich odebrać. Zmienić przeznaczenie. Niedoczekanie!*

Odwrócił się i przeładował broń, będąc już zdecydowanym na ostateczną konfrontację z obcymi. Nagle jednak poczuł na swojej kostce zimny dotyk, wrywający go z gorączkowej matni. Sądząc, że to któraś z gałęzi wyłoniła się spod pękniętego lodu, odwrócił się i z wściekłością spojrzął w dół...

W ułamku sekundy uświadomił sobie jednak, że łydkę obejmują teraz wydobyte z lodowej pułapki dłonie córki burmistrza, a oczy topielicy wpatrują się intensywnie w jego przerażone oblicze.

\*\*\*

Jej chłopak uśmiechał się do niego lekko, wprawiając jasnovidza w jeszcze większe osłupienie. *A jednak żyją, po tylu godzinach...* Błady Tomek chwycił go za grdykę i pociągnął ku sobie, w wodne odmęty. Kra pękła z trzaskiem, powodując zapadnięcie lodu i poruszenie zablokowanych gałęzi. Oniemiały z wrażenia Jacek szarpał się z nim przez chwilę, jednak dwie pary rąk i lodowata woda skutecznie ukróciły jego walkę o przeżycie.

Mimo tego uśmiechał się, tak jak i oni. W końcu przecież dopiął swego. Odnalazł dwie żywe osoby, choć zdawało się to ułudą, rodzajem cudu medycznego. Para nastolatków w końcu wycofała się w głąb wody, a ich miejsce zajęło uśmiechnięte oblicze Ewy Tokarskiej, gładzącej rozgrzankowane czoło swego męża i przyzywającej go do siebie, na drugą stronę... W czaszce jasnovidza pękło teraz małe naczynko krwionośne, powodując rozłąkę ze światem żywych. Bardzo szybko wypełniło go też błogie ciepło...

\*\*\*

Pomimo szybkiej reakcji zaniepokojonego Bielika i docierającej na miejsce w niecałą godzinę karetki pogotowia Jacka Tokarskiego nie udało się uratować. Znanego jasnovidza uznano także pośmiertnie za winnego zabójstwa funkcjonariusza policji, komisarza Piotra Brzeckiego.

Zauważone przez świadków ciała dwójki młodych ludzi (którym jasnovidz pospieszył na ratunek) zostały porwane przez rzekę. Akcję ich wydobywania spod lodu, ze względu na fatalne warunki atmosferyczne, przesunięto na termin bliżej nieokreślony.

Burmistrz Żarek, Waldemar Stachowiak, również został uznany za osobę zaginioną. Wprawdzie cztery dni później była gospodyni Stachowiaków zameldowała o jego pojawieniu



się w przedpokoju domu rodzinnego, jednak te zeznania zostały usunięte z akt sprawy, po uznaniu kobiety za niepoczytalną. Identycznie potraktowano raport sierżanta Marka Bielika, starającego się przekonać komisję, że w tydzień po tragicznych wydarzeniach nad rzeką wciąż słyszał w odbiorniku radiowym głosy Tokarskiego, Brzeckiego i Marii Stachowiak.

\*\*\*

Z braku innych, solidnych dowodów, oraz niemożności odnalezienia ciał, sprawę zaginionej trójki zamknięto po czterech miesiącach.

rys. Roman Panasiuk



# JESTEŚ SOCJOPATĄ

Sylwia Błach

Pod dom Maćków podjechał samochód. Prawie bym go nie zauważyła. Awaria prądu spowodowała, że na ulicy Poziomkowej było ciemno jak w dupie u Murzyna. Po raz kolejny cicho zakląłam, zła, że nie dowiem się, co też wydarzyło się u Conchity i jak skończy się romans Andersa. Na pewno włączą prąd dwie minuty po dwudziestej trzeciej, celowo, by zrobić mi na złość. Ja już znałam tych pracujących w elektrowni dupków, tych wszystkich złośliwych matołów nabijających się z filmów o prawdziwej miłości i czerpiących dziką frajdę z wyłączania prądu właśnie wtedy, gdy zasiadałam przed telewizorem. Czasem wręcz się zastanawiałam, czy nie mam w domu kamer, skoro pozbawiają mnie elektryczności, gdy najbardziej jej pożądam. W końcu, gdy po raz chyba setny Janek wyśmiał ten pomysł, stwierdziłam, że nie będę się poniżać snuciem teorii spiskowych i za każdym razem, gdy

wyłączano prąd – lokowałam się właśnie tu, gdzie siedziałam teraz. W kuchni, przy parapecie.

Niestety – widok za oknem nie dostarczał oczekiwanej rozrywki – żadnych pijaczków, z których można się śmiać, żadnych dzieciaków, które warto opierdolić. Za to, że bazgrzą po murach albo wręcz przeciwnie – za to, że nie bazgrzą, więc pewnie gdzieś pokątnie palą trawkę. Powód zawsze się znajdzie.

Okolica nigdy nie cieszyła się dobrą opinią. Opowiadano o bójkach, wściekłych kłótniach, a nawet morderstwach. Słyszając te plotki, uśmiechałam się pod nosem, zadowolona, że skoro tak o nas mówią, to na pewno żadne zadzierające nosa panisko nie zechce się tu wprowadzić. Ja na Poziomkowej mieszkałam od piętnastu lat i jedyne przestępstwo, którego byłam świadkiem, to gdy dzieciaki rok temu z nudów zakatowały psa Krzyśków. Zresztą nic dziwnego – nikt nie lubił tamtej rodziny. Uważali się za kogoś lepszego, a psa kupili, by, jak to z dumą powtarzali, bronić prywatności przed wścibskimi sąsiadami. Należało im się. Szkoda tylko psa w tym wszystkim, choć na wspomnienie zrozpaczonej minki ich rozhisteryzowanej córeczki aż mi się ciepło na sercu robi. Poza tym poziomkowa norma: trochę meneli, trochę nastolatków w kapturach, odrobina zdziczałych psów. Typowe osiedle na zadupiu.

Teraz jednak nikt nie wyściubił nosa z domu, nawet żaden kundel, na którego mogłabym ryknąć, że ma spierdalać. Moi sąsiedzi, choć w większości debile, mieli swój rozum i świadomość, że gdyby ktokolwiek potknął się na krzywym chodniku – niechybnie spędzi tam co najmniej pół nocy, aż gnidy z elektrowni zechcą włączyć prąd, a wołanie o pomoc usłyszy ktoś z równoległej ulicy – Rajskiej. Nie lubiliśmy się na Poziomkowej, co tu kryć. Na pomoc sąsiedzką człowiek nie miał co liczyć. No, może jedynie gdyby cię gwałcili na środku asfaltu, ktoś by się zainteresował. Bardziej z uwagi na to, byś przestała drzeć ryja, niż by ratować człowieka. Ale liczy się efekt, prawda?

Przeciągnęłam się i poprawiłam poduszkę pod łokciami. Nie zanosilo się na rozwój wydarzeń – samochód zajechał tu dziesięć minut temu i stał pod bramą, jakby czekał na coś lub na kogoś. Pomyślałam przez chwilę, że to znajomi Maćków przybyli na kolejną z całonocnych imprez. Z przekąsem i radością uznałam, że bez prądu to im żadna potańcowa nie wyjdzie. Mają za swoje!

Złośliwość szybko wyparowała. Na jej miejsce wskoczyła ciekawość. Z samochodu wysiadło trzech mężczyzn. Mieli na głowach kaptury i jakieś duże przedmioty w rękach. Było zbyt ciemno, bym mogła coś dostrzec. Poprawiłam poduszkę, wstrzymując oddech. Coś się działo. Nareszcie.

Pierwszy z mężczyzn otworzył furtkę jednym mocnym pchnięciem. Musiałam mrużyć oczy, by dostrzec coś w ciemnościach, ale na szczęście właśnie w tym momencie księżyc stopniowo zaczął wyłaniać się zza chmur. A potem ramię w ramię, równym krokiem, mężczyźni przemierzali brukowany chodniczek i stanęli pod drzwiami.

Nie zapukali. Nie zadzwonili. Tylko jeden z nich się zgarbił, jakby szukał czegoś w zamku.

Zrozumiałam, że jestem świadkiem rabunku, gdy pchnął drzwi, a one ustąpiły bez najmniejszego oporu. Tym razem wiedziałam, że nawet gdybym stała metr od nich, to bym nie usłyszała żadnego dźwięku. Maćkowie mieli wręcz świra na punkcie nowoczesnych drzwi i okien. Takich, które nie skrzypią, nie zacinają się i według ulotek „są nie do sforsowania przez złodziei”. O ile dwie pierwsze cechy mogłam z żalem serca potwierdzić (ja się Janka nigdy nie doprosiłam, by regularnie oliwić zawiasy, przez co cała ulica wiedziała, że wychodzę z domu!), o tyle ostatnia obietnica producenta właśnie poszła się jebać.

– Kacha mówiła, że Maćkowie dziś wyjeżdżają na pogrzeb, kretyńko! – powiedziałam, zbyt zaaferowana całą sytuacją, by zauważyć, że Janek w ogóle nie reaguje na moje słowa. Leżał jak gdyby nigdy nic. Dupek. On leży, a ja jestem świadkiem najprawdziwszego napadu! Takiego jak w filmach! Ciekawe, czy mają broń? Karabiny? Powiększyłam obraz w lornetce, ale nim zdążyłam odnaleźć jakiś wypukły kształt pod obszernymi bluzami, włamywacze skryli się w mrokach salonu.

W ekscytacji sięgnęłam po leżące nieopodal chipsy i zaczęłam wpychać w siebie jednego za drugim. Drugą ręką trzymałam przy twarzy lornetkę. Nic jednak nie mogłam dostrzec – mężczyźni zamknęli za sobą drzwi. Zastanawiałam się, czy zwrócili uwagę na luksusowy dywan, który leżał w korytarzu. Ręcznie plecione cudenko kosztowało Maćków fortunę, co podkreślali przy każdej wizycie, tłumacząc przy tym, że przędzy tej nie wolno prac, i wręczając gościom obciachowe kapcie z pomponami. A może złodzieje nie znali się na takich detalach i przeszli już do salonu, przeglądając porozstawiane po całym pomieszczeniu szkatułki z tandetną (ale oczywiście drogą!) biżuterią. Zawsze podziwiałam Maćkową – jak ona to robi, że potrafi wydać fortunę, a i tak wygląda, jakby obkupiła się na bazarze. Zero gustu.

Zawahałam się. Wiedziałam, że powinnam zadzwonić na policję, jednak z drugiej strony nim policja przyjedzie, złodzieje zdążą się zmyć. A potem się zacznie – przesłuchania, ciągnięcie po komisariatach, składanie zeznań raz po raz. Będę musiała wyjaśnić, czemu siedzę na oknie z lornetką, zamiast jak każda przykładowa kura domowa spędzać czas przed telewizorem. Na bank akurat minutę przed ich przyjazdem jebana elektrownia włączy prąd,

więc będę musiała świecić oczami, tłumacząc, że jeszcze chwilę temu go nie było.

Coś mi mówiło, że powinnam zadzwonić pod cholerne 997. Już byłam gotowa, już wstawałam, gdy o braku reakcji z mojej strony przesądziła ostatnia z rzeczy – prąd! Okna w okolicznych domach rozbłysły, a ja pod numerem siedemdziesiąt trzy dojrzałam tę wredną starą sukę z lornetką przyklejoną do twarzy. Obserwowała rabunek, tak samo jak ja. Dostrzegła mnie, pomachała pomarszczoną łapą, jakbyśmy były najlepszymi kumpelami na świecie, i wróciła do obserwowania.

Skoro ona nie reaguje, to ja mam mieć mniej zdrowego rozsądku? Ściągać sobie na łeb gliny? Niedoczekanie!

Radość nie trwała długo. Światło zamigotało i znów zapanowała ciemność. Tym razem tylko w nielicznych domach, w tym w moim.

– Kurwa! – zakląłam głośno. Nie było szans, bym obejrzała nowy odcinek „Cierpliwej miłości”. Za chuja, nie było. Już chciałam rzucić wiązanek przekleństw, ale głos uwiązał mi w gardle. U Maćków, na pierwszym piętrze, dostrzegłam ruch.

Przypomniało mi się, że tam właśnie jest pokój Natalii – nastoletniej córki, równie wkurwiającej co rodzice. Trzeba przyznać, że ten jeden gen przekazali jej wręcz z nawiązką. Mała sprowadzała sobie co miesiąc nowego gacha, obściskiwiała się z nim na chodniku, a potem kłaniała mi się, gdy pracowałam w ogródku i szyderczo wołała „Dzień dobry, pani Aniu, może pomóc?”, jakbym nie wiedziała, że potem oplotkuje moją niezaradność. Nagle wszystko się w mojej głowie poukładało: młoda nie pojechała z rodzicami, tylko została w domu, zapewne udając przed staruszkami przeziębioną. A teraz jej niby-śmieszni kumple bawią się w napad, by nastraszyć dziewczynę. Dobrze, że nie zadzwoniłam na policję – wyszłabym na idiotkę.

W pokoju rozbłysło światło. Zobaczyłam, że młoda stoi w oknie ubrana tylko w kusą koszulkę nocną. Dla pewności wyciągnęłam rękę w stronę czajnika – najbliższego urządzenia elektrycznego. Kliknęłam włącznikiem, ale nie zarejestrowałam żadnej reakcji. Elektrownia musiała uruchomić tylko jedną nitkę. Oczywiście te złośliwe gnoje włączyły prąd po drugiej stronie ulicy. Nigdy go nie puszczali po mojej jako pierwszej, jakby tamci jebańcy mieli jakieś priorytetowe traktowanie!

*Swoją drogą ta młoda suka ma niezłe cycki* – zlustrowałam jej sylwetkę od góry do dołu. *Dupę też*. Przeszła do biurka, rozsiadła się. Okno miała na tyle duże, że widziałam dokładnie, co robi.

– I tak ci wszystko oklapnie na starość! – rzekłam z powagą. A potem prześlizgnęłam się wzrokiem po reszcie okien, jednak nigdzie nie mogłam znaleźć chłopaków.

Wróciłam więc do obserwowania Natalki i mało co nie wypuściłam lornetki z rąk.

W jej pokoju zmaterializowało się trzech zamaskowanych mężczyzn. Jeden z nich trzymał dziewczynę za przeguby, drugi dotykał jej twarzy, a trzeci śmiał się. Szarpała się. Wyostrzyłam na jej twarz i zrozumiałam, że jest skrajnie przerażona. Nie знаła ich.

Odwróciłam się, by zadzwonić po pomoc. Musiałam zadziałać, zareagować, teraz! Rzuciłam się w kierunku korytarza, złapałam słuchawkę przestarzałego telefonu stacjonarnego i nagle sobie uświadomiłam, że bez prądu i tak nic nie zdziałam. Gównem się rozładowało, zawsze zapomniałam włożyć słuchawkę do ładowania.

Co robić?!

Wróciłam do okna. Spojrzałam na Janka, ale szybko zmieniłam zdanie. Spał. Mieliśmy ostatnio ciche dni, nie będę wychodzić na mięczaka, by ratować tyłek dziwce z naprzeciwka. Chwyciłam za lornetkę. Mężczyzna nadal trzymał Natalię, mocno ściskając jej rękę. Drugi powoli, z lubieżną precyzją, rozcinał jej cienką koszulkę nocną. *Trzeba spać we flanelowej, dziwko* – pomyślałam, widząc, z jaką łatwością kosztowny jedwab poddaje się ostrzom nożyczek. Gdzieś w głowie tłukła mi się myśl, że muszę pomóc, zareagować w jakikolwiek sposób. Tajemnicza siła trzymała mnie jednak przy oknie, hipnotyzowała, sprawiała, że powtarzałam sobie trzy słowa: nie twój interes. I patrzyłam dalej.

W domu obok coś drgnęło. Szybki rzut okiem utwierdził mnie w przekonaniu, że akcję obserwuje już kolejna osoba. Julka, jedyna sąsiadka, z którą szło się dogadać. Potrafiłyśmy spędzać długie godziny przy płocie. Zawsze miała w zanadrzu jakieś smakowite plotecki. Nie zauważyła mnie. Widziałam, że ma światło, mogłaby już dzwonić na policję, a mimo tego stała w oknie. Jej dłoń powędrowała na dużą, obwisłą pierś...

– O ty zborezniczko – szepnęłam, by po chwili stwierdzić z zaskoczeniem, że mi też zrobiło się mokro między nogami. Wróciłam wzrokiem do domu naprzeciwko.

Zaniemówiłam. Jeden z mężczyzn brutalnie posuwał szarpiącą się dziewczynę, a reszta ochoczo mu wtórowała, robiąc sobie przy tym dobrze. Ich ręce poruszały się w górę i w dół sporych rozmiarów penisów, a gwałciciel ostro ujeżdżał dziewczynę, trzymając ją za ręce i nogi. Miał siłę, byłam pod wrażeniem widoku jego falującego ciała, gdy wchodził w nią i wychodził. Fascynował mnie sposób, w jaki splątał jej kończyny, chwycił w swoje dłonie niczym w kajdany, nie dając najmniejszych szans na wyswobodzenie. W końcu wyszedł z niej i – tak, tak, widziałam, przysięgam – trysnął prosto na jej twarz.

Kumple zaklaskali. Stojący najbliżej chwycił Natalię za włosy. Dziewczyna szarpnęła się, bezskutecznie. Nogi się pod nią uginały. Z tej odległości byłam w stanie dostrzec ślady krwi, które zostały na białej pościeli. Facet podniósł dziewczynę, jakby była piórkiem, rzucił

na stojące pod oknem biurko tak, że mogłam w przybliżeniu obserwować każdy grymas jej twarzy, a potem wszedł w nią.

Widziałam ból malujący się w jej oczach, zarys mięśni, które napięła. Widziałam, że jej sutki, mimo cierpienia, sterczą jak u prawdziwej dziwki. Jak szybko otwiera usta i prawdopodobnie próbuje krzyżeć, choć wie, że nikt tego nie usłyszy. Rok temu Maćki zainstalowali dźwiękoszczelne okna, stwierdzając, że mają dość hałasu z ulicy. Jakby Poziomkowa była co najmniej tak uczęszczana jak Marszałkowska.

Los z nich zakpił.

Wyostrzyłam znów lornetkę i dopiero zrozumiałam, że mężczyzna nie wchodzi w mokrą pizdę, a prosto w tyłek. Podniecenie spadło na mnie niespodziewanie. Dotknęłam swoich warg, potem piersi, potem schodziłam ręką niżej i niżej. Za każdym jego erotycznym ruchem czułam się bardziej rozpalona i spragniona. Janek nigdy nie zerznął mnie w dupę. Twierdził, że to tabu. A mi zawsze brakowało odwagi, by go zdradzić z innym. Bywał chorobliwie zazdrosny.

Teraz trąc z całej siły napęczniałe wargi sromowe, zastanawiałam się, jak to jest. Jakie to uczucie?

Obserwowałam gwałt, dysząc coraz mocniej, głośniejsz, bez pamięci pieszcząc się palcami, zanurzając je w sobie coraz głębiej. Aż wsadziłam jeden w dupę. Gdy zobaczyłam, jak mężczyzna wysuwa z zemdlonej Natalii zakrwawionego penisa, zawylałam przeciągle. A potem opadłam bez sił, rozumiejąc, że to za dużo emocji jak na jeden dzień – najpierw akcja z Jankiem, teraz to. Powlekłam się do łóżka. Spojrzałam przelotnie na telefon, ale brak prądu ciągle uniemożliwiał mi zgłoszenie sprawy na policję. Zresztą – inni też widzieli, nie zareagowali. Czym miałam się przejmować?

Obudziłam się o siódmej. Rześka jak skowronek. Kolano nie bolało, w krzyżu nic nie strzelało. Jak przez mgłę pamiętałam wydarzenia wczorajszego wieczoru. Potem przeczytałam w gazecie, że policja w domu naprzeciwno znalazła ciało wielokrotnie zgwałconej i ostatecznie zarżniętej dziewczyny. „Krew była wszędzie!” – mówił listonosz, którego zaniepokoiły otwarte drzwi. Według dziennikarza policjanci nie chcieli podać szczegółów, gdyż w piwnicy odkryli kolejne ciała – rodziców Natalii. O ile okoliczności zejścia dziewczyny od razu określono jako „gwałt przy okazji rabunku, dokonany przez nieznaną sprawców”, o tyle śmierć dorosłych nie pasowała do scenerii. W artykule wyraźnie sugerowano, że choć policja unika zdradzania jakichkolwiek hipotez, to wszystko wskazuje na to, że dorosłych zaciukała małolata.

Patrząc na Janka, pomyślałam, że każdy na Poziomkowej ma swoje sekrety.

Z rozciętym od ucha do ucha gardłem zdawał się krwawo do mnie uśmiechać.

– Gdzie ja cię teraz ukryję, szmato? – spytałam, lecz nie raczył odpowiedzieć. Miałam niewiele czasu. Policjanci prędzej czy później zaczną pytać sąsiadów, czy czegoś nie widzieli. Choć są debilami jak wszyscy mundurowi, to musieliby osiągnąć skrajny poziom zidiocenia, by nie zapukać do sąsiadki z naprzeciwka.

Przez krótką chwilę zrobiło mi się żal dziewczyny. Dopiero co dokonała przełomu w swoim życiu, odważyła się na duży krok w rozwoju osobistym, gdy jakieś gnojki postanowiły ukrócić jej żywot. Cóż, przynajmniej nie pójdzie do pierdła. Czego nie można powiedzieć o mnie, jeśli zaraz nie zabiorę się za sprzątanie. Najpierw jednak wypiję kawę. Każdemu należy się odrobina przyjemności na dzień dobry.



rys. Roman Panasiuk



# KARIN

Marianna Szygoń

– Kto cię zwerbował?

Choć ani Rakowski, ani Mayson nawet go nie dotknęli, mężczyzna wykrzywił twarz w bolesnym grymasie. Przekrzywił głowę, omiatając sufit dzikim spojrzeniem i niespodziewanie wyprężył ciało, jakby chciał rozerwać więzy, ale pasy, którymi przymocowano go do fotela, trzymały mocno.

– No? – spytał ponownie Rakowski. – Jak cię znaleźli?

Facet opadł na siedzisko, ciężko dysząc, niczym schwyte w potrzask zwierzę. Niskie, gładkie czoło obficie zrosił pot, oczy rozbłysły nienawiścią, a z przygryzionych warg zaczęła sączyć się krew.

– Allahu akbar! – wycedził przez zaciśnięte zęby.

– Nie pierdol, Marczak. – Agent nie podniósł głosu, ale ostry ton zwiastował, że stracił cierpliwość. – Żaden z ciebie muzułmanin.

– Easy, easy – upomniała go Mayson.

Przesłuchiwany spojrział na kobietę spode łba, rozcapierzył palce i naprężył mięśnie tak, że opaski mocujące ręce do poręczy wrzynały się głęboko w pulchne przedramiona.

– Milcz, suko! – zawył. – Takie jak ty pierwsze pójdą pod nóż! Allahu akbar!

Rakowski odwrócił głowę i napotkał spojrzenie kobiety. Pozostała niewzruszona; nie знаła polskiego, ale na pewno domyśliła się znaczenia tych słów. Musiała słyszeć podobne groźby już wcześniej.

W różnych językach.

\*\*\*

Rakowski miał rację. Marczak nic nie wiedział o islamie i nie obchodziło go wyznanie, coraz śmielej poczynające sobie w kraju, w którym przyszło mu spędzać urlop. Za ważniejszy uznawał luz, słońce, błękitną wodę w hotelowym basenie i możliwość zaliczania turystek z różnych stron świata. Wyboru dokonał przypadkiem, a raczej wyboru dokonał za niego wolny rynek: chłopak skorzystał po prostu z okazji *last minute* w biurze podróży, mijanym codziennie w drodze do pracy. Witryna, prawie szczelnie zaklejona przykuwającymi wzrok ofertami, kusila coraz niższymi cenami. Nic dziwnego, że gdy spadły odpowiednio nisko, zdobył się wreszcie na to, by przekroczyć próg.

Nie wszystko zgadzało się z wizjami z folderów reklamowych, ale zakrapiane imprezy w towarzystwie rozrywkowych rodaków szybko sprawiły, że zapomniał o wszelkich niedotrzymanych obietnicach. Przez pierwsze dni po przyjeździe właściwie nie trzeźwiał, idealnie wpisując się w stereotyp przeciętnego Polaka na wakacjach.

Do czasu.

Nie zauważył momentu, w którym został wybrany. Być może zwrócili na niego uwagę podczas pośpiesznego zwiedzania jakiegoś nudnego meczetu. Dziwne, bo nie zamienił ani słowa z żadnym z tych ponurych, śmierdzących potem ciemniaków. Raz tylko skrzyżował spojrzenia ze starcem o pomarszczonej niczym wysuszony owoc twarzy. Nigdy nie przypuszczał, że przelotny kontakt wzrokowy może sprowokować zmianę osobowości. A może tylko wydobyć z podświadomości coś, co tkwiło w niej głęboko?

Nie od razu zauważył przemianę. Z początku nie było w tym nic niepokojącego – wyczerpany całonocnymi libacjami zaczął odczuwać niechęć do wlewania w siebie

horrendalnych ilości alkoholu. *Zaszyłeś się*, szydzili nowi znajomi. Pożegnał ich bez żalu, rzuciwszy na odchodnym kilka dosadnych słów. Natychmiast wpadł w szpony nowego nałogu, a raczej w ramiona poznawanych przygodnie dziewczyn. Żadna z łóżkowych przygód nie zdołała jednak powstrzymać postępującej frustracji i przybierającego na sile gniewu.

Ostatnia dziewczyna, zaliczona w noc przed wyjazdem, była Niemką. Miała na imię Karin.

\*\*\*

– Od kogo dostałeś nowy paszport?

Mężczyzna przypięty pasami do specjalnego fotela wyglądał na wyczerpanego. Przestał się rzucać, łypał tylko obłąkanym wzrokiem, potrząsał głową i coraz mocniej zaciskał palce na poręczach. Rakowskiemu długotrwałe przesłuchanie też dało się we znaki. Dawno zdjął marynarkę i odrzucił krawat na stół. W rozchełstanej koszuli siedział naprzeciwko rozmówcy, raz po raz pocierając piekące powieki. Mayson wyglądała tak samo obojętnie, jak kilka godzin wcześniej; poza dyskretnym wygrzebywaniem żaloby spod paznokci nie zdradzała żadnych oznak znudzenia.

– Nie dosłyszałem nazwiska. – Skrępowany człowiek uśmiechnął się ironicznie i dodał: – Zresztą, oni wszyscy tam noszą imię Muhammad.

– Czym więc ten jeden wyróżniał się spośród reszty?

Przesłuchiwany przekrzywił głowę, udając, że się zastanawia. Przez moment jego twarz pozostawała skupiona, poważna, tylko spod przymrużonych powiek wyzierała pogarda. Lekko unióśł kąciki warg, gdy odpowiadał:

– Był taką samą ciotą, jak ty.

Rakowski w ostatniej chwili zatrzymał pięść tuż przed jego szczęką. Powoli cofnął dłoń, niechętnie rozprostował palce i przez moment z konsternacją przyglądał się ich drzeniu.

\*\*\*

Po kilku drinkach rozgoryczona kłótnią z narzeczonym Karin przyłgnęłaby do każdego mężczyzny o przyjemnej aparycji, a Marczak znalazł się w odpowiednim miejscu i we właściwym czasie, by mogła ulec wrażeniu, że sama dokonała selekcji. Uwierzyła, że to ona wyłuskała chłopaka z rozbawionego tłumu i pozwoliła odprowadzić się do hotelu, chociaż wybranek posługiwał się i niemieckim, i angielskim raczej słabo.

Nie o konwersację przecież chodziło.

Niejasnym pozostaje, dlaczego nagle zmieniła zdanie. Zapewne tego wieczoru wypła za mało albo barmani oszukiwali na drinkach. Być może sztuczny uśmiech chłopaka wydał się podejrzany, być może po prostu rozbolała ją głowa, albo porozrzucane w nieładzie części męskiej garderoby przypomniały o istnieniu partnera. Wraz z ich widokiem przyszło opamiętanie, pojawił się pomieszany ze wstrętem wstyd. W każdym razie dała gościowi do zrozumienia, że ma się wynosić, chwilę po tym, jak przekroczyli próg hotelowego pokoju.

Wymuszony uśmiech szybko zniknął z ust Marczaka. W uszach zaszumiało, jakby ktoś wypełnił je natarczywym szeptem, dłonie same zacisnęły się w pięści. Ślady obecności innego mężczyzny nie uszły jego uwadze, obracając irytację w gniew. Zwykle nie stanowiło to żadnego problemu, ale tym razem natrętna myśl, niczym podprogowo przechwycona odpowiedź, zdołała zawładnąć umysłem chłopaka.

*Niewierna suka. Zepsuta dziwka.*

Tej nocy uderzył kobietę pierwszy raz w życiu. I nie poprzestał na tym.

\*\*\*

– Z kim kontaktowałeś się w Polsce?

Tym razem Rakowski nie doczekał się odpowiedzi. Przesłuchiwany błdził oczami po ścianach, tylko od czasu do czasu przemykał nieprzytomnym spojrzeniem po twarzy agenta, zdając się go nie dostrzegać.

– He's out. Enough. – Mayson zdusiła papierosa w popielniczce.

– No. Last question – zachnął się Polak. – He must answer.

Uśmiechnęła się krzywo, ale nie skomentowała ani językowej nieporadności współpracownika, ani jego śmiesznego akcentu, pozwalając sobie w myślach na jadowitą konstatację, że przesłuchiwany mówił lepiej po polsku niż Rakowski po angielsku.

– Enough – powtórzyła kategorycznym tonem.

Wstała i podeszła do skrępowanego mężczyzny, który naraz odpłynął, jakby sama bliskość Mayson stanowiła jakiś ustalony sygnał. Głowa indagowanego opadła na piersi, ślina z ust pociekła na brodę i zaczęła skapywać na bluzę. Potem ramiona poruszyły fale kolejnych drzeń, a z gardła wydobył się przeciągły pomruk, taki, jaki czasem wydają z siebie ludzie budzeni ze snu.

Wzburzony Rakowski zerwał się z krzesła i wypadł na korytarz. Otworzył okno i wziął kilka głębokich wdechów. Zapach mokrego igliwia przyprawił go o zawrót głowy, ale

papieros szybko przywrócił złudzenie równowagi. *W taką pogodę ryby lepiej biorą*, pomyślał, żałując, że nie znajduje się nad jeziorem z wędką w dłoni. Szum spływającej rynnami wody powoli łagodził rozdrażnienie, ciemna zieleń mazurskiego lasu rozpraszała gniew. Zaciągnął się raz i drugi, śledząc wzrokiem Mayson, spacerującą w deszczu z zażywnym Murzynem. *Zawsze znajdują się tacy, co wpieprzą ci się w robotę.*

*Ruscy czy Amerykanie – jeden czort*, skonstatował, zatrzasnął okno.

\*\*\*

Gdy nad ranem w pokoju Karin zjawiała się miejscowa policja, Marczała już dawno tam nie było. Zniknął bez śladu; nie wrócił do swojego hotelu i nie stawił się na zbiórce przed wyjazdem. Wściekły rezydent biura podróży zgłosił w końcu zaginięcie, więc pozbawieni entuzjazmu stróże prawa szybko połączyli obie sprawy. Przechodząc nad tragedią dziewczyny do porządku dziennego, uznali, że chłopak zaplanował ucieczkę przed odpowiedzialnością za gwałt i pobicie.

Mieli rację tylko po części.

Nie Marczał to zaplanował. Nogi same poniosły go w rejony, których przy zdrowych zmysłach nie odwiedziłby żaden turysta z Europy. Wędrując nocą przez dzielnice, do których nie docierały odgłosy z ludnych barów i dyskotek, nie odczuwał strachu. Nie dbał o to, dokąd ma iść. Drogę wskazywał mu ten sam głos, który zdawał się na dobre zadomowić w jego umyśle. Ucichł, gdy wędrowiec wreszcie stanął przed jednymi z wielu podobnych do siebie drzwi.

Marczał spojrział w górę: przez zamknięte szczelnie okiennice nie wydostawał się na zewnątrz ani jeden promień światła. A jednak chłopak czuł, że za tymi murami buzuje coś, co przywiodło go na miejsce, szepcząc słowa nie do końca zrozumiałe, ale kuszące niczym syreni śpiew. Coś, co wyrwie go ze labiryntu frustracji, zepsucia i marazmu.

Wskaże mu nowy cel.

\*\*\*

– Kto dostarczał ci składniki?

Kolejny dzień, ten sam pokój bez okien, milcząca Mayson, paląca papierosa za papierosem. Ten sam zdeterminowany Rakowski w czystej koszuli, świeżo wyprasowanej przez żonę. Tylko przesłuchiwany jakby bardziej skory do współpracy. Rozluźniony, pewny

siebie, gadatliwy.

– Nikt. Sam zdobyłem. To nic trudnego, nawet ty byś dostał, gdybyś chciał – roześmiał się drwiąco.

– Kłamiesz – odrzekł śledczy tak beznamiętnie, jakby wymieniali uwagi tylko dla zabicia czasu. – Nie skleciłeś tego sam. Kto pomógł ci w przygotowaniach?

– Ach, przejrzałeś mnie. – Indagowany zrobił zbolaną minę, udając szczery żal. – Pomagał mi taki jeden głupi szczyl. Marczak mu było...

Rakowski poczuł, jak idealnie dopasowany kołnierzyk koszuli parzy mu szyję, a ciało przenika nieprzyjemny dreszcz.

– Nie błaznuj, Marczak – warknął.

– Jak chcesz, możemy dalej strzępić języki.– Przywiązany pasami do fotela wyduł usta, spoglądając na śledczego z politowaniem. – Po prostu boisz się prawdy.

\*\*\*

Choć rano ścisnął mróz, chłopak dotarł na miejsce złany potem. Ubrany w grubą, puchatą kurtkę nie wyróżniał się z tłumu. Przekraczając próg, jak inni zdjął czapkę, ale nie przeżegnał się jak reszta, choć wcześniej planował, że tak zrobi. Dla zachowania pozorów, oczywiście.

Gdy znalazł się przy kropielnicy, nawet wyciągnął ku niej rękę, ale w ostatniej chwili cofnął dłoń. Powstrzymał go niewiadomego pochodzenia prąd, z nagłą przeszywający ramię. Nie podjął drugiej próby, pchnięty do środka przez kroczących za nim ludzi. Strumień wiernych poniósł chłopaka głęboko w tłum, pozwolił mu zabrać się do centrum kościoła. Opatulony aż pod samą szyję, przejęty, raz po raz ocierał spocone czoło wolną dłonią, wciąż jeszcze nieco zdrętwiałą od przenikającego ją, karcącego impulsu. Mało subtelnego napomnienia od tego, który bezustannie szeptał Marczakowi do ucha w obcym języku słowa: niewytlumaczalne, lecz niezawodnie zmieniające się w myśli, popędy i pragnienia.

Perswazje kogoś w rodzaju anioła stróża. Albo raczej jego negatywu...

Chwilę przed rozpoczęciem nabożeństwa w świątyni zapadła nienaturalna, pełna skupienia cisza. *Taka, jak przed burzą*, zdążył pomyśleć chłopak, zanim zabrzmiały pierwsze takty kolędy. Patetyczny śpiew organów przetoczył się przez kościół niczym grzmot, na moment zagłuszając szept złego anioła.

Wtedy Marczak uruchomił zapalnik.

\*\*\*

– Powiedz, boisz się prawdy? – zadrwił przesłuchiwany. – Dam głowę, że ze strachu już sfajdałeś się w gacie. Ach, nie, zapomniałem – spojrzał na agenta przepraszająco – głowę to ja już dałem. Cudzą nie zamierzam kupczyć. Zresztą, może to ten pieprzony jankes tak cuchnie...

Rakowski zaklął, zniecierpliwiony.

– Do rzeczy – warknął. – Im prędzej skończymy, tym prędzej wrócisz do swojego piekła.

– Tak, z utęsknieniem czekam, aż pozwolisz mi opuścić to parszywe cielsko. Chociaż, właściwie, ty nie masz tu nic do gadania. – Czarnoskóry, tęgawy mężczyzna odwrócił głowę i splunął tak daleko, jak tylko mógł, nie dosięgając jednak Mayson. – Ona tu rządzi. Nie ty.

Kobieta zastygła na moment z papierosem w uniesionej dłoni, otworzyła usta, jakby miała zamiar coś powiedzieć, ale w końcu nie odezwała się ani słowem.

Rakowski obrzucił podejrzliwym spojrzeniem pasy, utrzymujące murzyna w fotelu.

– Zachowuj się, Marczak – mruknął. – Kto ci pomagał?

– Nikt. Ależ z ciebie zakuty łeb... Tak ciężko pojąć, że samobójcy naprawdę się nie znają? „A jedno o drugim nic nie wie...” – zanucił fałszywie, po czym roześmiał się wesoło.

Rakowski poczuł, że za moment braknie mu tchu. Wstał, rozpinając kołnierzyk koszuli nerwowym szarpnięciem. Mimo to duszności przybrały na sile, a serce zaczęło bić ciężko i nierówno. *Strata czasu*, pomyślał.

– Wake him up – rzucił do Mayson i ruszył ku drzwiom.

– Why? – W jej głosie zabrzmiały jednocześnie niezrozumienie i przygana.

– Just do it, do jasnej cholery – zażądał tuż przed progiem.

Walcząc z coraz płytszym oddechem, dopadł okna i otworzył je szeroko. Serce powoli przestawało łomotać o żebra, wdechy i wydechy odzyskały równy rytm, ale niepokojące uczucie *déjà vu* nie znikło. Który to już raz Rakowski musi przerywać przesłuchanie, by zaczerpnąć powietrza? Przy innych sprawach się to nie zdarzało, ale ta była pierwszą, w której zamiast z podejrzanym, rozmawiał z karinem. Demonem, towarzyszącym człowiekowi za życia i przemawiającym w jego imieniu po śmierci.

Za plecami agenta otworzyły się drzwi pokoju przesłuchań. Wiedział, co to znaczy. Za chwilę Mayson wyprowadzi wyczerpane sesją medium, by doszło do siebie na świeżym powietrzu. Nie usłyszał jednak ich kroków.

Poczuł za to, jak lodowaty podmuch przenika go do szpiku kości. Przeciąg? Dziwne,

przecież w pokoju przesłuchań nie było okna. Odwrócił się, zafrapowany, i wtedy potężna, czarna dłoń schwyciła go za gardło i uniosła jak słomianą kukłę. Rakowski próbował drapać, kopać i krzyczeć, ale paznokcie ześlizgiwały się po spoconej skórze opętanego, kopniaki trafiały w próżnię, a z ust wydobywało się już tylko rżenie.

Zanim stracił przytomność, zdołał dostrzec ponad ramieniem medium drgające jeszcze w agonii ciało Mayson.



# CARPENOCTEM.PL

PISZEMY O GROZIE OD 2003 ROKU

LITERACKI HORROR DLA ZAAWANSOWANYCH.  
GROZA WCIĄGA!





ANTOLOGIA NOVEL NEO-NOIR  
**HARDBOILED**

ZIĘBIŃSKI WOJCIECHOWICZ ZYCHLA MIKOŁAJCZYK

SCOTT SIGLER  
**ZAKAŻENIE**

KONTYNUACJA BESTSELLEROWEJ **INFEKCJI**



KOTULAK, KRÓL, TUROWSKI, WOJCIECHOWICZ, ZYCHLA

**POKŁOSIE**

ANTOLOGIA OPowiadań W HOŁDZIE  
STEPHENOWI KINGOWI

PIOTR  
BOROWIEC

WSZYSTKIE  
BIAŁE DAMY

[www.gmork.pl](http://www.gmork.pl)

**GMORK**  
WYDAWNICTWO

[fb.com/wydawnictwo.gmork](https://fb.com/wydawnictwo.gmork)

Kupując wspierasz:

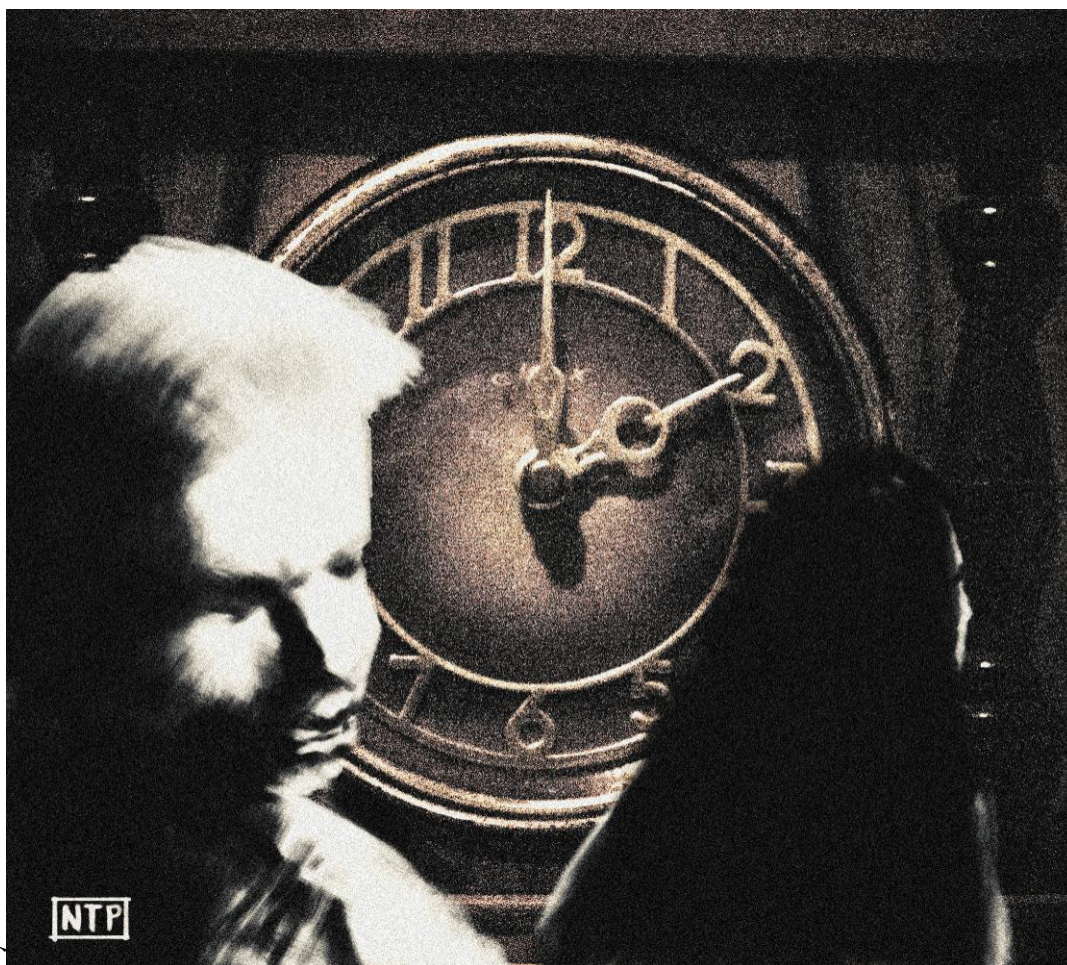
2% ze sprzedaży przekazujemy na wsparcie dla kotów.



HOSPICIUM  
DLA KOTÓW  
BEZDOMNYCH



rys. Roman Panasiuk



# LIMIT

Marek Palutkiewicz

## Dzień 1.

„Jest północ!”, słyszę przez rozmęczone zwały akumulowanych przez cały dzień myśli, doprowadzonych szczyptą snu i stroboskopowym miganiem telewizyjnych reklam, bezlitośnie wycelowanych w moje półprzymknięte powieki. Niechętnie otwieram oczy i wpatruję się w ten panoramiczny, pięćdziesięciocalowy sztuczny mózg – namiastkę rozrywki dla szarych ludzi. Na ekranie fizycznie idealna kobieta skrzeczy na fizycznie idealnego mężczyznę, szczując mnie półnągą piersią. Widocznie kiedy spałem, zaczął się

jeden z tych emitowanych na żywo programów, w których coraz krótsze spódniczki zapewniają emisję kolejnych odcinków. Świadomość bycia omamianym drażni mnie gdzieś głęboko pod skorupą dojrzałej znieczulicy. Czuję, jak erekcja napiera mi na spodnie, jeszcze zanim zdążę pomyśleć o tym, że chętnie przeleciałbym tę panienkę, tylko proszę, niech tak nie skrzeczy. Błagam! Sięgam ręką po pilota, żeby ściszyć te nieludzkie wrzaski i przewracam butelkę z piwem. Odruchowo rzucam się po nią, podczas gdy blondyna wystrzeliwuje wyrazy z prędkością karabinu maszynowego i inteligencją godną uciekającej na piętro ofiary z horrorów. „E no wiesz może i wyglądam na łatwą a ty też niczego sobie ale za drinka to e nie mało się starasz myślisz że co że polecę na to że ty śpiewasz Presleya przy goleniu a mama mówiła mi żeby uważać bo chłopcy jedno w głowie tylko a...”, kontynuuje, natomiast mój mózg zaczyna alarmować, że zaraz nastąpi przeciążenie zbędnymi informacjami. Wspinam się na wyżyny koordynacji ruchowej: jedną ręką podnoszę butelkę, a drugą chwytam pilota od telewizora.

– Milcz, skrzeczący cycu – syczę i wykonuję wyrok, wciskając przycisk oznaczony przekreślonym głośnikiem.

Efekt przekracza moje najśmielsze oczekiwania. Kobieta w jednej chwili milknie, dławi się, krztusi, chwytając za gardło. Wszystko na nic, nie może wydobyć z siebie głosu.

Boże, zaraz ją uduszę! – przebiega mi przez myśl i zerkam na pilota, jakby to stwierdzenie miało jakikolwiek sens. Włączam z powrotem fonię, pozwalając jej oddychać. Skrzecz! No, skrzecz! – dopinguję w duchu niczym lekarz noworodka po pierwszym klapsie, jednak dziewczyna nie może wydobyć z siebie słowa. Ulga ogarnia mnie dopiero, gdy zauważam, że jej klatka piersiowa rytmicznie unosi się i opada. „Candy, nic ci nie jest? Candy, co się stało? Candy? Candy?”, wypytuje z ekranu fizycznie idealny mężczyzna z paniką w głosie, jednak i on po chwili milknie, obejmując dłońmi swą szyję. Wygląda teraz jak zmęczony po biegu pies z wywieszonym na zewnątrz językiem. Oboje stoją przerażeni, pozbawieni tej najprostszej formy komunikacji – mowy. „Co jest, do ch...”, daje się słyszeć jakby zza kamery i bez zapowiedzi na antenę wkraczają reklamy.

Zaczynam się śmiać. Najpierw cicho, potem coraz głośniej i głośniej, aż wreszcie muszę zagryźć poduszkę, by nie obudzić swym rechotem żony, śpiącej w pokoju obok. Kiedy mój atak się kończy i zaczynam łąpać oddech, z powątpiewaniem patrzę na rząd pustych butelek po piwie, kwestionujących realność zaistniałych zdarzeń.

– Dobranoc, Candy – mówię i wyłączam telewizor, po czym idę spać do mojej kobiety. Dziś mogę. Dziś pokłóciliśmy się tylko trochę.

\*\*\*

Nie da się śpiewać przy goleniu. Niby jak? Powiedz mi, Candy, jak „fizycznie idealny” to robił? Jest to możliwe podczas nakładania pianki i rozmasowywania jej po skórze. Wiem, bo mój tenor roznosi się właśnie po pionie wentylacyjnym w całej kamienicy i być może zwielokrotnione echo upodobni go nieco do oryginału „Love Me Tender”. Nie wydaje mi się jednak wykonalne wydobywanie melodyjnych dźwięków w czasie, gdy ostrza śmigają przy moich delikatnych wargach.

Biorę do ręki maszynkę, przykładam do skóry i kontynuuję recital. Skoro to „coś” w telewizji dało radę, to i mnie powinno się udać.

– *Love me...*

*Trrrt* – maszynka wykonuje gładkie posunięcie, choć ręka drży po wczorajszej jednoosobowej popijawie.

– ... *tender...*

*Trrt* – kolejny ogolony bezkrwawy odcinek.

– ... *Love me long... Take me to your heart...*

*Trrrt, Trrt, Trrrt.*

Maszynka przedziera się przez zarośnięte policzki, tak jak ja przez przebój Elvise – niepewnie i z trudem.

– *For my darlin', i love you... and i always...*

*Trr...* – ostrze zagłębia się w ciele na milimetr, ale to wystarcza, by pianka błyskawicznie nabiegła krwią. Ostatni wyraz przeboju zastyga mi w gardle i wiem już, że zamiast niego wypluję siarczyste przekleństwo.

Wrzucam maszynkę do umywalki, zaciskam zęby i ustawiam czubek języka na żuchwie, gotów do stworzenia głoski „k”, rozpoczynającej najbardziej rozpoznawalny polski wulgaryzm.

Kkk... – rozchodzi się jednak tylko w mojej głowie, gdyż wyraz więźnie w czeluściach gardła. Nie mogę wypowiedzieć słowa. Moje usta poruszają się, szczęka reaguje na rozkazy, jednak struny głosowe są głuche na ządania. Łapię się za szyję i z wrażenia wybałuszam oczy. Patrę w lustro. Wyglądam tak samo beznadziejnie jak wczoraj Candy, pseudonim „Skrzeczący Cyc”, i Fizycznie Idealny, alias „Toaletowy Presley”.

Mój głos nie ma zamiaru wrócić.

– Powinieneś wziąć coś na gardło – mówi przy śniadaniu moja żona tak beznamytnym tonem, jakim zapewne już niedługo powie „powinniśmy wziąć rozwód”. Dokładnie tak, powie „wziąć” zamiast „wziąć”, czym od lat doprowadza mnie do szału.

Staram się jej wytłumaczyć, że to wszystko wina Candy i pilota od telewizora. Gestykuluję więc, pokazuję na migi, podczas gdy moje usta tylko głupio wykrzywają się z wysiłku, a ja spadam niżej i niżej w hierarchii człekokształtnych. Zmieniam taktykę, streszczam wszystko, pisząc na kartce, lecz Bóg jeden wie, kiedy ostatnio korzystałem z długopisu, a nie klawiatury, przez co moje wyrazy przypominają zasieki z drutu kolczastego – są całkowicie nieczytelne.

– Jest siódma! – słyszę krzyk sąsiada z góry i spuszcza bezradnie ręce.

Niegroźny wariat, od kilku lat informujący cały blok o każdej pełnej godzinie, przedarł się przez mój system motywacyjny i rozbroił go. Nawet on ma nade mną tę oczywistą przewagę: może wypowiadać słowa.

Zrezygnowany włączam telewizor, nastawiam poranne wiadomości i kładę się na sofie, odprowadzany spojrzeniem współmałżonki.

Coś jest nie tak – myślę, obserwując materiał filmowy opatrzony jedynie melodyjnym podkładem dźwiękowym i krótką informacją streszczającą u dołu ekranu. Kierowany przecuciem włączam radio i robię rekonesans po dostępnych stacjach. Wszystkie rozgłośnie odtwarzają muzykę. Przebiega mnie nieprzyjemny, zimny dreszcz, jakby prawda próbowała przebić się przez zaporę z zaprzeczeń.

Wybiegam z domu w kierunku ośrodka zdrowia, a im bliżej jestem, tym więcej spotykam ludzi takich jak ja, jak Candy i „fizycznie idealny”: przestraszonych i bezradnych. Do budynku nawet nie wchodzi. Koczują już przed nim tysiące ludzi. Bezskutecznie. Lekarze również stracili zdolność mowy.

\*\*\*

Większość ludzi zaniemówiła w pół godziny po przebudzeniu. Mniej więcej po takim czasie człowiek wypowiadał sto słów, i taki też był Limit – powstały znikąd, a oddziałujący na wszystkich. Pozwalał nam powiedzieć pięćdziesiąt razy „kocham cię” albo niespełna cztery „przed użyciem zapoznaj się z treścią ulotki dołączonej do opakowania bądź skonsultuj się z lekarzem lub farmaceutą, gdyż każdy lek niewłaściwie stosowany zagraża twojemu życiu lub zdrowiu”. Twój wybór, jak wykorzystasz swoją setkę.

Gdy stacje telewizyjne powróciły do nadawania, naświetlając linijkami tekstu ten ogólnoswiatowy problem, podano, iż jest to limit dzienny, gdyż za pasem zmiany daty zdolność mowy już powróciła (choć znów ograniczona do stu słów).

Wibracja telefonu.

„Spóźnienie”, odczytałem wiadomość od szefa.

Jak? No jak, do jasnej cholery, mam obsługiwać klientów bez możliwości rozmowy?

\*\*\*

Stoimy na przejściu dla pieszych. Jedni ubrani w garnitury, drudzy w spodnie robocze, kobiety w suknie, sukienki, spódniczki i inne części garderoby, których nazw nigdy nie potrafiłem zapamiętać. Czekamy, aż sygnalizacja świetlna pozwoli nam przejść. Nic nie mówimy, ale z pewnością myślimy o tym samym. Gdy zapala się zielone światło, ruszamy bez wahania, choć z niepewnością w oczach.

Pierwszy dzień z Limitem w pracy był istną katastrofą...

...na całej kuli ziemskiej.

\*\*\*

Siedzę w domu i bez ruchu wpatruję się w ekran komputera. Nawet powieka nie zamierza mi drgnąć, choć oczy domagają się pilnego nawilżenia. Gdyby nie bardzo powolne ruchy klatki piersiowej, można by stwierdzić, że nie żyję, choć w rzeczywistości tak się właśnie czuję.

Zniszczył ją.

Bóg zniszczył naszą nową Wieżę Babel.

Zauważył, że zdołaliśmy na nowo nauczyć się wspólnego języka, by porozumiewać się pomiędzy narodami. Aby zgromadzić się w jednym miejscu, stworzyliśmy Internet i już nic nie stało nam na przeszkodzie, by zjednoczyć się w wirtualnej, globalnej społeczności.

Siedzę przed monitorem i patrzę na boski gniew. Internet odmówił posłuszeństwa, tak jakby ktoś wyciągnął światową wtyczkę. Dlaczego. Boże, dlaczego? Wiem... Już wiem... To przez Candy... Candy zdenerwowała Go swoją bezgraniczną głupotą, więc posłużył się mym pilotem, by ukarać za to cały rodzaj ludzki. Doprawdy, w tej chwili jestem skłonny w to uwierzyć.

Słyszę, jak otwierają się drzwi do mieszkania i rozpoznaję kroki mojej małżonki. Otrząsam się z katatonii (choć mutyzm według wszelkich przesłanek utrzyma się jeszcze do północy) i włączam telewizor. Najnowsze linijki tekstu informują, że Internet odmówił posłuszeństwa z powodu przeciążenia serwerów. Cały świat, nie mogąc inaczej wyrazić swoich myśli, postanowił opublikować je na wszelkich możliwych portalach, co spowodowało awarię. Miliardy ludzi przemnożone przez tysiące znaków, zdjęć i (niemych) filmów zaśmieciły do cna światłowodowe autostrady. Czyli to nie gniew Boga, a zwykła awaria. To dobrze, lepiej radzimy sobie z problemami technologicznymi niż religijnymi.

Przeskakuję kanały, na każdym czytam to samo, a w przerwach raczę się ogłupiającymi bloczkami reklamowymi. Wyłączam telewizor. Nie mam ochoty na to patrzeć. Zamykam klapkę laptopa i pogardliwym spojrzeniem żegnam radio, którego użyteczność jest bliska zeru. Zdaję sobie sprawę, że jeszcze nigdy nie byłem tak bardzo odłączony od źródeł masowego przekazu. Idąc za ciosem, wyjmuję baterię z telefonu komórkowego, by sygnał nadchodzącej wiadomości nie zmaćił tej chwili. Zapada zupełna cisza. Tak niespotykana, że mój mózg sam stara się wykreować choć śladowe ilości dźwięku, gdyż nie jest w stanie pojąć, co się dzieje; nadaje jakiś nieistniejący szum, który panoszy się głęboko w uszach. Czym jeszcze obdarzy mnie skołowany umysł, gdy jedynym słyszalnym teraz odgłosem jest bicie mojego serca?

Przez bezkres nicości przebijają się przerywany, cichy i zmęczony oddech. Podążam w jego kierunku i pojmuję, że to zduszony płacz. Płacz osoby, z którą żyję od lat. Wchodzę do łazienki i zastaję Aleksandrę, dziewczynę, którą szalenie pokochałem i poślubiłem lata temu. Jest cała we łzach, przestraszona i bezbronna. Podnosi na mnie niewinne zielone oczy, szukając bezpiecznej kryjówki przed nieznanym. Biorę ją w ramiona i tulę tak długo, aż moja koszula przesiąka jej łzami, a szarpany oddech uspokaja się. Całuję policzki i głaszczę uspokajająco długie, kasztanowe włosy. Obejmuje mnie, więc podnoszę ją, wkładając rękę pod kolana, a drugą przytrzymując plecy, i przenoszę na łóżko, gdzie zasypiamy w bezkresnej ciszy.

Nie kłócimy się pierwszy raz od miesiący.

Nie mamy jak.

\*\*\*

Budzą mnie delikatne, mokre pocałunki rozdawane na mojej szyi, ramionach i torsie. Chwilę później kochamy się po raz pierwszy od... nie pamiętam... tygodni, miesiący?



Nie wiem, czy jęki rozkoszy liczą się do Limitu, ale nie ma to dla nas znaczenia.  
Żadna Candy nie jest mi potrzebna.

\*\*\*

– Jest dwudziesta trzecia!

### **Dzień 30.**

Każdy ma swoje zadania. Każdy ma wydane dyspozycje. Jesteśmy jednością i tylko razem możemy przeżyć. Kroki, kroki, kroki. Bezustanny szum tysięcy stóp zmierzających od punktu do punktu w asfaltowych korytarzach miasta. Znam ten dźwięk. Bezustanny szmer niczym z nienastrojonego teleodbiornika. Miliony odnóży, czuzków, tułowi i odwłoków.

Mrowisko.

Ludzkość wskoczyła na podium najlepiej zorganizowanych gatunków na świecie. Niebawem, jak bardzo posunęliśmy się do przodu, i to w ciągu miesiąca.

Zapaliło się zielone światło. Idziemy równo i pewnie.

Innowacyjność ludzi nie zna granic. Udowodniliśmy to w chwili największego kryzysu – niemal całkowitego odebrania nam przywileju mowy. Przyjęliśmy karę, ktokolwiek lub cokolwiek ją wymierzyło, i przeszliśmy nad nią do porządku dziennego. Jakby na rozgrzewkę przed technologicznym skokiem w dal, niemal z dnia na dzień pojawiło się oprogramowanie umożliwiające porozumiewanie się pomiędzy personelem a klientami, dostosowane do każdej dziedziny życia i pracy. Powstały programy intuicyjnie prowadzące do skonkretyzowania problemu za pomocą drzewek wyboru. Wystarczy dodać, że każda firma zajmująca się bezpośrednią obsługą klienta musiała zakupić do tego odpowiedni sprzęt, by wyobrazić sobie skalę biznesu, jaką wywołał Limit. A to dopiero początek. Niczym ksero z powieści science fiction w przeciągu pierwszego tygodnia zaprezentowano prototyp urządzenia wyświetlającego holograficzną postać pomyślanych słów. Przy tak dobrze rozwijającym się biznesie nie trzeba było długo czekać, żeby rynek zaczęły zasypywać gadzety, jakby Limit był tylko chwilową modą. Kubki, plakaty, ubrania i inne wymysły. „100” stało się liczbą-religią – symbolem dnia dzisiejszego. Może i ta dziwna propaganda nie była całkiem logiczna, ale odwracała uwagę od tych, którzy z Limitem nie potrafili sobie poradzić. Od ludzi, którzy skakali z okien, wieszali się i wbiegali pod samochody. Ludzi, których życie stało się bezmiernie puste bez możliwości tak podstawowego kontaktu z drugim człowiekiem.

Najsłabsi odpadali.

Wchodzę do biura. Nie tracę słów na zbędne przywitania. Już niedługo hologram myśli będzie robił to za mnie. Przede mną osiem godzin porozumiewania się poprzez klikanie i przyciskanie.

Nasze czułki pracują miarowo, nie pozostawiając miejsca na błąd.

\*\*\*

Dziś wypowiedziałem trzydzieści dwa słowa. Zdążyłem w nich przywitać się z Olą, spytać, co zje na śniadanie, poinformować, o której wrócę, a także dwadzieścia cztery razy przekląć w pracy.

Teraz siedzę w domu i pędzę przez przywróconą do użytku światłowodową autostradę, powszechnie zwaną Internetem. Niby jest taka sama, lecz diametralnie zmalało na niej natężenie ruchu, za sprawą nałożonych – tym razem na pewno przez ludzi – ograniczeń. Aby nie dopuścić do kolejnego przeciążenia sieci, każdy, chcąc korzystać z tego daru techniki, musi zarejestrować się w oficjalnej bazie użytkowników. Skończyła się era anonimowości. Drogi obywatelu Ziemi, każda twoja litera jest zliczana, a każdy przesłany megabajt danych odnotowany. Możesz opublikować tysiąc znaków dziennie i zamieścić jedno zdjęcie na miesiąc. Witaj w epoce „tylko ważnych informacji”. Twoje słowa – twój wybór.

Ja również biorę udział w tym globalnym konkursie na tysiąc znaków. Konstruuje mądrości, zamykam je w pigułce kilkuwyrazowych zdań i patrzę z dumą na każdą literę – moje dzieci w wirtualnej przestrzeni. A im dłużej patrzę, tym bardziej mam wrażenie, że tworzę jedynie kopie ogólnie znanych prawd, parafrazuję dawnych myślicieli. Przeklejam mój post do wyszukiwarki, by sprawdzić swe podejrzenia. Abraham Lincoln, Horacy, Bolesław Prus, przeglądarka wyświetla wyniki, pogrubiając podobne moim zwroty, które zostały już kiedyś zapisane lub powiedziane.

Wygląda na to, że nie wymyśliłem niczego nowego.

Zaznaczam cały tekst i kasuję, uderzam dłonią o blat biurka, z trudem blokując przekleństwo cisnące mi się na usta, kiedy nagle doznaję olśnienia. Przecież właśnie o to chodzi: wszystko zostało już powiedziane. Każde słowo, każda myśl była wielokrotnie powtarzana na przestrzeni wieków. Wymyślanie ich na nowo jest tylko stratą czasu i... miejsca; kolejnym megabajtem danych zaśmiecających nasz globalny dysk niczym zwielokrotnione kopie niepotrzebnych plików. Być może Limit nie jest karą, a rozwiązaniem, programem mającym pomóc utrzymać w stabilności system przeciążony ilością danych –

system, który jest Ziemią. Pytanie brzmi: kto jest użytkownikiem tego „komputera” i czy przypadkiem nie zamierza sformatować „dysku”, jeśli Limit nic nie pomoże?

Zabieram się za pisanie i po piętnastu minutach publikuję post, który w ciągu kilku godzin obiega cały świat.

Cały świat.

Tak działa Wieża Babel.

\*\*\*

– Jest dziewiętnasta! – Wrywa mnie z zamyślenia krzyk sąsiada z góry. Są więc ludzie, dla których nic się nie zmieniło.

Ola patrzy na mnie z troską. Widocznie odłączyłem się na dłużej niż zazwyczaj. Gładzę jej rękę i uśmiecham się, pokazując, że wszystko jest w porządku, choć w środku drzę z niepewności, co wywołałem, publikując swą hipotezę. Gdy sprawdzałem godzinę temu, udostępniono ją ponad dziesięć milionów razy.

Później bałem się sprawdzać.

Włączamy telewizor i trafiamy na dyskusję przybyłych do studia profesorów. Ich wywody odczytywane są bez krzty uczucia przez syntezytor mowy. Rozmawiają, a jakżeby inaczej, nad tym zlepkim zdań, które dziś wytworzyłem. Po pierwszym szoku zaczynam się cieszyć, że wreszcie ktoś wziął się za zgłębianie przyczyny, a nie jedynie skutku Limitu, a może nawet jestem dumny z tego, że sam dałem tym „profesorom” do myślenia. Moja hipoteza o „użytkowniku” i „komputerze-Ziemi” ma zarówno zwolenników, jak i przeciwników, lecz cała ta dyskusja to i tak niepotrzebna paplanina, bezkresne gdybanie w oparach odtwarzanych słów – coś, czego według moich przemyśleń, mamy się wystrzegać.

Nie wytrzymuję i wyłączam telewizor. Wykorzystuję swój Limit, tłumacząc Oli, o co chodzi w mojej „hipotezie przesytu”, lecz nie zdążam nawet rozwinąć myśli, kiedy głos odmawia mi posłuszeństwa.

W połowie zdania.

Kimkolwiek jesteś, daj mi chociaż skończyć pieprzone zdanie!

Dławię się i krztuszę, jakbym spodziewał się, że ta nadprzyrodzona moc usłyszcy, posłucha, zrobi ten jeden jedyny wyjątek. Proszę, pozwól mi na chociaż jedno słowo! – błagam w myślach i czuję, jak łzy napływają mi do oczu. Ola przytula mnie, kiedy zaczynam bezgłośnie płakać.

– Kocham cię – mówi i zdaję sobie sprawę, że specjalnie dla mnie trzymała te dwa ostatnie słowa na dzisiaj wieczór, a ja nie mam nawet jak jej odpowiedzieć.

### **Dzień 31.**

„Wtedy jakby tak zabrakło mi tchu w sensie że o mój Boże chyba umieram i taka kula w gardle mówię wam wiecie straszne uczucie i myślę mam ja nie chcę zejść w programie na żywo po prostu nie na wizji a z drugiej strony byłabym przecież gwiazdą bo taki show przyciąga i oglądają go ludzie z dużego miasta a zwłaszcza Warszawy i...”

Skrzeczający Cyc. Candy, Skrzeczający Cyc, przedarła się do mojego snu i zamieniła go w koszmar. Łapię wyimaginowanego pilota i raz po raz wciskam przycisk wyłączający dźwięk, lecz nie działa. Po prostu nie działa.

„... a to w ogóle niesprawiedliwe że niby jak to że ktoś sobie tak wymyślił że nie mogę powiedzieć co chcę i normalnie a przecież mam wolność słowa bo jestem wolna to dlaczego mam być ograniczona że niby co a...”

Dość. Wylegiwanie się w łóżku nie powinno być okupowane takim cierpieniem. Walczę z sobą i postanawiam się obudzić. Wiem, że sen jest bardzo lekki i mogę w pełni nad tym zapanować, więc mobilizuję się i otwieram oczy.

„... oczywiście są miejsca gdzie taki Limit nikomu by nie zaszkodził bo mówią tam w języku który brzmi jakby czkali i i tak nikt nie rozumie o co chodzi na przykład w państwie Afryka albo na Grenlandydzie czy...”

Siadam spanikowany na łóżku. Rozglądam się niespokojnie po pokoju, wstaję i podążam do źródła nieprzyjemnego skrzeku. W pokoju dziennym zastaję Olę. Stoi nieruchomo w pizamie i wpatruje się w ekran, z którego Candy wystrzeliwuje słowa, jakby od dłuższego czasu zalegały jej w brzuchu i musiała natychmiast się ich pozbyć.

– Limit... zniknął... – mówi moja żona, oszczędzając słowa tak, jak nauczył nas miniony miesiąc.

Zniknął – powtarzam w myślach, nieprzyzwyczajony, że mogę bez żadnych konsekwencji wypowiedzieć to na głos. Przełączam kanały zalewane potokami słów. Z przerażeniem obserwuję, z jak zadziwiającą beztronską ludzkość przeszła do normalności, jakby Limit nigdy nie istniał. Jakby ta lekcja niczego nas nie nauczyła.

Pozostaje mieć nadzieję, że Użytkownik dokupił wystarczającą ilość „miejsca” na naszym „dysku”, byśmy mogli tak trwonić słowa. Bo jeśli nie...

## **Dzień...**

Nie mogłem zasnąć. Skrupulatnie odliczyłem dwanaście uderzeń zegara, gotowy na kolejną informację naszej blokowej zegarynki.

– Jest... – usłyszałem sąsiada z góry.

„Pólmoc” – dopowiedziałem w myślach. Oczekałem chwilę, jednak żadne słowo więcej do mnie nie dotarło. W jego mieszkaniu rozległ się hałas, jakby ktoś miotał się po pokoju. Charakterystyczne skrzypnięcie ramy okiennej sprawiło, że usiadłem na posłaniu i przetarłem oczy.

Za naszym oknem przeleciał cień.

Sąsiad spadał cicho, bez krzyków i wrzasków, po czym z głośnym plaskiem uderzył o wybrukowany chodnik.

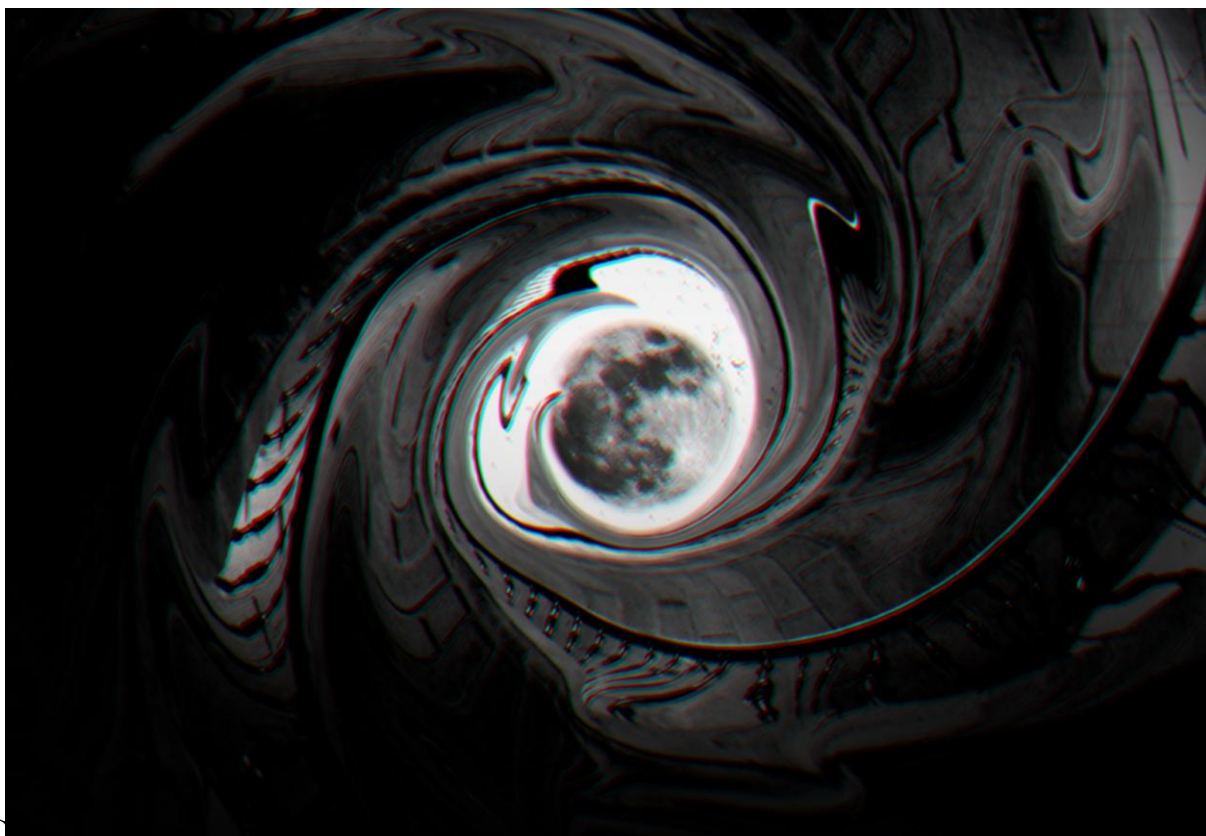
– Kochanie – powiedziałem przerażony, szturchając Olę w ramię.

– Tak? – mruknęła sennie.

– ...

– ...

Masz jedno słowo. Twój wybór, jak je wykorzystasz.



# MARZENIE SPOWITE SMOGIEM

Karol Zdechlik

Królewskie Wzgórze to przeklęte miejsce.

Nawet zanim rozegrały się wydarzenia, o których opowiem, leżało na mapie kraju niczym bezkształtna, poszarpana rana, niczym ropiejący wrzód w dolinie wśród gór, niczym połać butwiejącego mięsa, w którym zaległo się wszelkie lubujące się w nieczystościach i namnażające w ciemności robactwo. Stopniowo, dzień za dniem, mgnienie oka za mgnieniem oka, niesprecyzowany cień wzrastał w sercach mieszkańców.

W najstarszych dzielnicach miasta straszły wiekowe kamienice. Od dawna

zaniedbane, o malowanych od wielkiego dzwonu frontowych elewacjach, poddawanych remontom na kształt zabiegów kosmetycznych, jakim poddaje się zwłoki przed pochówkiem. Upstrzone różnokolorowymi, bryzgającymi świetlistą breją w dzień i w noc neonami, które zawiesił bez ładu i składu ktoś wielbiący bezformie. Budynki o brudnych oknach, pękającym tynku, chwiejących się schodach, pozwijanych niczym tunele larw pożerających wnętrzości rozjechanego psa porzuconego na poboczu drogi. Odziane w plamy farb, brud naciekający od pokoleń, w schorzałe narośle pleśni i krosty cementu, jaśniejsze, ale gasnące szybko nowe deski i dobudowywane koszmary z cegieł – oznaki prowadzonych bez większego przekonania prowizorycznych napraw. Na zatęchłe podwórza, pełne rozkładającego się śmiecia i starzyzny, ukryte pomiędzy ciasno ściśniętymi budynkami, nigdy nie przebijało się słońce. W zamkniętych na zawsze pomieszczeniach kurz gromadził się nieustannie na skrzypiących, odkształconych podłogach, na grubych firanach pozostawionych przez właścicieli na pastwę nieubłaganego czasu, na uchylonych drzwiach wypaczonych szaf, pobrzękujących zmatowiałymi szybkami.

Ogromne cmentarzysko kamienic, platanina krętych uliczek, pełnych ciemnych zaułków i bram rozpiętych nad pamiętającym średniowiecze brukiem wiodącym znikąd donikąd, było dzielnicą rozrywkową. Jak ómy do światła zlatywały się tam tłumy weekendowych hedonistów, mniej lub bardziej świadomie zapijających koszmara życia w tym zdegenerowanym molochu i wypełniających czymkolwiek przejmującą pustkę własnego istnienia. Sam lubiłem zanurzyć się w oparach podlej wódki i jeszcze podlejszego tytoniu, jednak nigdy nie potrafiłem zapomnieć o tym, gdzie jestem i co tam robię.

Znajdowałem przyjemność, włączając się wśród tych niesamowitych i odstręczających zarazem zabudowań. Lubiałem wchodzić na ostatnie piętra, pochylając głowę w ciasnych przejściach, przyświecając sobie zapalniczką w wiecznym półmroku.

Lubiłem też patrzeć w dół, stojąc na szczycie schodów. Zwłaszcza jeśli udało mi się odnaleźć budynek ze spiralnymi schodami. Patrzyłem w dół klatki schodowej aż do zawrotów głowy, zamykałem oczy i marzyłem o tym, by barierka pękła pod moim naporem. Marzyłem o dusznym, zatęchłym powietrzu i o spotkaniu z nieskończonością czającą się gdzieś hen, daleko w odmętach spirali. Czekałem na decyzję tych ślepych, kosmicznych sił, ciągle odwołaną decyzję o moim losie.

Czekałem.

Daremnie.

Miasto wyludniało się od lat. Mogłem wyjechać, jak setki innych. Zawsze chciałem wyjechać. Ostatecznie zostałem, a wyjechała moja narzeczona. Nie odwróciła się za siebie,

gdy rażno i zdecydowanie wkroczyła do pociągu, ciągnąc za sobą walizkę. Stwierdziła, że jestem potworem i że boi się tego, co czai się w zakamarkach mojej głowy.

Nie żałowałem, miałem jeszcze tę drugą. Przynajmniej do czasu, gdy i ona nie wyjechała, zostawiając mi tylko list pożegnalny. Zostawiła w nim namiary na siebie, w tym adres w innym mieście, leżącym daleko na północ stąd. Mieście, do którego niegdyś chciałem się przeprowadzić. Nie zmieniła numeru telefonu, o czym też napisała, więc mogłem w każdej chwili do niej zadzwonić. Nie zrobiłem tego.

Znalazłem sobie trzecią. Porcelanowego aniołka o zgruchotanej psychice. Uwielbiałem leżeć z nią nago w jej mieszkaniu na poddaszu, gdy patrzyliśmy w milczeniu na nocne niebo otwierające się za oknem w dachu. Potem snuliśmy opowieści o gwiazdach, o ułudzie ich blasku i o okrucieństwie Nieznanego, każącego im bombardować nas światłem milenia po ich śmierci. Mógłbym przysiąc, że jej ciało, tak białe, że aż sine, srebrzyło się lekko w tym obcym, bezlitosnym lśnieniu, które nie pozwalało zapomnieć o naszej ludzkiej małości, o tym, iż byliśmy nic nieznaczącymi pyłkami w absolutnie obojętnym wszechświecie.

Czasem przyjmowaliśmy za prawdziwe twierdzenie, że Bóg jest, po czym uznawaliśmy, że jednak Go nie ma. Napawało nas to przerażeniem. Jeśli by Go nie było, to całe nasze życie straciłoby jakikolwiek sens. Jakiegokolwiek punkty odniesienia, wszystkie wartości, wszystko, co pochodziło od Niego i co ludzkość uznawała za słuszne, bo oparte na Jego słowie – okazałoby się pyłem na wietrze. Innymi razy przyjmowaliśmy za prawdziwe twierdzenie przeciwne – że Boga nie ma, po czym uznawaliśmy, że jednak jest. To również napawało nas przerażeniem. No bo jak to – nagle się okazuje, że przez całe nasze życie wisi nad nami jakaś obca, nieznana, niewiarygodnie potężna inteligencja, obserwująca każdy nasz krok, bawiąca się nami niczym kukielkami na sznurkach w sobie tylko znanym celu?

A czasem po prostu pieprzyliśmy się zapamiętanie. Jej przeraźliwie chude, kościste ciało wyginało się pod niesamowitymi kątami. Podniecało mnie to do szaleństwa. Wiele razy bałem się, że niechcący zrobię jej krzywdę, złamię ją niczym suchy patyczek, że zmiażdżę jej filigranową postać. Dlatego lubiłem, gdy to ona była na górze. Reagowała z pasją, z niespożytymi siłami wciąż i wciąż, raz za razem, wijąc się w ekstazie.

Odebrał mi ją szaleniec lubujący się w młodych, niewysokich i szczupłych dziewczynach. Szukałem go później. Nie tylko z zemsty. Zdawało mi się, że rozumiałem jego motywy. Napędzał go obłąd, narastająca nienawiść do siebie samego i innych ludzi, niedająca się przewyciężyć sprzeczność między chęcią zmiany czegoś we własnym życiu, w tej ślepej, zdeterminowanej i uwarunkowanej egzystencji, a dołującą, przejmującą, wszechwładną



niemożnością zrobienia czegokolwiek.

Nie znalazłem go nigdy. Może wiele razy mijalem go na ulicy, może wiele razy przelotnie spojrzalem na jego twarz, prześlizgnalem się po jego rozgorączkowanym spojrzeniu. Może rzuciłem mu krótkie „dzień dobry” w jakimś urzędzie lub „przepraszam”, gdy przeciskałem się koło niego w autobusie. Może ustąpiłem mu miejsca w tramwaju, może przytrzymałem mu drzwi od windy. Może, może, może.

W zaciszu czterech ścian wynajmowanej kawalerki oddawałem się upojnym seansom nienawiści do ludzkości i siebie samego. W wolnych chwilach pisałem opowiadania, publikowane potem w internecie lub w niszowych zinach, obwołałem się nawet ostatnim świadkiem upadku miasta, cichym apostołem pochłaniającego je szaleństwa.

Wtedy też przyszła do mnie Ona. Pojawiła się znikąd i jakby nigdy nic usiadła na moim łóżku. Pochyliła się ku mnie, usłyszałem jej melodyjny, głęboki głos, szepczący mi wprost do ucha, że jeśli pozostanę w mieście do samego końca, spełni się moje największe, skryte marzenie. Jej głos ociekał słodyczą i zmysłowością. Słuchając go, czułem się spokojny, upewniony co do obranego celu. Jego brzmienie przywracało mi złudne poczucie wewnętrznej równowagi. Czy sam stałem się szalony? A co to właściwie znaczy: szaleństwo? Zresztą, wraz z uwiądnięciem norm społecznych to, co definiowano jako normalne jeszcze z miesiąc wcześniej, przestało już obowiązywać. Jeśli na miasto nagle spadły ciężkie szpony Nieznanego, któż może ocalić się przed ich dotykiem, skoro codziennie mozolnie stwarzamy się na nowo w relacjach z innymi, zamykając własną pustkę pod tysiadcem masek zmienianych w zależności od kontekstu? Utraciliśmy punkty odniesienia. Tak po prawdzie nigdy ich nie mieliśmy, teraz stało się to oczywiste dla każdego.

Wkrótce, przygnieciony świadomością, że wszystko, co robię, jest absurdalnie pretensjonalne w swojej błahości i przyziemności, zerwałem wszelkie kontakty z przyjaciółmi i znajomymi. Albo oni ze mną. Pewnego dnia przestaliśmy się zauważać. Wystarczała mi Ona, przychodząca do mnie wtedy, gdy noc jest najzimniejsza. Siadała na łóżku, na mnie, dotykała mojej twarzy. Czasem wyglądała jak utkana z litego mroku, jakby z miliona nałożonych na siebie cieni, innym razem zdawała się być człowiekiem z krwi i kości. Nie raz i nie dwa widziałem jej sylwetkę w lustrze, gdy koło mnie nikt nie stał, albo za oknem, mimo tego, że mieszkalem na ósmym piętrze, albo za przeszkłonymi drzwiami do pokoju. Była posłańcem czegoś, co nieubłagane zbliżało się, narastało dzień po dniu pośród jesiennej szarugi, zapuszczając swoje korzenie w duszach mieszkańców, w ich snach i marzeniach, w liściach drzew, w ścianach budynków.

Zaiste, Królewskie Wzgórze to przeklęte miasto.

Gryzące opary smogu otoczyły miasto powoli, nieprzenikalną barierą, przykryły je szczelnie, odgradzając od reszty świata. Początkowo nikt tego nie zauważył, smog nie wytworzył jednolitej kopuły, swobodnie dawał się rozwiewać przez wiatr, po czym wracał na dawne miejsce, rozprzestrzeniał się na okoliczne miejscowości, gdzie nie różnił się od zwyczajnych zanieczyszczeń powietrza. Potem rozproszył się, tylko po to, by zbić się w mackowatą formę, wił się po ulicach, zakrywając sobą całe dzielnice, zaczynając od rubieży i nieubłaganie krocząc do centrum.

W rzadkich momentach, gdy widzę czyste niebo, dostrzegam w nim gorejące oczy Boga. Mruży je bezustannie, raz za razem otwiera je i zamyka, jakby nie mógł uwierzyć, że to, co widzi, istnieje naprawdę.

A może po prostu patrzy, jako obca siła, patrzy i napawa się widokiem rozciągającym się przed Legionem jego oczu? Jasnych i ciemnych, gorejących niczym gwiazdy, ale przyćmiewających je swoim blaskiem. Czy też jest ślepą siłą, obcym żywiołem wpatrzonym w świat, który jest dla Niego tak samo niepojęty, jak On dla nas?

Smog-nie-smog nazwano „Oddechem Boga”. Śmieszyła mnie ta nazwa. Śmieszyła mnie błahość pojęć. Śmieszył mnie narastający obłęd. Śmieszyły mnie spojrzenia ostatnich mieszkańców mijanych na ulicach.

Nie wiedziałem, co dzieje się z tymi, którzy wejdą w smog lub będą mieli nieszczęście przebywać w pochłoniętej części miasta. Snułem się przy granicy zawłaszczonych ulic. Wiele razy widziałem zarysy poruszających się po omacku sylwetek, nie raz i nie dwa słyszałem dobiegające ze smogu dźwięki. Najbardziej przerażające były modlitwy po łacinie, wiszące w dusznym powietrzu i dudniące w pogrążonym w ciszy mieście. Przerzywały je wybuchy płaczu lub śmiechu, charczenie, kaszel, zgrzytanie ogromnych konstrukcji przemieszczających się gdzieś w głębi smogu, poza zasięgiem ludzkich oczu.

Czy ktoś stał za smogiem? Czy moja cienista przyjaciółka pochodziła od tego kogoś, czy stała za nią inna siła? Może dwie obce ludzkości siły bawiły się tym zjawiskiem, rozstawiając po mieście swoje pionki jak na szachownicy?

Nie liczyłem dni. A może to wszystko to był jeden dzień. A może to był rok. A może to była chwila, wystarczająca na mrugnięcie powieką.

Zostałem w mieście do końca. Tak, jak chciała.

W nagrodę pokazała mi swoje prawdziwe oblicze.

Była duszą tego miasta, cierpiącą, chorą duszą, która przysłała do mnie po pomoc. Nadałem jej kształt, swobodnie ukształtowałem na swój obraz i podobieństwo, lub raczej utkałem ją z wszystkich dręczących mnie koszmarów, wlewając w nieistniejące ciało całą

udrękę, jaką tylko mogłem w sobie znaleźć.

Bez słów objęliśmy się, a nasze usta spotkały się. Dotyk jej miękkich, pełnych warg był elektryzujący, ale wyraźny posmak pyłu odarł tę chwilę z przyjemności. Była wysoka, o pełnych kształtach. Miała ciemne oczy i spływające do szyi smoliście czarne włosy.

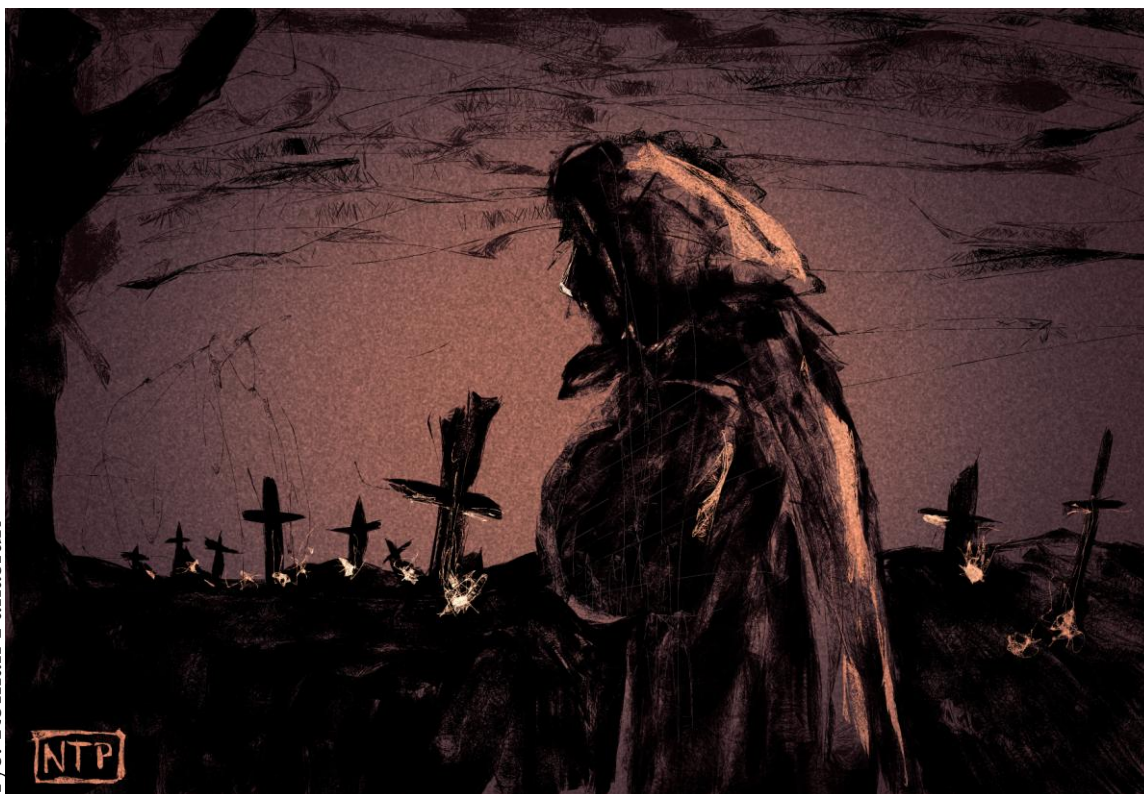
Odkąd zdałem sobie sprawę, kim jest, czekałem na ten moment. Zaprowadziłem ją do ołtarza katedry, w której zamieszkałem, gdy smog zagarnął część miasta, gdzie mieściła się moja kawalerka. Trzymając się za ręce, obserwowaliśmy wiszącą nad nami figurę ukrzyżowanego Chrystusa. Z oczu wyrzeźbionej postaci, z głowy poranionej koroną cierniową oraz z dłoni i nóg przebitych gwoźdźmi rzeźbiście kapąły wielkie krople czarnej krwi. Bezgłośnie rozchlapwały się na bladym blacie ołtarza. Krwawe zacieki formowały się w spirale.

A potem poderżnąłem jej gardło kuchennym nożem zachowanym specjalnie na tę okazję. Przez chwilę łapała powietrze, miotając się jak ryba wyrzucona na brzeg, po czym zastygła, przewieszona przez masywny, kamienny blat. Jej krew obryzgała tabernakulum, którego szeroko rozwarłe drzwiczki ukazywały gnieźdzącą się wewnątrz pustkę.

Nienawidziłem tego przeklętego miasta. Zniszczenie go było moim największym marzeniem.

Za pustymi ramami witraży piętrzyła się tylko ściana smogu. Pierwsze jego pasma zaczęły więc się pod wysokim sklepieniem gotyckiego gmachu.

rys. Roman Panasiuk



# MOGIŁKI

Olga Rot

Hanka zawiązała pod brodą na gruby węzeł chustę wcale nie najlepszą, starą, w której dla wielkiej już jej brzydoty i zużycia tylko do prac najbrudniejszych chodziła. O tyle jednak była dobra, że bura, ciemna, we ćmoku nie dojrzysz, a i gruba na tyle, by głowę od wiatru i zimna osłonić. Noce już takie, że kożuch narychtowany w sieni, nie w komorze leży, bo ziąb okrutny i wicher zawiewa, jakby to nie na Zaduszki, ale na Gody było.

Wychyliła się Hanka ostrożnie, ostrożniutko, czy matka nie wyjdzie i nie przyłapie. Ale nie, siedzi w ciepłe, przy piecu, jedną ręką paciorki różańca przebiera, drugą się za serce trzyma i kolebie w przód i w tył, jak to jej już w zwyczaj weszło. Jak się tak rozmodli i rozkolebie, to i jej byle co nie ruszy, ale lepiej nie ryzykować, a tylko się chyłkiem,

chyłeczkiem z chałupy wymknąć. Drzwi za sobą kamieniem podłożyć, co by się same z siebie czy pod wiatru podmuchem nie odemkły i siu, na pola, na ugory.

Tak po prawdzie, to się Hanka aż tak bardzo matki nie boi, ale jakoś przywykła żyć po swojemu, po kryjomu i czemuś tak woli, co by nikt tak do końca nie wiedział, co robi. Zamknęła cichutko drzwi do izby i trzymając w ręce okulaki, na paluszkach wymknęła się na dwór. Tu dopiero włożyła na nogi buty, których dla hałasu, jakie czyniły wewnątrz chałupy, wdziac nie śmiała prędeż, jak właśnie tu, na rozmokłym od przeszłego deszczu podwórku. Popatrzyła w górę, ku księżycowi, któren się właśnie szczęściem za chmurką schował. Noc będzie jasna, zimna, wcale, wcaleńko jak na Gody. Przemknęła Hanka cieniem, jaki gospodarskie budy rzucały, twarz w chuście swojej od światła księżycowego chowając.

Jak się już za wsią, wśród brzózek, co jakby straż przednią przed lasem trzymały, znalazła, dopiero się Hanka głębiej odetchnąć ośmieliła, choć to dopiero jedną część drogi przebyła. Dotąd od ludzi, teraz od strachów strzec się musiała. Rada by się pomodlić, ale to jakoś źle, niedobrze, tak naprzeciw najsurowszym zakazom Dobrodzieja. Ale przecież sercem czuje, że tak właśnie czynić należy. A zawsze się Hanka swego serca więcej jak ludzkiego gadania słuchała. Trochę jej to łez przyniosło, trochę radości, jak to w życiu. A bo to ci, co tylko prawie robią, inaczej mają, jak raz to śmiech, raz to łzy właśnie? Próbowała się Hanka zmienić, karnie zgiąć karku, ale ją w nocy płacz tak żałośliwy budził, że o mało z tego w chorobę nie popadła. Tak to i po swojemu robiła, choć jej straszno było i o ludzkie oko niezyczliwe, i o ten ćmok, w któren wkraczała, i o wszystkie dziwieta, które w niem się kryć mogły.

Mogiłki ze dwie wiorsty za kościołem, wśród lasku, pełgały w ciemnościach płomykami ogarków. Ostatni z zapóźnionych byli już dawno odeszli, zostawiając w glinianych miseczkach strawę dla dusz, które się tej nocy z czyścica na ziemię wrócić mogły i pożywić, niebożęta, na tej ziemskiej okruszynie. Widziała Hanka, które groby bogate, gospodarskie, bo tam i garnuszki droższe, ładniejsze, i to, co w nich było, też lepsze, tłuste i dostatnie; widziała też, które mogiły chude, komorniczne, u których więcej księżycowego światelka jak jedzenia w popękanych rynienkach było. U stóp wielkiego krzyża, co go sto lat temu z trafionego od pioruna drzewa utoczono, rozlało się małe jeziorko płomieni, bo każdy, kto tego dnia na żalnik poszedł, jeden ogarek dla swego zmarłego, a drugi dla dusz czyścicowych, pod krzyż cmentarny, niósł. Wzięła i Hanka lampkę dla duszyczek, którą teraz między inne wetknęła, naumyślnie w sam środek, jakby specjalnie dla jej płomyczka próżnym zostawiony. Nie było jednak czasu, aby dłużej pod krzyżem stać, modlitwę za zmarłych

zmówić. Spieszy się Hanka, a i wiatr zimny, niecnota, co raz to pod kieckę jej zagląda i mrozem gryzie po drżących nogach.

Przeszła mimo mogiłek, w których spali snem wiecznym ojce i dziady jej sąsiadów, ich bracia, ich siostry, ich dzieci, te podrośnięte i te całkiem maleńkie, którym się ledwie udało dostąpić łaski chrztu. Podkasawszy spódnice, przestąpiła niewysoki murek kamienny dokoła żalnika biegnący, co się tu i tam napoczął już sypać ze starości i od deszczów tysięcznych, i od tych boleści żyjących, które się płaczem i wyrzekaniem o milczące groby rozbijały. Za murkiem wymacała kostur, który już dawniej dla nocnych swych wypraw sobie narychtowała i w ukryciu trzymała. Sapnęła dla odwagi przydania, bo znowu się w ciemność od światła zapaść musiała. Wstąpiła między drzewa, powoli stawiając kroki i bacząc, by nie potknąć się wśród nocy czarnej, ledwie-ledwie słabym miesiączkiem rozdartej. Postukując kosturem, pięła się wśród jeżyn, trzmieliny i głogu, na szczyt wzgórek, u stóp którego posnęły wiejskie mogiłki. Trudna to była droga, dech z płuc wydzierająca, toteż wraz się Hanka zadyszała, a mimo iż noc była ciemna, a pora późna, bała się, aby jej głośniejsze sapnięcie nie zdradziło.

Wstąpiła na wzgórek, a księżyc wychynął zza chmurki, plamą srebrną, zimną – tamtym, ciepłym, mogiłkowym niepodobną – zalewając polankę tak małą, że się sama jedna Hanka ledwie w tym świetle mieściła. Wśród trawy wysokiej dostrzegła wydeptaną ścieżynę pod młodego jaworka biegnącą, u stóp którego, mchem miękkim przykryty, spał jej Jasiak, ptaszynka najmilsza, synaczek jedyny, kochany. Wyjęła z pazuchy garnuszki, w których bielilo się mleko i słodka mączka, jabłuszko czerwone i pachnące, gomółeczka, podpłomyk, wszystko pierwsze i dobre, dla Jaśka, synaczka-holubka, najlepsze. Rozłożyła całe to dobrodziejstwo wśród mchu i paproci, rozkruszyła pieczywo, jakby sama chciała dziecko swoje karmić. Wiatr ucichł, a Hanka, przycupnąwszy w cieniu jaworka, patrzyła, jak tam, w dole, płoną światelka w oknach chałup i albo jej się śniło, albo to srebrne światło tak igrało pośród mgieł po opłotkach rozesłanych, jakby to właśnie blade widziadła jakieś, cienie dusz czyścicowych od progu do progu snuły się tęsknie i przez okienka zaglądając, szukały twarzy kochanych i drogich. Zanuciła:

*Hej, dziady, biedne dziadeńki  
Czyścicowe głodne duszeńki  
Czyć kto kiedy o was pamięta,  
Posilcie się dziś, niebożęta.*

I jak zawsze, ledwo prześpiewała parę słów, posłyszała, jak się za jej plecami w zieloności coś porusza, gałązkami trzaska, ziemią szuszczy. I jak zawsze, rozchyliła Hanka gęste mchy, by pomóc Jaškowi, skarbeńkowi swojemu, wydobyć się z mogiłki. Przytula synaczka do piersi, nadziwić się nie może, że znowu nieco większy, urósł tak, że już go obiema rękami obejmować musi. Całuje jego małe, włoskiem czarnym i gęstym pokryte rączki, całuje oczka śliczne, złote jak oko jastrunu, całuje okrągłe czółko, z którego wyrastają na pół werszka długie, rozkoszne różki. Śmieje się Jasiak, ptaszyna najmilsza, do matki, a śmiech ma słodki i tak miły, że Hance i do wesela, i do płaczu zarazem się robi. Sadza sobie synka na kolanach i palcem pokazując, szepcze mu do ucha, że tam żalnik, na którym zmarli ochrzczeni śpią snem wiecznym, tam kościół o dwie wiorsty dalej, na wsi skraju położony, tam wieś wreszcie, a we wsi taka chata, w której mieszka mama. Słucha Jasiak, w łapkach podpłomyk ściskając, a w żółtych oczkach odbija mu się luna bijąca od uśpionych mogilek.



rys. Roman Panasiuk



# NIELUBA

Martyna Konwińska

Cicho leżę w ziemi zakopana, z błotem zmieszana. Cicho rosną moje włosy, cicho mnie robaki kochają. Już dawno sześć tygodni minęło, jak ciało w ziemi, a dusza wciąż przy domu krąży. Nikt jej do Zagrobów nie wpuści, bo ciało grobu nie dostało. W ziemi leży, w mule, w błocie, gdzie ślimaki, ropuchy, wodniki, tataraki. Leży, siłą zaciągnięte. Bez sprzeciwu, bez pretensji, bez głosu. Leży i czeka pokornie.

Patrzę na ciebie, mój miły, chociaż oczu już nie mam. Widzę co dzień, jak czekasz na mnie. Siedzisz przy oknie i patrzysz na drogę, jakbym zaraz miała pojawić się za zakrętem. Rozpalasz palenisko i siadasz tak blisko, że policzki ci czerwienią zachodzą, a oczy łzawią i czekają, jakbym zaraz miała z płomieni wypaść na klepisko. Chodzisz po mokradłach,



nieopodal jeziora, przy którym tak często trwałam w milczeniu i bezruchu. I trwam nadal, pod twoimi stopami, słyszę, jak przechodzisz nade mną. Ale ty o tym nie wiesz. I choćbym chciała krzyknąć z całych sił, to nie nabiorę już powietrza w zapadłe płuca, nie poruszę rozmiękłym językiem. Nie usłyszysz wołania spod ziemi, mój miły. Nie wyjdę ze swojej mokrej pieczary, nie wylezę z piekła. Nie wpadnę do domu przez palenisko niby czort zbłąkany. Nie wrócę z Zagrobów, bo jeszcze nie opuściłam tego świata. Nie spełniłam wszystkich warunków, siedzę w przedsionku. Czekam.

Widziałam tu rzeczy, o których się żywym nie śniło, mój miły. Gdy tylko mnie ziemią przysypali, gdy zakopali, gdy krew stężała w żyłach, gdy serce skamieniało, przyszły do mnie moje siostry wodniste. Przyszły te, na które czekałam tak długo za życia. Piękne i straszne, niebianki – diablęta. Rusalki o skórze łuską pokrytej, o oczach czarnych jak najgłębsze czeluści jeziora. Opiekują się mną i dotrzymują towarzystwa. Ocierają łzy i rozczesują włosy. One wiedzą, co ludzie mówili. Wiedzą, skąd moje imię wyklęte, wiedzą, kto mnie zakopał pod ziemią. Chociaż ty jeszcze nie wiesz, mój miły.

\*\*\*

W dzień jesiennych Działów wszyscy jakby zamierają w nostalgii i pokorze. Gospodynie przygotowały już kutie cukrowe, upiekły chleby, ugotowały kasze. Nakarmiono żebraków, przygotowano posłania i czyste odzienie dla przodków, którzy powrócą do domów. Wszystko jakby wygłuszone przez zaległe na ziemi, oszronione liście. Wszystko schowane w błękitnej mgle. Wszystko martwo milczące, martwo zimne.

Mimo iż już zmrok zapada, nikt nie waży się rozpalić ognia. Jedyne małe płomyczki drżą przy drodze na żale. Przy każdym grobie ciepłe światełko mruga, wskazuje Dziadom drogę. W błyszczącej ciemności poruszają się rozmyte sylwetki, a nigdy nie wiadomo, czy to żywa istota, czy dusza podążająca za światłem. A mimo iż tradycja nakazuje wytyczyć Dziadom szlaki, nakarmić i napoić strudzonych wędrowców z Zaświatów, nikt nie pali ognia w chatach. Nikt nie chce, aby przyfrunęli jak ćmy do ognia i zatrzepotali skrzydłami w sieni. Fakt faktem, nikt nie lubi nieproszonych gości.

Jeden tylko siedzi przy ogniu i czeka. Z komina ulatuje siwy dym, na który nikt nie chce spojrzeć.

Kiedy nadejdzie odpowiednia godzina, idą ludzie na cmentarz. Każdy cicho, z głową opuszczoną i czołem chmurnym. Idą powoli na spotkanie, którego nie da się uniknąć. Jeden z nich tylko oczy ma szeroko otwarte, głowę uniesioną, dłonie drżące. Jeden tylko czeka,

jeden, co przy ogniu siedział. Jeden, co stracił i jeden, co tęskni. Ten, co w obłędzie po mokradłach łąził, jako i ona łąziła. Wariat. Wariat, mówią. To już dobre dziesięć tygodni minęło, jak jego dziewczuszka zniknęła bez śladu, a on dzień w dzień pali ogień i czeka, aż zwabi ją z powrotem jak zabłąkane zwierzę.

Gdy zniknęła, ludzie mówili: utopiła się. Wreszcie. Nie ma co się łudzić, nie ma co nadziei na darmo przywoływać do smutnej głowy. Wpadła do czarciego dołu albo ją potwory jeziorne zaciągnęły tam, skąd przybyła. Nie ma co chodzić po lesie i wołać, nie ma co czekać. Czas zapomnieć.

Ale on nie zapominał. I nawet gdy zrozumiał, że ukochanej jego już nie ma na tym świecie, nie przestawał czekać. Przez sześć tygodni, gdy dusza zmarłego pakuje swoje rzeczy, załatwia ostatnie sprawy świata żywych przed wyprawą do Zagrobów, czekał na nią. Ale ona nie przyszła. Nie ukazała mu się ani jako świetlisty cień, ani jako topielica z nabrzmiałą twarzą. Nie zapukała do jego drzwi. Więc czekał dzień po dniu na dziady, w nadziei, że pojawi się na cmentarzu wśród innych duchów. Szedł z nadzieją i miłością w sercu niby do ołtarza.

Gdy wszyscy doszli na żal, pomiędzy grobami stał nieruchomy tłum dziadów. Świecące cienie dawnych ludzi stały posepnie w milczeniu. Nie zasiadały na grobach, nie zbliżały się do żywych. Jakby odgrozione niewidzialnym murem.

Ucichły kroki i szelest liści. Stanęli wszyscy naprzeciw Dziadów, stężali ze strachu, nieruchomi w bezdechu. Trzymali gliniane półmiski i dzbany, a ich ręce drżały. W końcu jedna z bladoliczych dziewcząt zawołała do zmarłego kochanka: „Przyjdź, kochany, skosztuj wina!”. Nikt jednak się nie poruszył. Białe oczy wpatrywały się w żywych, trzymając ich od siebie w znacznej odległości.

Dlaczego milczą? Czemu nie witają się? Po co przyszli, jeśli nie przyjmują darów od swych rodzin?

Duchy drgnęły. Dusze zakołysały się i wydały z siebie przeciągłe westchnienie, niby wycie wiatru, upiorny chór. Jedna z bladych postaci wysunęła się naprzód. Zgarbiona staruszczyca niczym koryfeusz z zaświatów, zaczęła mówić.

\*\*\*

Parę słów, historia krótka. Dziewczynka pośród mokradeł porzucona, przez staruszkę znaleziona. Czarne jej włosy były niczym najciemniejsza noc, a oczy jasne i zimne jak mgła, co wypełza na polany wypędzana przez mrok. Ciało białe, jakby z dna jeziora wyłowione,

postać nie z tego świata. Czarownica, upiór, strach. Miano jej obrzydliwe, jak i jej losy. Nieluba jej imię, bo bez miłości, bez pamięci, bez litości i w samotności na mokrym mule, wśród tłustych żab przeżyła.

Lata mijały, a dziewczynka rosła. Rosły jej oczy, włosy i palce, piękność nieopisana. Twarz chochlika, wróżki, nimfy. Lecz mimo tej piękności jedyne uczucie, jakie budziła w żywych, było nienawiścią. Istota tak podobna do wszystkich innych, tych, które znane, jednak tak inna. Trwając w milczeniu, prowadziła życie leśnego stworzenia. Bezszelestnie poruszała się między wysokimi drzewami i ostrą trawą.

Staruszka umarła, a dziewczyna nadal błędziła między jeziorami. Wypatrywała rusalek, od których tak często ją wyzywano. Całowała ropuchy, głaskała tatarak. Mówiono, że żywi się rozbełtaną z mąką krwią, którą dostaje od wodników. Mówiono, że w nocy przybiera postać rogatego czarta lub skrzydlatej mary. Mówiono, że to przez nią płaczą niemowlęta i chorują starcy, przez nią gniją plony i kwaśniej mleko. A gdyby ktoś przypadkiem zauważył ją pomiędzy drzewami, niechybnie pomyślałby, że to rusalka wylazła z jeziornej wody.

I tak właśnie pewnego dnia, gdy Nieluba siedziała nad brzegiem pośród mchów i światła, dostrzegł ją młodzian o sercu spragnionym miłości. Podróżnik, który nie znał historii o córce potworów, nie wiedział o brzemieniu nienawiści, postanowił pojąć dziewczynę za żonę.

Został wpuszczony do oplecionej pajęczynami chatki, której wewnątrz pokrywał srebrzysty kurz. Powoli doprowadzał ją do użytku. W palenisku zatrzeszczał ogień, na grządce wyrosła kapusta. Codziennie wieczorem, gdy zapadał zmrok, stawiał na ganku płonącą lampkę, by wskazać ukochanej drogę do domu.

Ich spokojne, milczące życie pośród lasu nie było jednak w stanie obronić ich przed czarem nienawiści, który gdy raz zostanie rzucony, nigdy nie przemija.

Ludzie z okolicznych chat szeptali o stworze, który niebawem zrodzić się może z wędrowca znikąd i mary z jeziora. Szeptano, że ich potomstwo pokryte będzie srebrną łuską, zaopatrzone w pajęczę nogi i jadowite żądła. Na wpół żywe, na wpół martwe, dziecko – klątwa, upiór w kołysce. W zamroczonych umysłach zrodziło się uczucie silniejsze niż strach czy odraza. Coś, co dotychczas napawało ich lękiem, zaczynało się rozrastać. Coś próbowało się do nich upodobnić, wieść upiorną parodię ich zwyczajnego życia. Coś, co kłuło ich małe głowy odmiennością. Coś tak podobnego, a jednocześnie tak innego. Coś, co należało zniszczyć.

Nikt nie odważył się samotnie wejść na mokradła. Poszli więc razem, upolować swój strach. Dzierżąc w dłoniach łopaty, cepy i motyki.

Znaleźli ją przycupniętą nad brzegiem. Wyciągała długie, białe palce i mąciła wodę w bajorze. Spokojnie podniosła wzrok. Nie zionęła ogniem, nie rzuciła zaklęć, nie pluła jadem. Nie rozwinęła pierzastych skrzydeł, nie pokazała kłów, nie wzleciała w powietrze. Patrzyła spokojnie na to, co musiało nadejść i co nadeszło w chwili tak samo dobrej i tak samo złej jak wszystkie inne.

Spokojna i cicha pozostała, gdy po białej skroni spłynęła gorąca posoka. Spokojnie dała ułożyć się w mulistym posłaniu kopanym w szale i zaślepieniu. Przykryto ją pierzyną z mokrej ziemi i pozostawiono w zapomnieniu.

Tego wieczora płomyczek na ganku nie wskazał jej drogi do domu.

Miała zostać sprawiedliwość wymierzona, a krzywda została wyrządzona. Jako i żyć jej nie pozwolono spokojnie, tako i umierać jej przyszło. Ciało jej zbezczeszczone, dusza jej zagubiona. Ciało jej za wasz strach cierpiało, dusza jej przez wasz czyn zamknięta między światami. Martwa, u żywych nigdy nie swoja, do martwych nie może przystąpić.

Dopóki ciało nie zostanie godnie pochowane, dusza nie opuści świata żywych. Dusza jej błądzić będzie po waszym świecie, nawet gdy jej ciałem pożywi się ziemia, gdy strawi je do cna. Lecz my nie pozwolimy zachwiać równowagi świata żywych i martwych.

Czekajcie, aż was sprawiedliwość wasza dosięgnie, bo kto za życia krzywdy zadawał niewinnym – po śmierci sam krzywdzony będzie. A kto żyw został pozbawiony spokoju, dusza jego spokój odnajdzie za grobem. Dlatego postawcie grób i schowajcie jej ciało. Bo dopóki jej dusza nie opuści tego świata, i my go nie opuścimy.

\*\*\*

Skorupy naczyń leżały pod ich stopami. Do zmarzniętych stóp kleiły się kawałki zimnego jedzenia, które nie wiedzieć kiedy wypadły z ich zaskoczonych rąk. Stali nadal w paraliżu, w natłoku myśli. Wszyscy podobni, a jednak nierówni sobie.

Staruszka powoli wycofała się i stanęła w szeregu duchów.

Las zamarł w bezruchu, wiatr przestał przeczesywać liście, ludzie przestali oddychać.

Wrzask ciszy przerwał dopiero szelest liści, gdy pierwszy z tłumu ludzi odwrócił się i ruszył w stronę jeziora.

\*\*\*

Tak długo czekałam, mój miły. Słyszę w oddali twoje kroki pośpieszne. Przyjdź, rusz łopata, a wstanę. Przyjdź, mój miły, zanim odejdę, przyjdź na ostatnie pożegnanie. Wpuść mnie z mojej klatki ziemistej i czekaj, aż spotkamy się znowu. Razem, po drugiej stronie. Równi sobie i wszystkim innym. Przyjdź, mój miły.



www.kostnica.com.pl

# KOSTNICA

**POZORNIE MARTWA STRĘPA**

HORROR THRILLER KRYMINAL SENSACJA FANTASTYKA



[www.kostnica.com.pl](http://www.kostnica.com.pl)

RECENZJE  
OPOWIADANIA  
GALERIE  
NOWOŚCI  
KONKURSY  
FILM  
KSIĄŻKA  
GRA  
KOMIKS



# **SZORTAL**

UWOLNIJ MOC UKRYTĄ W SZORTACH

szorty o drabble o recenzje  
newsy o konkursy o forum

Krótko. Na temat. **CZYTAJ**



rys. Roman Panasiuk



# WYPADEK PRZY PRACY

Jarosław Jakubowski

Ogień przygasł w kominku i profesor Witold Mameczur dorzucił doń grube polano, po czym poprawił je długim pogrzebaczem. Prysnęły iskry i suche drewno zaczęło przyjemnie trzaskać. Światło bijące z paleniska migotliwie oświetlało twarze gości jubileuszu osiemdziesięciolecia znakomitego chirurga. Była głęboka noc, większość osób opuściła już przyjęcie, zostali tylko najbliżsi przyjaciele. Ci wiedzieli już, że właśnie nadeszła pora zwierzeń.

Profesor nabił tytoniem swoją wrzoscową fajkę, podpalił drzazgą wyjętą z kominka. A gdy w pomieszczeniu rozszedł się niezwykle aromat dymu, rzekł tym swoim głębokim, wciąż jeszcze potężnie brzmiącym głosem:

– Życie jest większe niż pojedynczy człowiek. Życie jako takie.

Opowiem wam teraz historię, którą dotąd nie dzieliłem się z nikim. Była jak tkwiąca w moim wnętrzu ostra drzazga, która z biegiem lat obrosła tkanką, a jednak wciąż



pozostawała ciałem obcym. Mój organizm długo z nią walczył. W końcu uznał, że czas najwyższy na jej wydalenie.

Działo się to w czasie moich studiów medycznych, które jak wiecie, odbyłem dawno temu w mieście Krakowie. Dziś wydaje mi się to przeszłością tak zamierzchłą, że niemal niewidoczną zza mgły dziesięcioleci. Jednak tamto zdarzenie świeci i przywołuje mnie niby latarnia morska.

Byłem młodym, ciekawym świata człowiekiem. Uczyłem się dużo, a jeszcze więcej czerpałem z życia. Czas dzieliłem pomiędzy wykłady, bibliotekę oraz... dziewczyny, a raczej dziewczynę, bo dość szybko z grona anonimowych niewiast, których na moim roku nie brakowało, wyłowilem tę jedną, bez której nie wyobrażałem sobie życia. Miała na imię Romana.

Tak, to imię będzie mi towarzyszyło do końca moich dni. I jej twarz.

Romana była wyjątkowo zdolną studentką i nie tylko mi imponowała. Nie tylko ja się w niej kochałem, to jasne, jednak to na mnie padł jej wybór, to mnie, chłopaka z małego galicyjskiego miasteczka, wyłowiła spośród setek innych. Dlaczego? To jedno z tych pytań, na które do dziś nie znajduję odpowiedzi.

Po raz pierwszy spotkaliśmy się w czytelni biblioteki uniwersyteckiej. Wszystko było jak w starym filmie. Siedziałem zatopiony w książkach, a raczej w myślach, które błądziły daleko od książek, gdy nagle zauważyłem, że znad stolika przede mną unosi się smużka dymu. Wychyliłem się i ujrzałem dziewczynę, tak zaczytaną, że nie zauważyła, iż kartka oparta o rozgrzaną lampę zaczęła się tlić. Rzuciłem się w jej stronę, odsunąłem lampę i wtedy oczy dziewczyny spoczęły na mnie. Tak właśnie, oczy dziewczyny spoczęły na mnie. Było w tym spojrzeniu zdziwienie, roztargnienie, ale i zaciekawienie. Grzecznie przeprosiłem i wyjaśniłem przyczynę mojej interwencji. Dopiero wtedy dziewczyna zrozumiała, co się stało. Uśmiechnęła się promiennie, a raczej powinienem był powiedzieć: obdarzyła mnie promiennym uśmiechem i powiedziała, że czuje się moją dłużniczką. Zrozumiałem, że jestem w jej typie. Umówiliśmy się na kawę, ale kiedy czekałem na nią w kafejce przy rynku, zacząłem wątpić, że przyjdzie. Byłem przekonany, że z taką urodą, z takimi oczami i takim uśmiechem może przebierać w adoratorach jak w ulęgalkach. Kim byłem, że miałem czelność sądzić, iż nie potraktuje mnie jak jeszcze jednej przelotnej i nic nieznaczącej przygody? A jednak, moi drodzy, a jednak przyszła. I tak zaczęła się najpiękniejsza przygoda w moim życiu. Najpiękniejsza, a zarazem najbardziej przerażająca.

Zaczęliśmy spotykać się częściej, co nie było trudne, jako że studiowaliśmy na jednym roku. Chodziliśmy na wykłady, a po nich odbywaliśmy zwykle długie spacerunki po Plantach,

w trakcie których rozmawialiśmy o wszystkim. Prawie o wszystkim, bo o jednym nie – o nas. To, co nas łączyło, pozostawało w sferze niewyrażonego. Wkrótce nie wyobrażałem sobie życia bez Romany, a i ona – jak sądziłem – traktowała mnie jako coś znacznie więcej niż przelotną historię.

Odkrywaliśmy przed sobą swoje osobowości i charaktery, poznawaliśmy się tak, jak poznać się może dwoje ludzi połączonych nie tylko uczuciem (wierzyłem, że obustronnym), ale i wspólną pasją. Medycyna w najpełniejszy sposób odpowiadała naszym pragnieniom, oboje chcieliśmy nieść ludziom pomoc, sprawić, by ich życie było nie tylko dłuższe, ale i lepsze. Bycie lekarzem oznaczało dla nas coś więcej niż tylko leczenie chorób. Chcieliśmy codzienną pracą wcielać w życie najważniejsze z przykazań – przykazanie miłości. Czuliśmy się ludźmi powołanymi, wierzyliśmy, że opuszczając mury uniwersytetu, wyruszymy w świat, by wypełniać misję. Nie marzyliśmy o bogactwie i o spokojnym życiu. Oboje pragnęliśmy dawać siebie innym.

Ale jak wam wiadomo, moi drodzy, *per aspera ad astra*, a raczej *ad astra per aspera*. Droga do gwiazd jest długa, kręta, pełna pułapek, a co ważniejsze – nie zawsze zwieńczona osiągnięciem celu.

Zmorą mojej ukochanej były zajęcia z anatomii. Natomiast nasz wykładowca, profesor Ludwik Wilczycki, nie miał litości wobec studentów, którzy odczuwali obrzydzenie wobec ciała ludzkiego i na zajęciach sekcyjnych mdleli bądź doznawali torsji.

– Medycyna nie jest domeną pięknoduchów, ale ludzi twardych i odważnych – zwykł mawiać zza swojej katedry. – Kto nie powściągnie swojej odrazy do zwłok, ten nigdy nie będzie czuł szacunku do żywych. Ludzkie ciało jest zapisaną księgą, którą my – lekarze – powinniśmy umieć odczytać, litera po literze i słowo po słowie. Zanim jednak spojrzymy w żywego człowieka, musimy nauczyć się czytać z podręcznika, jakim są zwłoki.

Swoje wywody profesor Wilczycki uwielbiał ilustrować wymownymi przykładami z własnej praktyki medyczno-dydaktycznej. Opowiadał o wybitnie utalentowanych studentach, którzy przez nieusuwalny wstręt do ludzkiej cielesności łądowni w rynsztoku, sami wkrótce zmieniając się w ochłapy na stołach sekcyjnych. Zamiłowanie do makabry szło u profesora Wilczyckiego z lubością w znęcaniu się nad co wrażliwszymi słuchaczami. Wykładowca bezbłędnie wyławiał spośród nas jednostki nieskore do zagłębiania się w tajniki ciała i poddawał wybrane ofiary wymyślnym torturom psychicznym. Kazał na przykład przynosić sobie preparaty z piwnicy instytutu medycyny sądowej – a były to zamknięte w słojach ludzkie płody, amputowane kończyny czy narządy wewnętrzne. Prawdziwym – jak to nazywał – rarytasem był kompletny przewód pokarmowy człowieka zanurzony

w roztworze alkoholu. Nieszczęśnicy musieli fatygować się po te eksponaty do podziemi naszego uniwerku, gdzie znajdował się prawdziwy magazyn makabrycznych osobliwości.

Nie należałem do osób, które czują dyskomfort w obcowaniu z „podrobami”, jak nazywaliśmy w naszym, trzeba przyznać wulgarnym, żargonie owe preparaty anatomiczne. Co innego Romana – jej z wielkim trudem przychodziło nawet samo patrzenie na te kurioza. Wilczycki wiedział o tym i dlatego dziewczyna stała się ulubionym celem jego „igrców”. Któregoś razu zwrócił się do niej, by przyniosła preparat płodu z wodogłowiem. Zobaczyłem, że Romana błednie. Zgodziła się jednak, bo wołała cierpieć niż okazywać nieposłuszeństwo. Pod tym względem była misjonarką idealną. Zaoferowałem się, że jej pomogę – prof. Wilczycki spojrział na mnie z cynicznym uśmieszkiem i rzekł:

– Doceniam dobre chęci kawalera, jednak lepiej je kawaler spożytkuje, czyszcząc tablicę.

– Nalegam, panie profesorze, by pozwolił mi pan towarzyszyć koleżance. Ona dzisiaj nie czuje się najlepiej. – Nie dawałem za wygraną.

– Ona w ogóle nie czuje się najlepiej i najlepiej będzie, jeśli nie będzie się kawaler dalej pograżał – odparł zgryźliwie profesor.

– Mimo to uważam, że... – Nie dokończyłem, widząc, jak Romana wybiega z sali wykładowej. Nie zważając na upomnienia Wilczyckiego, pośpieszyłem za nią. Płakała, lecz nie chciała mojej pomocy. Dopiero gdy powiedziałem, że cokolwiek się stanie, chcę być z nią, zmiękła. Przytuliła się do mnie i poszliśmy. Wkrótce znaleźliśmy się w podziemiach uczelni, pośród zakurzonych słoików z nieruchomymi eksponatami wewnątrz. Zza grubego szkła spoglądały na nas martwe oczy nienarodzonych dzieci, ludzkie potworki o dwóch głowach czy trzech kończynach, milczały wypreparowane serca, płuca, żołądki, wątroby oraz mózgi. Nie brakowało szkieletów, kompletnych i w kawałkach. Puste oczodoły czaszek spoglądały obojętnie, a pożółkłe kości upiornie jaśniały w piwnicznym mroku. Nagle wyłonił się z niego garbaty staruszek i skrzekliwym głosem zapytał, czego nam trzeba. Był to magazynier, który znał tu każdy preparat i z każdym wydawał się zaprzyjaźniony. Gdy powiedzieliśmy, że profesor Wilczycki przysłał nas po płód z wodogłowiem, stary uśmiechnął się szeroko, ukazując bezzębną jamę ustną i powiedział:

– A, Lucynka, zaraz ją wam przyniosę.

Zniknął i po chwili wrócił, trzymając przed sobą spory słoik, w którym tkwił nieruchomy homunkulus z ogromną głową i rączką skierowaną ku otwartym ustom. Widok ten wywołał we mnie pomieszanie litości i obrzydzenia. Magazynier obtarł słoik szmatą, którą następnie go okrył, żeby – jak stwierdził – przypadkowi gapie nie zakłócali spokoju Lucynki.

Wziąłem naczynie i trzymając je tak, jak przedtem robił to stary, poszedłem z Romaną do sali wykładowej. Gdy wdrapywaliśmy się po schodach, sukno zsunęło się ze słoja i przez moment byłem przekonany, że „Lucynka” patrzyła na mnie z bezdennym żalem. Zupełnie jakby chciała powiedzieć: „dlaczego nie dacie mi spokoju nawet po śmierci?”.

– Zakryj to! – krzyknęła Romana, odwracając się z obrzydzeniem od preparatu.

– Już się robi, pani doktor – odparłem, siląc się na wesołkowaty ton.

– Nie wygłupiaj się. To wcale nie jest śmieszne. Bawimy się w odkrywców, a przecież to, co robimy, to... to bezczeszczenie zwłok – powiedziała, patrząc na mnie szklistymi oczami.

Byłem innego zdania, lecz nie zamierzałem wdawać się w kłótnie z rozdrażnioną dziewczyną. Wierzyłem, że z czasem przywyknie i autopsja stanie się dla niej, proszę wybaczyć za wyrażenie, chlebem powszednim.

– O, wrócili nasi Romeo i Julia. Wrócili nie sami. Proszę ustawić preparat na katedrze i zająć miejsca. A panu radzę – Wilczycki wyciągnął ku mnie palec wskazujący – nigdy więcej nie kwestionować moich poleceń.

Skuliłem ogon pod siebie, bąknąłem coś i usiadłem przy Romanie, która wciąż jeszcze drżała. Nienawidziłem profesora, choć musiałem przyznać, że w dziedzinie anatomii nie spotkałem specjalisty lepszego niż on.

Nasz wydział stale cierpiał na niedobór nieboszczyków do badań. Musieliśmy korzystać ze zwłok, które wielokrotnie były otwierane, przez co nie miały już wielkiej wartości dydaktycznej. Dlatego gdy pewien donator przekazał nam w imię nauki swoje zwłoki, profesor Wilczycki ucieszył się jak dziecko, mogąc nareszcie przeprowadzić wzorcową sekcję w naszym teatrze anatomicznym. Nie wiedzieliśmy, kim był dawca, choć wkrótce miał się nam ukazać w całej swej martwej postaci.

Ten dzień pamiętam doskonale. Był koniec września, poranne słońce wdzierało się przez wysokie okna do wnętrza, gdzie wokół kamiennego stołu sekcyjnego z przykrytymi prześcieradłem zwłokami kolidowały wznosiły się pulpity, za którymi siedzieli zaciekawieni, ale też lekko stremowani studenci. Romana była zdenerwowana, drżała i bawiła się ołówkiem, który w pewnym momencie pękł z ostrym trzaskiem.

Nagle szmer rozmów umilkł, bo do auli wkroczył profesor Wilczycki. W jego zachowaniu było coś uroczystego, przypominał mi nieco mojego ojca, który przed kolacją wigilijną zakładał najlepszy garnitur i zdejmował z półki wysłużony egzemplarz Biblii. Wilczycki miał na sobie śnieżnobiały fartuch i uważnie obserwował audytorium.

– Kto zechce mi dziś asystować? – zapytał, powoli cedząc głoski.

Podniosło się kilka rąk. Ja, choć miałem wielką ochotę uczestniczyć w sekcji, siedziałem nieruchomo, nie chcąc zbytnio kłopotać Romany. Wtedy ze zdumieniem dostrzegłem, że dziewczyna podnosi dłoń. Wilczycki jakby tylko na to czekał, zbliżył się do krawędzi pulpitu i zapytał:

– Jest pani pewna, że tego chce?

– Tak, panie profesorze – odparła Romana, opuszczając rękę.

– I obieca nam pani, że nie ucieknie ani nie zemdleje? – W jego głosie pojawiła się piękąca ironia.

– Postaram się nie zawieść pana profesora – powiedziała spokojnie, choć wiedziałem, ile ją ten spokój kosztuje.

– Dobrze więc. Proszę do mnie – powiedział Wilczycki i wycofał się, stając przy stole sekcyjnym.

– Proszę to założyć – Profesor podał Romanie fartuch, czepek i rękawiczki, które wisiały uprzednio na wieszaku.

Po chwili oboje byli przygotowani do sekcji. Wilczycki spokojnym głosem wydawał polecenia, objaśniając przy tym kolejne etapy postępowania. Romana ściągnęła prześcieradło z ciała. Ukazał się nam trup mężczyzny, o sonej barwie skóry, dość otyły, z wianuszkiem siwych włosów okalających łysą czaszkę. Ręce mężczyzny leżały wzdłuż tułowia, stopy, skierowane w moją stronę, były lekko rozchylone do zewnątrz. Nie wiedzieliśmy, kim był ten człowiek. I nigdy nie mieliśmy się dowiedzieć.

– Proszę wykonać pierwsze cięcie – nakazał profesor Wilczycki, a Romana ujęła w dłoń skalpel i stanęła nad trupem. Zawahała się na moment. Czułem, jak ze sobą walczy. W końcu jednak jednym pociągłym ruchem otworzyła powłokę ciała. Przez audytorium przeleciało lekkie westchnięcie. Wilczycki chwycił swój skalpel, którym wprawnie niczym mistrz masarski rozdzielił powłokę skóry i tłuszczu od reszty ciała. Ukazała nam się misterna płatanina mięśni, ścięgien, kości i organów wewnętrznych. Prawdziwa mapa nieznanego ładu!

– Teraz wyjmemy żołądek. Wie pani, co robić? – upewnił się Wilczycki.

Romana skinęła głową. Zanurzyła dłonie w brzuchu denata i po chwili wyciągnęła z niego sinoszary organ podobny do worka. Profesor wziął od niej żołądek i położył na wadze. Studenci notowali, a Romana wyjmowała z martwego człowieka kolejne organy. Wkrótce wokół zwłok leżały wszystkie, z wyjątkiem serca i mózgu, które Wilczycki zostawił na koniec.

Spojrzałem na twarz Romany – była skupiona i – słowo daję – szczęśliwa. Wyglądało na to, że wreszcie pokonała swój lęk. Widział to i profesor, który mruzczał z zadowoleniem,

gdy młoda adeptka medycyny zabierała się do wycinania mostku, żeby dostać się do worka osierdziowego.

Wtedy to się stało. Nigdy tego nie zapomnę.

Romana pochylała się nad rozplątanym ciałem, gdy martwy mężczyzna uniósł rękę, wyrwał skalpel z dłoni dziewczyny i zamachnął się nim kilka razy w obie strony. Trysnęła krew z rozciętej twarzy i szyi Romany. Podniósł się niewiarygodny wrzask. Zwłoki, bo tak to trzeba powiedzieć, ożyły. Usiadły na stole sekcyjnym i skierowały się ku profesorowi. Wilczycki cofał się z wyciągniętymi do przodu rękoma, jakby usiłował wytłumaczyć temu czemuś, że nie może tego robić, bo ponad wszelką wątpliwość jest martwe i jedyne, co powinno, to spoczywać nieruchomo. Ale to coś najwidoczniej nie zamierzało ustępować. Dopadło profesora i jednym ruchem rozplatało go od dołu ku górze. Chlusnęła krew, a sala wypełniła się teraz już nie wrzaskiem, ale wręcz wyciem. Niektórzy uciekali najkrótszą drogą, inni – w tym ja – próbowali powstrzymać monstrum. Lecz było to niepotrzebne, ponieważ zanim do niego dotarliśmy, leżało już na podłodze, bez wątpienia i bezapelacyjnie martwe. Na wszelki wypadek kopnąłem skalpel daleko od ciała.

Profesor Wilczycki nie żył. Wykrwawił się momentalnie. Obrażenia Romany okazały się lżejsze, jednak dziewczyna nie reagowała na jakiegokolwiek próby nawiązania kontaktu. Niestety, tak było już do jej śmierci, która nastąpiła kilka lat później w pewnym ośrodku dla obłąkanych.

Co do mnie, kontynuowałem studia medyczne, które ukończyłem z wyróżnieniem. Wydarzenia z pamiętnego dnia odcisnęły we wszystkich, którzy byli ich świadkami, niezatarte piętno. Mimo to nigdy na ten temat nie rozmawialiśmy. Postępowania, jakie przeprowadzono, zarówno to wewnętrzne, uczelniane, jak i prokuratorskie, nie wykazały, aby do zdarzenia przyczyniły się „osoby trzecie”. To jest – uznano, że denat nie popełnił zbrodni, a śmierć profesora i okaleczenie studentki były wynikiem „nieszczęśliwego wypadku”, a ściślej mówiąc – nieostrożnego obchodzenia się z narzędziami chirurgicznymi. Wszyscyśmy zdawali sobie sprawę z tego, że to nieprawda. Wszyscyśmy widzieli, co się stało. I każde z nas umiejętnie wyparło to ze swojej świadomości.

Odwiedzałem Romanę w miejscu jej odosobnienia, usiłowałem przywrócić ją żywym. Jednak ona sprawiała wrażenie martwej za życia. Oszepecona, z trwałymi bliznami na twarzy i szyi, nie odzywała się, wpatrzona zwykle w jeden, tylko jej wiadomy punkt przestrzeni. Co widziała – Bóg raczy wiedzieć, choć pewnie i On wolałby nie mieć tej wiedzy. Umarła w nocy, na serce. Lekarz, który miał wtedy dyżur, stwierdził, że krótko przedtem usłyszał jej

krzyk. Krzyk, jak się wyraził, krańcowego przerażenia. Co ją tak przerażyło? Boże, domyślałem się, jednak zachowałem te domysły dla siebie.

Zapytacie, co stało się z ciałem, które tamtego dnia poddawali sekcji profesor Wilczycki i moja biedna Romana? Decyzją władz uczelni zatrzymano je w prosektorium Collegium Medicum, jednak nie było używane jako materiał poglądowy. Poddawano je licznym, choć nienagłaśnianym badaniom, które jednak – czego można było się spodziewać – nie wykazały najmniejszych anomalii. Wkrótce zaczęła przeważać opinia, że uczestnicy feralnego wykładu ulegli czemuś w rodzaju zbiorowej hysterii połączonej z halucynacją. Mimo to ciało wciąż tkwiło w lodówce, być może ktoś uznał, że kiedyś medycyna będzie zdolna wyjaśnić ten wypadek.

Później robiłem to, o czym każdemu z was z grubsza wiadomo. Zapomniałem o tym, co się stało – na tyle, na ile można zapomnieć. Lecz kilka dni temu dostałem list, który sprawił, że to, co wydawało się martwe, znowu ożyło. Zupełnie jak wtedy. Napisał do mnie dawny kolega z roku, również świadek owych wydarzeń. Poinformował, że zwłoki wciąż znajdują się tam, gdzie zostały umieszczone. Uważa, że to niedopuszczalne. Postanowił doprowadzić do ich pochówku i usilnie mnie prosi, bym i ja w nim uczestniczył. Mamy symbolicznie zamknąć ten rozdział. Raz na zawsze. Myślę, że ma rację, ale nie jestem pewien, czy chcę w tym brać udział. Muszę się z tym przespać. A właśnie, s t r a s z n i e już późno, a ja pewnie s t r a s z n i e was zanudzam.

Podniosły się głosy sprzeciwu, lecz stary profesor Mamczur wyglądał na zmęczonego, więc goście pożegnali się i wyszli. Z zewnątrz dobiegły go ich ożywione rozmowy – rozprawiali o tym, co właśnie usłyszeli. Profesor pomyślał, że pewnie niejeden z nich uzna jego opowieść za bujną historię starego dziwaka. I będzie to naturalna reakcja.

Był zmęczony, ale nie mógł spać. Podeszedł do regału i ze starego podręcznika anatomii wyjął zdjęcie Romany. Przeszedł z nim do kominka i usiadł na fotelu, pograżając się we wspomnieniach i ciepłe płynącym z paleniska. Nagle usłyszał ciche pukanie do drzwi. Czyżby któryś z gości czegoś zapomniał? Ciężko sapiąc, profesor poczłapał sprawdzić, kto zacz.

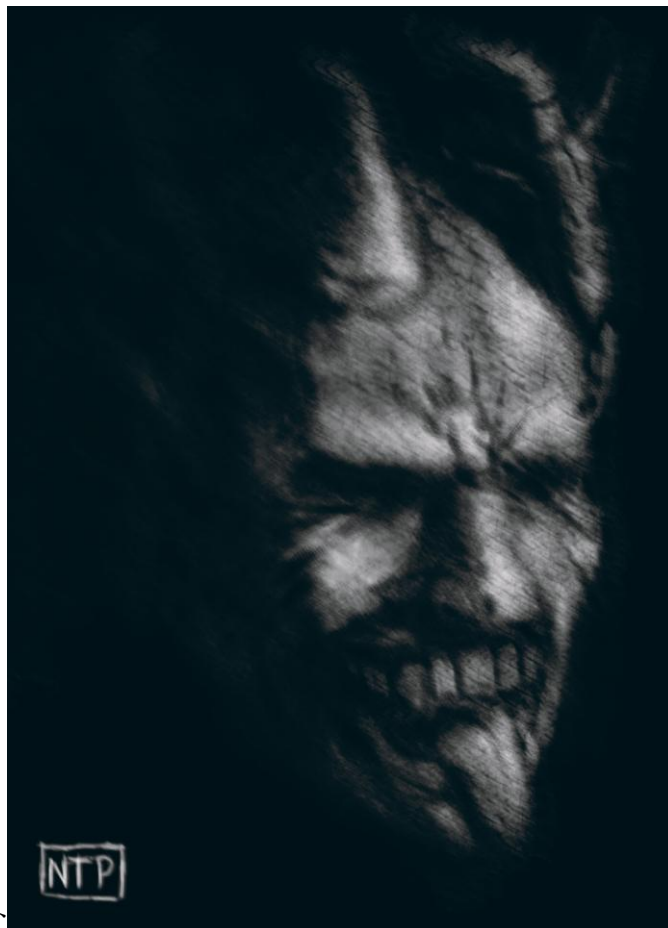
Gdy otworzył drzwi, w jednej chwili wszystko pojał. Stał przed nim ten, którego nie mieli odwagi pochować. Zanim Mamczur zdążył jakkolwiek zareagować, ciało runęło na niego całym ciężarem. Profesor poczuł lodowatą dłoń na swoich ustach.

I to było ostatnie wrażenie, jakie zarejestrował.

Wkrótce potem w lokalnej gazecie zamieszczono notatkę, z której wynikało, że z uczelnianego prosektorium wykradziono zwłoki przygotowywane do pochówku. Nikt nie połączył ich zniknięcia ze zgonem wybitnego chirurga, profesora Witolda Mamczura.



rys. Roman Panasiuk



# ŻERTWĘ SWĄ ZŁÓŻ, GDZIE STARE CZCZONO BOGI

Justyna Lech

Owego roku w dziady niebo ludziom nie sprzyjało i zawierucha gasiła święte ognie po rozstajach.

Świat jesiennił się już od dawna: nagi był, mokry i zmarznięty, jak wtedy, kiedy go Diabeł z Bogiem z wody dopiero co wyłowili. Wychudzone dusze do spółki z wilkami snuły

się po polach, a wieczorami podchodziły blisko domów, rozsuwały zasłony mgieł i zaglądały w oświetlone okna.

Przykazał Wiesław Mokoszczyk żonie swojej stać na progu i dziada wędrownego wypatrywać. Aleć nie musiała Bogna przez deszcz na drogę i mostek zerkać, bo przechera sam wiedział, gdzie najlepiej stół zastawiony będzie.

Hryciukowie spoglądali nieufnie, ale w końcu chyba uznali, że dziad to dziad, chociaż nieznany. Swojego zgubili gdzieś po drodze razem z resztą wsi, kiedy ich w Strehlen, to jest w Strzelinie, w inną skierowali stronę – oni sami byli spod Lwowa, ale już w Polsce trafili do transportu z tymi z okolic Brześcia i tak zostało. Wiesław nic przeciwko sąsiadom nie miał, zawsze to swój w tej przeklętej ziemi, ale jak ich do tego samego dokwaterowali domu, to mu się Hryciukowie przestali podobać. Szukali Mokoszczyki w Strzelinie sprawiedliwości, bo nie może tak być, że jedna chałupa na tyle osób, ale nic nie wskórali. Powiedziano im, że nie ma dla lwowiaków miejsca już nigdzie, a zresztą i tak niedługo będzie kolektywizacja i wszystko inaczej ma wyglądać. Chcąc nie chcąc, musieli się Wiesław z rodziną z Hryciukami jakoś dogadać. A że Mokoszczyki pierwsi byli na tej gospodarce i więcej mieli we wszystkich sprawach do powiedzenia, patrzyła na nich druga rodzina wilkiem.

Siedzieli zatem Hryciuki w kuchni, kiedy Bogna dziada karmiła. Guślarz Dobromir, zapluty i na jedno oko ślepy, zjadłszy sutą porcję kaszy z omastą, domowi Wiesławowemu błogosławił, duchom żertwę jego polecając. Kiedy starzec jadł, skóra na jego twarzy marszczyła się jak woda w wietrzny dzień, a wyblakłe oczy rzucały po izbie uważne spojrzenia. Bogna wystawiła zmarłym kąski za próg i na wszelki wypadek przeżegnała się trzy razy, a dziad, pomlaskawszy z zadowoleniem, odezwał się do Wiesława:

– A tego nie chcieliście zdjąć, *haspadar*? – I wskazał na wiszący w jadalni portret mężczyzny o ostrych rysach i ponurym spojrzeniu. Obraz jak obraz, kilka ich w domu znaleźli – trzy pejzaże i jedno monidło w sypialni – ale jakoś tak ten Niemiec patrzył, że się człowiekowi zimno robiło, jakby kto drzwi w grudniową noc nie domknął.

– Nie wasza rzecz – mruknął Wiesław. Zdjąć to by może i zdjął, ale lwowiacy też się jakoś malowidła bali – Hryciukowa żegnała się za każdym razem, jak przechodziła obok – i z czystej złośliwości postanowił gospodarz Niemca na ścianie zostawić. – Zmówcie jeno modlitwę i nie swoich spraw nie dociekajcie.

– Jak sobie chcecie. Baczcie ino na ten mostek, pono tu siła Niemców *Ruskija* w rzeczce utopili. I nie patrzcie tak na mnie! – charknął Dobromir, zerkając na pobladłą z nagła Bognę. – Nie chciał ja was straszyć. Ale trza by sprawdzić, czy droga nie zaminowana.

– Nie bójcie się, wozy tędy codziennie przejeżdżają i nic – uciszył go Wiesław. Dziad uśmiechnął się krzywo, po czym złożył dłonie, szorstkie i pełne plam jak skóra ropuchy.

Uniosła się modlitwa Dobromirowa i poleciała z wiatrem przez zmarznięte pola, przez trzęsawiska mgłą spowite niby pajęczyną, przez ognie płonące na rozstajnych drogach. Wydawało się Wiesławowi, że widzi, jak dobre słowo nad żertwą zmówione krąży pod powałą i uchodzi w zawieruchę, rozsrebrzając się między kroplami deszczu i karmiąc otwarte dzióbki duchów i nawii. I miał gospodarz szczerą nadzieję, że ta kasza guślarzowi darowana i ofiara, i modlitwa, równowagę w jego domu przywróci i życie pozwoli spokojnie. Bo chociaż w żadnych niemieckich topielców nie wierzył, jakoś mu było nieswojo w obcej ziemi; szczególnie gdy na portret diabelski zerknął. Tylko czy te obce, niemieckie dusze polską rozumieją modlitwę i obiatę?

Przyszedł po dziadach listopad i rozbłocił się na polach Ziem Odzyskanych, a po nim grudzień skuł mrozem ścierniska. Przestały ciągnąć przez mostek furmanki wyładowane ludźmi – zakutane baby, wąsate chłopcy i dzieci umorusane nie zaglądały już w Wiesławowe okna. Ułożyli się jakoś z lwowiakami i nikt nikomu w drogę nie wchodził, ale wciąż nie czuli się u siebie na tej ziemi, gdzie zamiast trumien ojców obce spoczywały kości. Najbardziej Mokoszczukowi przeszkadzał portret: czuł, że wzrok Niemca dotyka go jak zimna dłoń wetknięta nagle za kołnierz. Bogna z Dalejką dziurę Wiesławowi w brzuchu wierceły, żeby straszyla się pozbył, a Hryciukowie chyba tylko przez czystą złośliwość nie spalili płótna po kryjomu.

W okolicy Bożego Narodzenia powziął zatem gospodarz postanowienie, że malowidło w końcu zdejmie i wyrzuci. Aleć kiedy wszedł Wiesław do izby, gdzie obraz wisiał, zdjęła go nagła groza i zimny dreszcz przebiegł po ciele: w ciężkiej ramie widniało namalowane szarawe tło z kawałkiem kwiecistej zasłonki; bohater portretu znikł.

Dwa dni później zmarła Hryciukowa. Stara już była i nikt działania sił piekielnych w tym nie podejrzewał, może poza Bogną, która we wszystkim diabelski widziała palec, osobiwie odkąd obraz niemiecki opustoszał. Dalejka, Wiesławowa córka, poszła Hryciukowym dzieciom pomóc ciało obmyć. Ksiądz miejscowy mszę odprawił i spoczęła lwowianka w niemieckiej ziemi, a Mokoszczuka dziwne uwierało przecucie. Jakieś czarne toczyły go myśli, nie ufał księdzu młodemu i wydawało mu się, że coś ta śmierć niedokończona była i niedomknięta jak należy.

Lato weszło piękne i słoneczne, ale w Wiesławowym gospodarstwie jakiś zatechły mrok panował, jakby zima nie dała się stamtąd wypędzić. Ojciec rodziny Hryciuków zachorował i po dwóch miesiącach męczarni do swojej zmarłej żony dołączył. Tym sposobem

ich synowie sami zostali na gospodarce, a atmosfera między nimi a Mokoszczukami jeszcze bardziej się stała napiętą. Pierworodny był bowiem popędliwy i denerwowało go, że dzielić się musi z Wiesławą rodziną. Młodszy zaś, choć miłszy i często maślanym wzrokiem na Dale spoglądał, niewiele miał do powiedzenia.

Pogrzeb odbył się w połowie lipca i znów miał Wiesław wrażenie, że jakiś dziwny się nad tą śmiercią zapach unosi. Kiedy stary Hryciuk leżał jeszcze chorobą zmożony, poszedł do niego gospodarz sprawy podziału pracy w domu omówić, bo obiecany PGR do tamtego czasu nie powstał i trzeba się było jakoś do zimy przysposobić. Hryciuk spał, chrapiąc głośno, błądy i chudy, jakby śmierć już się za niego zabrała, nie mogąc się ostatniego doczekać oddechu. Przy łóżku zaś stał mężczyzna, ogorzały i żyłasty, o ciemnych włosach i pomarszczonej twarzy. Niemiec z portretu.

Podleciało Mokoszczukowi serce aż do gardła i tam utknęło. Przyłgął plecami do ściany. Chciał uciekać, ale nogi zdawały się być przyrośnięte do podłogowych desek. Niemiec milczał, wpatrując się w lwowiaka, jakby życie z niego samym wzrokiem wysysał. Wiesław przeżegnał się, grozą zdjęty, a wtedy zjawa uśmiechnęła się, jakby szyderczo, i znikła.

Później przyszły żniwa i wszyscy pracowali od rana do wieczora, ale nad Mokoszczukami i Hryciukami wciąż coś złego wisieć się zdawało. Którejś nocy obudził się Wiesław zmorą przyduszony, zdyszany i zlany potem. Rozejrzał się po izbie – księżyc wlewał się sino przez otwarte okna, rozsnuwając trupią poświatę na ścianach i meblach. Przy wielkiej, starej szafie stał Niemiec z portretu, a obok niego inni: młodzi i starzy, o bladych twarzach, skórze odchodzącej od kości, w zjedzonych przez robaki ubraniach i o resztkach włosów lepiących się do nagich czaszek; milcząc, szczyrzyli zęby albo ścigali usta w wyrazie dezaprobaty. Wszyscy, których rysy dało się jeszcze rozróżnić, podobni byli mężczyźnie z obrazu, wszyscy – jedna trupia rodzina. Zesztywniał Wiesław ze strachu, serce ścięło mu się w piersi jak woda na mrozie, i niewiele myśląc, z łóżka wyskoczył i do ściany przy oknie przywarł. Wielkimi oczami patrzył na zbiegowisko widm, szepcząc gorączkowo „Ojczy nasz” w nadziei, że oprzytomnieje i mara zniknie; ale wtedy coś zimnego dotknęło jego szyi, cuchnąca woda pociekła po rozpalonej skórze: parapet obsiadła chmara topielców o nabiegłych fioletem wargach. Wyciągali ku Wiesławowi dłonie napuchłe, o rozmiękłych paznokciach, patrzyli wodnistymi oczami i szwargotali coś po niemiecku, gramoląc się do izby i znacząc podłogę śmierdzącymi stęchlizną kałużami.

Wrzasnął Mokoszczuk na całe gardło i wycofał się z powrotem w kierunku łóżka, gdzie wciąż spała niczego nieświadoma Bogna. Widmowa rodzina także zaczęła się ku niej zbliżać, pomrukując w tym samym co topielcy języku. Tamci zaś przeszli do śpiewu i zaczęli

podskakiwać rytmicznie, rozbryzgując w tańcu krople wody po ścianach. Między trupami dojrzał gospodarz starych Hryciuków, bladych i równie jak on przestraszonych – objali się o topielczy korowód, który gniótł ich jak kamienne żarna i wydawało się, że lwowiacy nie mogą się wydostać z tego tłumu potępieńców.

Więcej Wiesław nie zobaczył – przytomność utracił i padł jak długi na ziemię. I chociaż później żona jego twierdziła, że żadnego krzyku w nocy nie słyszała, to obudził się gospodarz poobijany na podłodze, a ściany w sypialni poznaczone były plamami od wychlapanej wody. Przenieśli się z Bogną do Dalejkowego pokoju i spali odtąd we trójkę, ale wiedział Wiesław, że to nic nie da, póki Niemiec z obrazu na swoje miejsce z powrotem nie wsiąknie.

Im bardziej słoneczne lato przechodziło w jesień, tym mroczniej płynęło w domu przy mostku życie. Od powały po podłogę chałupa wypełniła się dziwną, pachnącą pleśnią ciszą. Domownicy zasiadali do stołu i żuli ją wraz z nitkami kapusty jak zgrzytający między zębami, wilgotny piasek. Jakaś groza wypełniała chatę niby czarna maź i wszyscy chodzili cisi i struci.

W końcu cały dom lepił się od niewypowiedzianego i poczuł Wiesław, że dalej tak być nie może. A że okrągły rok już od zakończenia ich tułaczki minął i zbliżał się dzień dziadów, poszedł szukać Dobromira, któren w okolicy gdzieś winien przebywać. Zaprosić go chciał, żeby znowu żertwę duszom polecił i modlitwę zmówił, jeno tym razem tak, żeby lepiej jakoś podziałała.

Zaprzągnął konie i furmanką do wsi Mikoszów pod Strzelinem pojechał, bo usłyszał, że tam guślarz u jednych gospodarzy za parobka robi. Odnalazłszy dziada sprawę swoją mu wyłuszczył.

Spojrzał na niego Dobromir koso i rzekł:

– Ja do ciebie w dziady *nie pryjdu*. Wasza wieś przeklęta, niemieckie *pryvidy* pałętają się po ścierniskach.

– A tu się nie pałętają? Tak samo w Mikoszowie i w Głuchej, w Kazanowie i w Muchowcu. Wszędzie Niemcy naszych, a my z Ruskimi Niemców mordowali.

– Prawyś. Każda wieś ma swoją tragedię, ale wasza jakaś inna – powiedział dziad, palec w mentorskim geście wznosząc ku górze. – Tam coś jest jeszcze, czego ja wypędzić nie dam rady. Ksiądz może by mógł albo cadyk, taki, jacy w Brześciu bywali; ale tutaj to nie ci *sviatary*, oj, nie ci.

– To co ja mam robić? – zapytał Wiesław, zrozpaczony. – Poradźcie mi co, zanim niemieckie upiory wszystkie z nas siły wyjedzą!

Pokiwał Dobromir głową i odezwał się w te słowa:

– Zwykły człek tu nic nie pomoże. Ksiądz by się zdał, ale prawdziwy, porządny, a tacy to za Bugiem na cmentarzach zostali. Ale są takie siły, co wiedzą więcej niż ludzie. To jest niemiecka ziemia, ale *Boh* ten sam i duchy tak samo głodne. Za ostatnimi domostwami w waszej wsi jest bór, a dalej mokradła, gdzie różne duszki i licha mieszkają. Tam pytaj, ale strzeż się, bo diabelstwo sprytne jest i na duszę twoją łase, osobliwie to niemieckie. Bacz, że to nie naszych przodków duchy się tu po polach snują. Weź krzyż ze sobą, jeśli dasz radę.

Z początku nie chciał gospodarz dziada posłuchać, jednak kiedy wrócił do domu, zobaczył, że Bogna w łóżku leży, a Dala chłodne okłady matce do czoła przykładła. Podbiegł do żony i jął pytać, co jej jest, ale stara jeno podniosła na niego oczy gorączką błyszczące. W tych źrenicach, zdało się Wiesławowi, odbijała się postać Niemca z portretu i blade cienie topielców z rzeczki za domem. Zląkł się Mokoszczuk i przeżegnał trzy razy. Mary znikły, ale męcząca Bognę gorączka pozostała.

Sam się tedy swojej dziwiąc przeważności, poszedł Wiesław za Dobromirową radą przez bór ku mokradłom. Krzyż wziął, ale kiedy tylko wszedł między drzewa, trzymany w ręce krucyfiks zaczął palić żywym ogniem dłonie gospodarza. Odrzucił Mokoszczuk krzyż i kroczył dalej przed siebie bez bożej ochrony, z nożem jedynie za pas wetkniętym. We wsi już rozpoczęto obrzędy: święte ognie płonęły przy rozstajnych drogach, ludzie zertwy duszom szykowali i zapraszali dziadów na posiłek, baby zaczęły zamawiania, a ksiądz schował się na plebanii i okiennice zamknął, żeby tego wszystkiego nie widzieć.

Szedł gospodarz przez bór powoli, z zimna się trzęsąc. Patrzyły na niego drzewa przez szorstkość kory, patrzyły ptaki spomiędzy gałązek. Czuł na sobie ciężar dziesiątek ukrytych w gęstwinie oczu, a im bardziej w bagna się zapuszczał, im gęstsza podnosiła się mgła, tym bardziej robiło mu się dziwnie i nieswojo. Wydawało mu się, że pniaki spoglądają nań pusto jak odcięte głowy, a trawy falują w stojącej wodzie niby wyblakłe włosy topielców. Trzymał ręce na piersi, jakby miał dzięki temu utrzymać w niej trzepoczące ze strachu serce i szedł wciąż przed siebie.

W końcu zobaczył, że w gęstwinie migocze mdłe, brązowawe światło. Już pomyślał Wiesław, że to co najmniej błotnik albo nocnica chce go w bagna wciągnąć i przestraszył się nie na żarty, ale wtedy z zarośli wyłoniło się drugie światełko i poznał, że to żółte ślepia licha tak we mgle błyskają.

– Witajcie, gospodarzu. Coś mi się zdaje, że po radę do mnie przyszliście.

Zdumiał się Mokoszczuk, że *djabal* niemiecki po polsku się odzywa, ale nic nie rzekł. Patrzył w czarcie oczy świecące, głęboko osadzone na włochatej twarzy i czekał.

– Pewno się dziwicie, że waszą mowę rozumiem? – domyślił się diabeł. – Jam jest Dydko, demon prastary! Byłem tu, zanim jeszcze Niemiec nastał i zanim Słowianie skakali przez ognie na Sobótce. Byłem, jak pan mój, Diabeł, Boga próbował z pierwotnej ziemi zepchnąć, kiedy ten usnął. Wszystkimi mówię językami i chętnie ci na pytania odpowiem, ale nie za darmo.

– A wiesz, dlaczego demon się na mój dom uwziął i Bognę chce mi zabrać?

– Wiem. Ale powiem ci dopiero, jak mi dasz swoje lewe ucho.

Wiedział Wiesław, że niedobrze jest z czartem układy zwierzać, ale też w wielkiej był potrzebie. Dobył więc noża zza pasa i odjąwszy sobie ucho, lichu je podał. Rana broczyła krwią gęstą jak syrop, posoka sączyła się po szyi na watowany kołnierz.

– Uczciwa cena. – Dydko pokiwał głową z ukontentowaniem. – To ja ci teraz powiem: upiór jest Niemiec – Kurt na imię mu było – do którego twoja należała gospodarka. Kiedy przysła na te ziemie Armia Czerwona, chcieli się ostatni niemieccy żołnierze w borze schronić i przyszli poprosić gospodarza domu przy mostku o pomoc, coby im drogę wskazał i prowiantu dał, ile może. Kazał im Kurt czekać, wziął konia i pognął do sąsiedniej wsi, gdzie już Ruscy stacjonowali, żeby im pobratymców wydać. Zdało mu się, że go dzięki temu czerwonoarmiści oszczędzą. Później tamtych namówił, żeby się w szopie u niego przespali, bo długa przed nimi droga. Nakarmił, napoił i czekał. Nocą przyszli Rosjanie z Polakami, Niemców pojмали i nawet za jeńców nie wzięli, jeno na miejscu, bez sądu, zabili. Topili ich w rzeczce, niełatwo było, bo płytka dość, ale amunicji im było szkoda, poza tym niezły przy tym topieniu ubaw mieli. A później Kurta z rodziną w ich własnej powiesili szopie. Teraz byli gospodarze spokoju zaznać nie mogą, a topielce ścigają ich nocami, zemsty pragnąc. I tak to w domu twoim trwa wojna między duchami, a że duchy złe z żywych czerpią siłę, to i chorobom nie ma się co dziwić.

Zląkł się Wiesław nie na żarty, pot zimny polepił mu ciało jak pajęczna sieć. Pomniał znów, że niedobrze jest diabła o radę pytać, ale wyjścia nie miał.

– *Szto rabić?* – wydukał.

– Powiem ci, ale musisz mi więcej zapłacić. Jeśli chcesz wiedzieć, co robić, musisz mi oddać wszystkie palce prawej dłoni.

Wahał się Mokoszcuk, ale przypomniał sobie, że diabły przy wszystkich układach ludzi oszukują i że zawsze na duszę dybią, choćby nie wiadomo, jak się od tego wykręcały.

– Na co ci moja dłoń? Stary jestem już i goścćcem zdjęty, do niczego ci się nie nada.

– Mam ja swoje kopyta, nie musisz się obawiać – zaśmiał się Dydko. – Nie do używania chcę twoich palców, ale po to, żeby cię ich pozbawić, i żeby rada moja nie przyszła

bez zapłaty.

Wyszczerył się przy tym, błyskając zębami gładkimi jak odpustowe korale, a Wiesław, w ostatnim, desperackim wysiłku, rzucił się na niego, próbując pochwycić i groźbą odpowiedź wymusić. Ale lichy nie w ciemność było bite – nie zdążył gospodarz rąk zacisnąć, a już w miejscu czarta znalazły się jeno pył i mgła. Dydko zaś siedział na drzewie, nogami majtając i śmiejąc się okrutnie.

Pojął Wiesław, że nie ma innego wyjścia. Znów dobył noża z za pasa i mozolnie zaczął sobie palce jeden po drugim odcinać, żeby Dydce je oddać. Pierwsze krople deszczu kapwały mu na twarz, splukując rześisty pot. Kiedy diabeł dostał w końcu swoją dolę, odezwał się w te słowa:

– Ta ziemia była niemiecka, ale była też polska i wasi tu mieszkali bogowie. Niedaleko stąd jest trzebiszcze, gdzie czczono stare bogi; Peruna i Swaroga, i Mokosz, i Welesa, zmarłych przewodnika. Do nich musisz się zwrócić po radę, im ofiarę złożyć. Dobry dziś jest dzień na zertwę: w dziady duchy po polach hulają, świętują zmarli, a bogowie dawni budzą się ze snu. Zanieś im swoją modlitwę, zanieś Bogu na niebie, któren jest ich wszystkich zwierzchnik, a złe duchy opuszczą twój dom.

– Ty mnie, czarcie, radzisz, do *Boha* się modlić? – zdumiał się Wiesław, ale odpowiedzi nie uzyskał. Zanim się obejrzał, lichy znikło, a na jego miejscu zebrały się upiory blade, spróchniałymi zębami uśmiechnięte. Wytrzeszczały na Mokoszczuka puste oczodoły i wyciągały ku niemu palce sine, chude, rozcapierzone. Ponad zwierzęcym wyciem zjaw unosił się złowrózby śmiech licha.

Rzucił się Wiesław do ucieczki i pokulał przez bagna. Gałęzie drzew smagały go w twarz, krople deszczu rozmiękczały zasychającą na szyi posokę. Poczul gospodarz, że nie może dalej biec. Lewą ręką dobył noża z za pasa i obejrzał się, gotowy stawić zjawom czoła. Aleć za sobą zobaczył jeno bór i mokradła deszczem sieczone: upiory znikły. Odpoczął chwilę Wiesław, znalazł sobie mocną gałąź i poszedł dalej, na kiju się wspierając, drogę za sobą znacząc krwawymi kałużami. Nie wiedział, dokąd iść, ale ufał, że go bogowie poprowadzą. I rzeczywiście w końcu, w głębi bagien, stare trzebiszcze odnalazł.

Ulewa wzmogła się – pioruny rozrywały ciężkie chmury, jakby bóg nieba w gniewie swoim biczował łąchy mokradeł. Patrzył na Wiesława posąg Welesa – niedźwiedzia, władcy krainy umarłych, gdzie ptaki odlatują na zimę, a dusze jedzą chleb ze sporyszu; patrzyły zwalone na ziemię i mchem oblażłe kumiry Peruna, Swaroga i Mokosz. Klapnął gospodarz kolanami w mokrą trawę, sił już nie mając. Czuł na sobie jakiś wzrok obmierzły, jakby starzy bogowie przyglądali mu się złośliwie pomiędzy drzew.



Podniósł oczy i zobaczył postać. Kobieta w obszarpanym, ciekącym od deszczu ubraniu spoglądała na niego wielkimi oczami. Miała brudną, wychudłą twarz, a płaszcz na jej grzbiecie był dziurawy i jakby przegniły. Głowa jej była pokryta strupami, dłonie zaś czarne jak Święta Ziemia.

– *Hospodzie, pamiluj!* – wymamrotał Wiesław. Przyjrzał się nieznajomej; mimo straszego wyglądu kobiety poznał szybko, że nie jest żadną upiorycą, jeno żywym człowiekiem.

– *Bitte...* – wyszeptała.

Wzdrygnął się Wiesław. Niemka. Więc to taką tajemnicę mokradła w sobie chowały. Jak jej się udało przeżyć tyle miesięcy w borze, tego nie wiedział; nie miał też pomysłu, co robić. Zmęczony był, obolały, krwawiący. W jednej chwili poczuł się Mokoszczuk bardzo stary i zrozumiał, że jest jak te rosłe drzewa, które przesadzone z korzeniami w inne miejsce umierają.

– *Sie sind verwundet!* – krzyknęła cicho i rzuciła się jego głowę oglądać. Wyjęła skądś szmatę niemożliwie brudną i próbowała nią wciąż sączącą się krew zatamować. Odsunął gospodarz kobietę łagodnie, ale stanowczo.

– *Nein* – szepnął. Więcej słów po niemiecku nie znał, ale mówił dalej: – Za borem jest wieś, pewnie znasz. Koło mostku jest chata, tam pójdziesz i o pomoc poprosisz. Dadzą ci coś ciepłego, może jakoś ukryją. Ostatni ludzki zrobię uczynek, zanim złożę za spokój mojej rodziny starym bogom ofiarę.

Nie wiedział, czy pojęła; on sam w jednej chwili, na stare patrząc posągi, zrozumiał wszystko. I tę rozmowę z diabłem, któremu ucho i palce jako zadatek obiady oddał, i ten korowód upiorów, który z jego domu nie chciał odejść, i to zapomniane trzebiszcze, gdzie w kumirach wciąż mieszkali bogowie. Mieszkali i domagali się ofiary, czuł to. Gdzie, jeśli nie tu, i kiedy, jeśli nie w dziady, mógł ją złożyć i z tą nową, odzyskaną połączyć się ziemią?

Zanim Niemka zdążyła cokolwiek przedsięwziąć, dobył Wiesław ostrza i wbił go we własną klatkę piersiową. Popłynęła posoka ciepła jeszcze i gęsta, a Mokoszczuk ostatkiem sił zebra swoje rozwarł i serce na nóż nadziane spomiędzy nich wyjął. I chociaż świadomość powinna go dawno odejść, uniósł strzęp krwawy, jeszcze bijący, wysoko nad swoją głowę i modlić się zaczął, kiedy krew ciekła strumieniem po rękę, skapując na poznaczoną kałużami ziemię.

– Boże, któryś stworzył niebo z kamienia, a człowieka ulepił z chleba, zlituj się nade mną. W imię Peruna i Mokosz, w imię Welesa sprawiedliwego i ognistego Swaroga, Marzanny i Dziewanny, bogów dnia i nocy, sług Czarnoboga Szatana i Jezusa, stwórcy

nieba i ziemi.

\*\*\*

Pół roku po śmierci Bogny, która z gorączki już nie wyszła, odbył się ślub Dali z młodszym Hryciukiem. Zostawił im starszy gospodarkę, bo sam postanowił do armii wstąpić i nowy kraj pomóc budować. Zostali tedy w domu prawie sami: oni i ta kobieta, która przyszła z lasu w ojcowym płaszczu. Pomagała ziemię obrabiać za strawę i ciepły kąć, a że ani polskiego, ani ruskiego nie znała, tedy we wsi powiedzieli, że niemowa. Podejrzewali może co sąsiedzi, ale każdy swoje miał zmartwienia na głowie, a donosić na sąsiada, kamrata zza Buga, nie po bożemu przecie.

Patrzyła Dalejka czasem na ojca portret, na honorowym miejscu wiszący. Tylko ona już pamiętała, że kiedyś z malunku wyzierała poważna twarz Niemca, nie zaś Wiesława Mokoszczuka tajemniczy uśmiech. Cały rok obraz był tylko obrazem, jeno w dziady jakiegoś dziwnego blasku nabierał, kolorów jakiś, jakby stary gospodarz wracał, żeby dom swój wzrokiem ogarnąć.

I wiedziała Dała, że ojciec czuwa nad nimi, wszelki mrok z domu odpędzając.

rys. Izabela Wojciechowska



# PO STYCZNEJ

Stefan Grabiński

Wrzecki wyszedł z domu o trzeciej po południu.

Przedsięwziął dłuższą przechadzkę po mieście, by wśród bezcelowego bląkania się po ulicach, przekradania pomiędzy domami zagłuszyć katującą go od miesiąca zmorę myśli, przeciąć pasmo sylogizmów, uparcie rozciągających na torturach biedny mózg neurastenika.

Był rozstrojony do niemożliwości i wrażliwy na najdrobniejsze szczegóły życia wewnętrznego. Przed półrokiem przebył ciężką chorobę umysłową, która rzuciła na gangliony niezatarte ślady swego przebiegu, jak odpływ pozostawia na nadbrzeżnych ławicach wywleczone morszczyzny. Rozgałęziły mu się warstwą przybylczą, zrazu obcą,

Pasożytną, by po jakimś czasie włączyć się jako organiczne ogniwo i wytworzyć nowe skojarzenia i związki.

Dawniej trochę bezładny w myśleniu, zaczął teraz rozumować z bezprzykładną logicznością aż do męczarni, kształtować całe szeregi najnieprawdopodobniejszych teorii i teoryjek i poddawać się ich sugestywnej pseudooczywistości.

Wytworzył się tu pewien rodzaj wyobrażeń musowych, imperatywnych, którym nie ulec było dlań niemożliwością.

Bez wątpienia przyczyniły się do tego w znacznej mierze zarodki czegoś podobnego już z lat dzieciństwa. Podłoże ich było wtedy religijno-mistyczne. Niespełnienie np. jakiejś blahej czynności, niewykonanie jakiegoś gestu itp. groziło mu ściąganiem na się kary bożej, potępienia i przeróżnych nieszczęść. Samodręczycielstwo to wprawiało go czasami w rozpacz bez granic, gdyż skutą przesadną obawą umysł dziecka nie znachodził nigdzie wyjścia z katowni. W miarę rozwoju inteligencji obłęd mijał. Po przesileniu się nieszczęsnej choroby mózgu powrócił, chociaż w zmienionych znacznie kształtach.

Począł snuć z lodową logiką dzikie poglądy, układać szaleńcze teorematy i wypatrywać, czy przypadkiem nie znachodzą sprawdzianu w życiu go otaczającym. Najślabszy choćby cień czegoś w tym rodzaju nabierał w rozwydrzonej wyobraźni rysów pełnych, nasyconych i zniewalał go do poddawania się wnioskom stąd zajadle logicznym.

Doznawał dziwnej rozkoszy, ilekroć zdawało mu się, że jego „systematy” zdradzają jaką taką rację bytu.

Niemniej jednak zaznaczyć należy szczegół charakterystyczny, który poniekąd usprawiedliwiał go w niektórych wypadkach: istotnie zdarzały się nieraz okoliczności tego rodzaju, że dostarczały mu tworzywa dowodowego; życie jakby siliło się umotywwować bieg myślowy szczególnego osobnika. Lecz tu zaczyna się rozwiewna rubież słońca i nocy, jasności i mroków, grunt niepewny, torfiasty, wiecznie dymiący oparami, odurzający czadem. – Czy Wrzecki był obłąkańcem? Czy Wrzecki miał słuszność? – Może i jedno, i drugie. Dylemat bez wyjścia.

*W gleczerach bytu nieci słońce skrwawe ognie,*

*Iglice szczytów dyszą krwią...*

*Gleczerby bytu kwefy mgieł stulity,*

*Na cyplach ćmi się noc...*

*Czy prawdą mgły, czy krew?*

*I z słońca mgły się rodzą...*

Wrzecki już od godziny przecinał przecznice, krążył po najludniejszych placach, chodnikach, wystawał przed sklepami, czepiając się szklanym wzrokiem krzykliwych barw i kształtów...

Dzień był jesienny, przeniknięty sześciorożną dymów, wilgocią dżdżu. Z rozchwiei mgieł wysnuwały się jakieś twarze widmowe, maski zagadek, zacięte usta symbolów. Zdawało mu się, że każda z nich patrzy weń ze szczególnym wyrazem, jakby porozumiewawczo, z sennie-nudnym grymasem, poza którym kryła się świadomość prawdy wspólnej, tak dobrze obojgu im znanej, że się nawet nie ma co silić na jej podkreślanie.

Znużyły go twarze: przeszedł na odludną ulicę.

Była wypełniona po brzegi mlecznymi złożami oparów. Szedł ostrożnie, by nie natknąć na latarnię. Po pewnym czasie uczył na plecach czyjąś rękę:

– Serwus, Władek!

– A! to ty!... Nie poznałem – ale bo mgła zakuta!

Wrzecki serdecznie ścisnął podaną mu dłoń.

– Dokąd?

– Do prosektorium.

– A! Do trupiarenki, operacyjka? Krajanie nieboszczyka? Co?

– Coś w tym rodzaju.

– Co to za cenny szpargał w kieszeni?

– Rzecz dość ciekawa: *O samozatruciu u węzów*. Problem zajmujący. Kto wie – może i tam bywają tragedie?...

– Hm! Rzeczywiście. Ale ty się widocznie śpieszysz. Do miłego zatem!

Pożegnali się. – Wrzecki już miał skręcić w prawo, gdy wtem dogonił go kolega medyk.

– Ale, ale. Korzystaj ze sposobności, dopóki cię znów nie napadnie mania ślęczenia tygodniami w domu. *Mon cher*, radzę ci przejść się po wystawie. Oto akcja. Pyszne rzeczy, na honor! Parę niezrównanych szkiców i pejzaży i nasz stary w gronie asystentów: wściekła gęba! Wszyscyśmy pochwyceni jak złodzieje na gorącym uczynku. Setny chłop! No, serwus!

Wsunąwszy mu w rękę akcję, szybko oddalił się.

Wrzecki machinalnie zawrócił w stronę wystawy. Po jakimś czasie wynurzyło się pytanie:

Co też mu zależało na tym, bym oglądnał obrazy? Także!...

W chwilę później zastanowiła go własna ciekawość co do owych papierów, wyzierających z paltota młodego eskulapa.

A przecież, gdybym się nie był zapytał, nie dowiedziałbym się tytułu rozprawki. Cóż mnie to znowu tak zajęło?

Obok mignęło w przechodzie jak przez sen dwóch mężczyzn o czymś żywo rozprawiających. Doleciał go urywek dialogu.

– Ależ na miłość boską, niewiadomy panu powód szalonego?

– Owszem, mówią, że pojedynek amerykański! Wyciągnął podobno czarną...

Resztę zgłuszył turkot przejeżdżającego wozu, wchłonęła mgła.

Przecież to skończony idiotyzm zdawać się na takie rozstrzygnięcie sprawy – pomyślał.

Uczuł się bardzo znużonym: nerwowy ból głowy dokuczał mu nieznośnie. Usiadł na ławce pobliskiego skweru, wyjął papierosa i zapalił. Miejsce było zaciszne, wokół przekwitających krzaków róż jesiennych. Drobne, herbaciane płatki, spadłszy z pąkowiec, zatrzymały się tu i ówdzie na gałązkach lub rozsypały na trawniku w bezładny ornament. Na prętach dumały łzawo krople mgły; zarysowywał się wąski, przejrzysty pasek, opijał wodą, pęczniał, wahał się, by wreszcie stoczyć się wyraźnym kształtem kuli. Coś podchodziło kryjonym ruchem do świadomości, wkradalo się coraz dokładniej, natarczywiej... skryształizowało się.

Zastanówmy się. Czyś nie zauważył momentu wspólnego między spotkaniem z Brzegotą a fragmentem posłyszanej rozmowy? Aha! Jesteśmy na tropie. Samozatrucie u węzów i następstwa wyciągnięcia czarnej galki. Wybornie! Zachwycająco! Punkty zdradzają stylizację; możemy je połączyć.

Wrzecki był w wyśmienitym humorze: zwiertzył materiał dowodowy dla jednej ze swych „teorii”. Specjalny zapal do matematyki nie pozostał i tu bez wpływu na sposób jej ukształtowania.

Wychodząc ze systemu planetarnego, przedstawił sobie graficznie bieg życia rozmaitych jednostek i zdarzeń jako wydłużone elipsy, po których dany osobnik krążył na sposób punktu matematycznego. Linie te stanowiły dla siebie zwarte całości, ze swoistą organizacją, ideą, planem, wyłączną konstrukcją. Elipsy te jak stosunki ludzkie musiały się oczywiście wzajemnie krzyżować, przecinać w najprzeróżniejszych kombinacjach, oddziaływując na się odpowiednio do zgrupowania jednoplanowego; wszystkie bowiem musiały rozpościerać swe skręty li tylko w jednej płaszczyźnie. Elipsy o kierunkach wichrowatych jako wyobrażenia zdarzeń i życiowego biegu jednostek, zupełnie się

wzajemnie stykających, nie znalazły punktów przecięcia. Wśród tej zawilej sieci spostrzegł jednak Wrzecki, że krzywizny mogą się tak ustawić punktami największego rozmachu, że da się przez nie przeprowadzić linia prosta. Będzie nią styczna do elips łącząca ich kończyny poza obrębem pól. Linia chwilowych pozycji, które w najbliższym momencie mają się zmienić na inne, konsekwentne z poprzednimi, pogonić dalej w obranym kierunku własnego ustroju, a przecież w tej jednej chwili służą za punkty oparcia nieubłaganej prostej! Linia zupełnie przypadkowych zdarzeń, śmiesznie bezcelowych zestawień, dziwacznych do bezsensu zbiegów okoliczności.

A jednak Wrzeckiemu przedstawiała się sprawa nieco inaczej: nauczył się dostrzegać pewną stylizację w doborze punktów największych wychyleń. Widział coś więcej poza przypadkowością zszeregowań. Wedle niego można tu było wysledzić specjalny związek, mający na celu coś wskazać, coś odkryć, spełnić jakąś przeznaczeniową rolę wobec tego, czyją uwagę uderzyła wyjątkowa linia. Dotąd Wrzecki pozostawał ciągle w sferze teorii: rozumował. Nie natknął jeszcze na swą styczną w rzeczywistości, chociaż wierzył w możliwość jej realnego istnienia. Życie jego wirowało ciągle jeszcze jak u innych po normalnej elipsie, ulegało cierpliwie dośrodkowym siłom przeciętnych zdarzeń, niewzbudzającej podejrzeń wynikliwości wypadków, psychologicznych lub mechanicznych następstw. Niemniej był gotów w każdej chwili, za najmniejszym potrąceniem z zewnątrz, wypaść z toru i podążyć z fatalną szybkością po zabłąkanej koleinie; przeczuwał, że wtedy odśrodkowe działanie weźmie nad nim stanowczo górę i popchnie go, jak koło wyslizłe z pasów transmisji, w zawrotne dale. Powłókłby go tam urok niezwykłości i pochlebne sprawdzenie teorii – a może... przeznaczenie. Wrzecki był czcicielem rzeczy tajemnych...

Gdzie mogła zaprowadzić przypuszczalna droga, nie wiedział. Zależałoby to od rodzaju jej punktów wytycznych. W tej chwili miał wrażenie, że poczyna zbaczać; wywnioskował to z dwóch poprzednich zajść u wstępu do przechadzki. Ciemna siła wytrącała go powoli z przypisanego obiegu i pchała prosto przed siebie. Dokąd – jeszcze nie przeczuwał. Koniec stycznej ginął w nieprzejrzanym obszarze perspektywy. A może się tylko przedwcześnie łudził? Może skrzywienia tak przecież zbliżone do prostej. – Postanowił być cierpliwym i czekać.

Powstał z ławki i ruszył ku gmachowi sztuk pięknych. Po drodze uzupełniał ostatnie wywody.

Sprecyzujmy fakta. Obok ideowej ich łączności występują teraz dość wyraźnie okoliczności uboczne. Biegnie tu właściwie podwójna linia więźby. Po co namawiał mnie Brzegota do zwiedzenia wystawy? Widocznie na to, by mnie skierować na ulicę, gdzie

miałem spotkać tych dwu nieznanym. Gdybym był poszedł swoją drogą, uniknąłbym spotkania. Oczywiście! Ależ mogłeś dojść do galerii przez plac Zgody! Nie! W takim razie musiałbym się cofnąć bez potrzeby i dużo drogi nałożyć. Nie! Stanowczo należało skręcić w tę stronę. To jasne; stamtąd ta droga była jedyną. A więc Brzegota wprost popchnął mnie w objęcia tych panów. Kropka! Związek wykazowy. Zatem dobrze. Lecz jak u licha mnie to wszystko dotyczy? Do czego zmierza? – Spokojnie, tylko spokojnie! Rzecz się wyjaśni.

Przyspieszył kroku. – Zdenerwowanie i naprężona niepewność ujęły go w zwarte kluby. Jakiś ochryply głos przerwał tok dalszego rozumowania: po chodniku zataczał się pijany wyrobnik. Wrzecki chciał go wyminąć, lecz w tym momencie ujrzał przed sobą obrzękłą twarz i mdły obrzask alkoholu uderzył go w nozdrza. Człowiek wytrzeszczył nań krwią zaszłe białka i jakiś czas wpatrywał się z bezmyślną zadumą opoja. Nagle oczy jego przybrały wyraz piekielnego przerażenia; odsunął się gwałtownie i zaczął bełkotać na pół otrzeźwiony:

– Walek! Chryste Boże! A ty tu co robisz? Ludzi po dniu straszysz? Szczezaj, maro!

– Tylko bez głupstw! Proszę mi zejść z oczu, bo wezwę stójkę! No! Słyszał!

Na dźwięk ludzkiego głosu pijak oprzytomniał zupełnie.

– No, niech się pan ta nie gniewa. Nie ma czego. Sumiennie mówię, nie ma czego. Przywidziało mi się. Zwyczajnie przy niedzieli człek troszkę schlany. Ale bo też panisko podobniusięńki, jak dwie krople wody, do Walka. Jeno że z pańska ubrany, no i kapkę gładszy. A to chłopisko całe życie łąziło w łachmanach. Dalibóg! Tak samusięńko wyglądał z pyska, jak go oderznęli z haka. Widzi pan – powiesiła się bestia z głodu.

Wrzeckiemu zrobiło się nieswojo. Chciał już zboczyć w sąsiedni pasaż, lecz zarobnik, zmierzający snadź w tymże kierunku, począł go prosić z uporem pijaka:

– Niechże pan z łaski swojej nie idzie za mną w te pędy. Tak mi głupio jakoś, jakbym śmierć miał na karku. Lepiej już rozejdźmy się. O! tędy wolna droga... – i przepuścił go mimo w wąski zaułek, o parę kroków dalej. By się pozbyć natręta, ustąpił. Robotnik zanurzył się w podsienia przechodniej bramy.

– Popędził po swojej elipsie – mruknął odruchowo Wrzecki. – Podążył wyznaczonym sobie ściegiem. Dla niego to tylko nic nieznaczący epizod. Nawet nie domyśla się swej roli w ubiegłej sekundzie.

Otarł czoło; było zlane zimnym potem. Obudził się instynkt samozachowawczy.

Sprawa zaczyna być zanadto wyraźną, znaki rzucają się na spotkanie ze zbyt szczerym wylaniem.



Na mgnienie oka zabłysnął mu w oślepiającej jasności koniec opętańczej linii. Lecz starał się zgasić wizję wywodem:

Ależ to mnie nie dotyczy! I cóż stąd, że się temu pijanemu łązędze przewidział we mnie jakiś tam wisielec? To stanowczo mnie nic nie obchodzi, zawsze miałem wstręt do podobnej śmierci.

Wkrótce jednak uznał niedostateczność racji i przeciągnął linię po punkt trzeci. Był niemal zrezygnowany i dawał się powoli zasugestionowywać nowo odkrytej drodze. Wśród tego nie uszło jego czujnej uwagi, że właściwie nie może już zwiedzić wystawy, bo zboczył, poddając się uporowi pijaka. Umocnił się tedy w przekonaniu, że w samej rzeczy nie chodziło bynajmniej o to, by podziwiał imponującą grupę młodych lekarzy z obrazu, lecz by umożliwić mu dwa najbliższe spotkania; gdy te przysły do skutku, potracono go znowu w innym kierunku. – Przeźrocze szale motały się na przyczółach kamienic, wieszaly w wykrojach nieba między dachami.

Przez wąż ich tkaninę wnikały w parowy ulic lśnienia słońca nieśmiałe, zmatowane.

To szczególne! Właśnie teraz, gdy i sprawa zaczyna nabierać plastyki konturów. Czyżby i to pozostawało w związku?

Dostał nerwowej drgawki koło powiek. Nogi poczęły wykonywać niezależne już od woli powiewne ruchy; przed oczyma ćmiły się wiotkie szare płyty. Z trudem dowlókł się do odkrytej werandy jakiejś kawiarni i ciężko obsunął się na kozetkę. Podano mu dzienniki i czarną kawę. Wychylił szklankę łączywie i wglębił się we wstępny artykuł „Figara”. Coś mu przeszkadzało, nie mógł czytać swobodnie. Parę razy już odwrócił głowę i kręcił się niespokojnie na miejscu, daremnie usiłując otrząsnąć się. Wyczuwał nerwami czyjś wzrok na sobie. Wreszcie otwarcie zwrócił oczy w stronę, skąd go niepokojono. Dopiero teraz spostrzegł za stolikiem na prawo starszego już mężczyznę w żółtawym haweloku, z szyją owiniętą szczelnie almawiwą, który znać już od dłuższego czasu przypatrywał mu się z obrażającą ciekawością. Fizjonomia nieznanego łączyła w dziwnej zgodzie sympatyczność z oryginalnością. Pomarszczona, wyżółkła jak pergamin twarz, z szerokimi ustami, bez śladu zarostu, była stale nieruchoma jak maska starożytnego aktora: skóra na skroniach jakby przyschła do kości, które pod światło połyskiwały trupio-matowym lśnieniem. Wyglądał na uczonego podczas obserwacji dokonywanej na ciekawym okazie. Spod krzaczastych brwi wyzierały oczy specjalnej, zielonawożłotej barwy; tysiące fosforyzujących igiełek drgało tam szybkozmiennym ruchem jak w iskierniku baterii, nadając źrenicy wyrazu świetlanej przenikliwości; oczy te wżerały się literalnie w ciało i przepatrywały je na wskroś do najdrobniejszego włókienka.

Wrzecki zauważył, że nieznajomy nie patrzy mu w oczy, lecz studiuje raczej jego głowę na poziomie czoła. Już chciał podnieść się i zażądać wytłumaczenia od natręta, gdy ten wyprzedził go i wstawszy od stołu, począł krok za krokiem zbliżać się ku niemu, nie spuszczać oka z obranego punktu na czaszce. Wreszcie zatrzymał się tuż przed Wrzeckim i odezwał:

– Winszuję, serdecznie winszuję! To było celnie, co się zowie! Pi, pi, pi! I gdzie trafione! W sam ośrodek wzroku – po przejściu przez wyrostek szyszkowy. Panie – to było arcydzieło w swoim rodzaju! No – przyznaj się pan – oślepieś na dobre! Ho, ho, ho! Co widzę? *Krupp et Compagnie!* Średnica 9 mm, płaszcz stalowy prima sorta. – No, no, winszuję – w centrum wzroku, ni na milimetr w bok...

Wrzecki nie rozumiał. Był tylko silnie podrażniony dziwną przygodą – tym bardziej że zwróciła uwagę gości, których grupa otoczyła jego tabletkę. Wreszcie wykrztusił dławionym przez wściekłość głosem:

– Garson! Uwolnić mnie od tego wariata!

Lecz rozkaz okazał się zbytecznym. Nieznajomy, z palcem wyciągniętym ciągle ku jego czołu, począł cofać się powoli ku drzwiom, aż zginął w sąsiedniej sali. Widownia również rozprószyła się; tylko jakiś chudy, z angielska zakrojony gentleman nie ruszył się z miejsca, uśmiechnięty pod wąsem; robił wrażenie kogoś, który był niejednokrotnie świadkiem podobnych scen. Skłonił się lekko Wrzeckiemu i bez zapytania, zajmując obok krzesło, zagadnął:

– Jak widzę – nie sprawił panu szczególnej przyjemności występ wujcia Edzia?

– Czy mówi pan o tym wariacie?

– Właśnie. Nazywamy go wujciem Edziem; postać w naszej kawiarni powszechnie znana. Zachodzi tu w każdą niedzielę i święta. Fenomenalne połączenie sensytywa i szaleńca.

– Sensytywa?

– No tak. Musiał pan chyba słyszeć o tych wyjątkowych zdolnościach u pewnych anomalii; przed takim osobnikiem leży siatka nerwów, mięśni, system kostny, słowem, cały organizm ludzki jak mapa dróg kolejowych: przenika człowieka na wylot. Wujcio Edzio, niegdyś wcale tęgi lekarz, dorobił się, dzięki swej specjalnej zdolności, kolosalnej fortuny. Używano go do introspekcji przy operacjach; oddawał olbrzymie usługi. Potem nagle zwariował. Odtąd dostrzega w swych pacjentach niemożliwe rzeczy. Tak np. u mnie skonstatował w komorze sercowej ni mniej, ni więcej, tylko istnienie mikromilimetrycznej żabki. Dobry sobie, co? U pana znowu dopatrywał się w zwojach mózgowych...

– Czego?... – Wrzecki drżał z niecierpliwości.

– Jak to? Na serio nie zrozumiał pan nic z jego gadaniny? Prawda, że wujcio Edzio lubi tajemniczość i ubiera swą diagnozę we formy pytyjskie: dlatego potrzebuje interpretacji. Otóż u pana znowu zauważył w korze mózgowej po mistrzowsku wpędzoną kulę...

– Kulę?

– Ależ naturalnie, *Krupp et Comp.* – przecież to pierwszorzędna firma amunicji. Co to panu? Pan pobladł? No, nie bądźże pan dzieckiem! Także coś! Przejmować się bredniami starego bzika!

– Ma pan słuszność... zapomniałem się. Dziękuję za wyjaśnienia. Garson! Dwa szampany! Pozwoli pan, że naleję?...

Wychylił parę szklanek. Wrzecki nadaremnie starał się upić. W końcu zapłacił, pożegnał się z uprzejmym anglomanem i wyszedł.

Wyjaśniło się prawie zupełnie. Wzdłuż gzymsów murów, między szczytami drzew, po kopułach snuły się taśmy mgieł, rozwiewając się w przestworzach błękitu. Poprzez rozcieńczone żgła wcedzało się zachodowe słońce coraz soczystszą, dostalszą zabarwą. Wprost fizycznie odczuwał bolesne, rażące jego dotknięcia i wsuwał się skwapliwie między najciemniejsze zaułki pod ochronę cienia. Wyłoniła się jakaś nieuchwytna łączność między stopniowym wygrazaniem się słońca z oprzędzy mgieł a coraz wyraźniej zarysowującymi się konturami u kresu szalonej styczej. Tempo, w jakim obraz nabierał wyrazistości, wydało mu się stanowczo za szybkie; z ochotą by je zwolnił, gdyby to od niego zależało. Tak dotąd było dobrze błądzić między kotarami mglistych opon, tak ponętnie przemykać się nad krawędziami drzemających co krok przepaści... Lecz igraszka miała się ku końcowi: spoza zasłony poczęło przeglądać kuszone daimonium, by ukarać niepokojącego je śmiałka. Na wargi cisnął się gwałtem jeden wyraz, jedna definicja, która by określiła dotychczasowy bieg faktów. Wyrywała się na usta, dobywała przemocą do świadomości – lecz usiłował ją zawrócić tam, gdzie wzięła początek. Nadaremnie! Słońce goniło w ślad, prażyło oczy, twarz, głowę, miotало zabójcze razy w piersi. Staął na rogu jakiejś ulicy niepewny, dokąd się zwrócić. Gdzieś z czeluści bramy błysnęła mu para roznamiętnionych twarzy.

– Rozstajna 30.

– Dobrze, przyjdę. Jakaś ty dobra, jakżeś bezmiernie dobra...

Machinalnie powlókł się pod wskazanym adresem. Raz jeszcze zrobił rozpaczliwy wysiłek samoobrony.

– Po co ja właśnie tam idę? Ha, ha! *Die verhängnisvolle Gasse* – co?

Mimo to pędziło go w tamtą stronę. U zakrętu podniósł przypadkiem głowę; wzrok padł na wielki, błękitny afisz. Przebiegł punkt pierwszy programu:

„Signora Bellestrini, primadonna scen włoskich, odśpiewa jako przygrywkę: «Pepito, ach, tam wskażę ci, co czynić masz! Pepito, ach, ach, tam»” etc.

Dosyć. To wystarczy. Reszta niech służy do użytku publicznego.

W kwadrans później wstępował w klatkę schodową podanego numeru. Dom był trzypiętrowy: nasunęły się pewne wątpliwości co do piętra.

Nic nie będzie z tej głupiej farsy, jeśli nie będę miał dokładnej wskazówki! – postanowił twardo.

W tejże chwili dało się słyszeć skrzypienie stopni z dołu; ktoś biegł za nim po schodach i minął go.

– Może to przewodnik?

Tamten tymczasem wstępował już na drugie piętro.

Zatrzymał się na platformie. Wrzecki poszedł za nim.

Na korytarzu drugiego piętra zastał nieznanego, jak odczytywał na drzwiach czyjąś wizytówkę. W chwili gdy Wrzecki dosięgnął ostatniego stopnia, odwrócił się ku niemu i popatrzył mu prosto w oczy, po czym natychmiast zaczął się wspinać na trzecie schody.

– Dziękuję! – krzyknął niemal Wrzecki, który w spojrzeniu obcego dostrzegł szczególnie, jakby porozumiewawczy wyraz.

Więc to tutaj... Przyznać jednak potrzeba, że pilnują mnie do ostatniej chwili. Co za usłużność – proszę!

Bez wahania otworzył drzwi, pod którymi parę chwil temu zastał „przewodnika”. W tejże sekundzie rozległ się w głębi mieszkania suchy trzask. – Wszedł do środka: w blaskach zachodu wlewającego się strugami w pokój stał młody człowiek z lufą rewolweru skierowaną ku czołu; widocznie w chwili wejścia Wrzeckiego usiłował strzelić, lecz broń odmówiła posłuszeństwa. Spozrzegł wchodzącego, jak skamieniały, nie zmienił pozycji. – Wrzecki ze skrzyżowanymi rękami studiował go:

– Pyszny obraz! Co za dokładność w liniach, wykończenie w szczegółach i oświetlenie, przede wszystkim to oświetlenie... Ależ pan jest niezrównanym typem – pardon! – modelem samobójcy! Co mówię! – Z pana sobowtór prasamobójcy!...

Wyrwał mu gniewnie z ręki rewolwer.

– No, dość tego! To nie dla pana zabawka! Kochany pan się pomylił. Ale to nic nie szkodzi. Inaczej nie mógłbyś spełnić swej roli. Co? Powie mi pan o zawiedzionej miłości lub długu honorowym? Fraszki, młodzieńcze, fraszki! Miałeś być tylko obrazem, symbolem dla kogo innego! Rozumie kochany pan? Dlatego maszynka spudłowała. „Pepito, ach, Pepito, ach, tam wskażę ci, co czynić masz”... Wesola aryjka, nieprawdaż?

Obejrzał magazyn.

– Aha! starczy jeszcze na jeden strzał. Świetnie! Wie pan – to będzie zabawne *qui pro quo*...

Zmarszczył czoło:

– Ale, ale! Pan może mieć pewne nieprzyjemności – zawsze to w pańskim mieszkaniu... Wie pan co... powiesz im, że przyczyną była: stylizacja przypadku... a pan byłeś jej ostatnim, szczytowym punktem... Tak, tak pan powie... I pomyśleć tu, że gdybyś się tak był zdecydował parę minut wcześniej, no, no! – Spojrzał na zegarek, równocześnie odwodząc kurek. – Szósta. A jednak ja sam, wychodząc dziś o trzeciej z domu, nie byłbym nigdy przypuścił, że za trzy godziny...

– Co??

– Ot, co!... – Błyskawicznym ruchem przyłożył sobie lufę do skroni i pocisnął. Tym razem broń nie zawiodła: runął martwy w słoneczny ekran posadzki.

# Guślarz, Ligeja i Wendigo

Kreacje obrzędu dziadów w literaturze grozy

Martyna Major

Życie w czasach wszechogarniającego komercjalizmu, kierującego uwagę człowieka w stronę tego, co doczesne, znane, wartościowane dodatnio przez ogół społeczeństwa, powoduje odejście od elementów stanowiących korzenie, fundament naszej egzystencji i wiary. W wigilię dnia poświęconego świętym i błogosławionym słyszy się już wyłącznie o Halloween, przebraniach, łakociach podarowanych przez nowoczesne matki nieznaną tradycji dzieciom. Umyka zaś prawdziwy wydźwięk tego dnia. Zanika to, co działo się dawniej, gdy brzmiało złowieszcze *ciemno wszędzie, głucho wszędzie...* (D, s. 3). Mam zatem ogromną przyjemność podjąć próbę odnalezienia śladów owych dawnych, tajemniczych wydarzeń oraz ukazania, że nie zawsze i nie wszędzie starano się zastępować nowymi zwyczajami dawne wierzenia.

Starosłowiański zwyczaj dziadów, obchodzonych tradycyjnie w Dzień Zaduszny, kultywowany był na obszarze dzisiejszej Litwy, Polski, Białorusi i Ukrainy. Celem spotkań żywych z umarłymi było przede wszystkim pragnienie zdobycia przychylności duchów, zapewnienie sobie powodzenia, odpędzenie widma obecności tego, co rozstało się już ze światem materialnym. Pojawia się więc pewien paradoks. Zbierający się w konkretnych miejscach kultu, na cmentarzach lub w domach, ludzie przywoływali duchy przodków, lecz równocześnie bali się skutków owego zaproszenia. Chcieli spełnić warunki pradawnego obrzędu karmienia i pojenia dusz, ale obawiali się, że raz zaproszeni, zmarli nie odejść tak łatwo. W ten właśnie sposób przedstawia zgromadzoną w kaplicy cmentarnej zbiorowość Adam Mickiewicz. Zbiorowość, która każdorazowo żegnała przychodzące duchy srogim nakazem: *Nie chcecie jadła, napoju/ Zostawcież nas w pokoju!/ A kysz, a kysz!* (D, s. 5).

Motyw dziadów, bardzo mocno łączący się z przywoływaniem duchów, przeniknął do kultury oraz do literatury. Stał się toposem nośnym, uniwersalnym. Od wieków ludzie starali się dostąpić możliwości kontaktu z umarłym. Dlatego też literatura, zwłaszcza zaś literatura grozy, dokonała swoistej aneksji słowiańskiego obrzędu. Przekształcono go znacznie, dostosowano do fabuły, wymagań czytelników i wydawców. Lecz istota pozostaje taka sama – jest nią próba spotkania z nieznanym, obcym, odmiennym. Nie można zatem dzisiaj mówić o całkowitym odwzorowaniu toposu. Można jednak dopatrywać się w odległych tematycznie dziełach przeblysków, pozwalających na utwierdzenie się w przekonaniu, że jest on nadal żywy.

Swoje próby odszukiwania owego motywu w literaturze grozy pragnę odnieść do pewnych elementów świata przedstawionego, tożsamyh w obrzędzie dziadów oraz w utworach literackich stanowiących ich pośrednią lub bezpośrednią spuściznę. Będą to: specyficzna przestrzeń, czas oraz działania uczestników obrzędu i „kapłanów”. Odwołam się do dwóch tytułów, moim zdaniem trafnie odwzorowujących elementy obrzędu dziadów: *Cmentarza zwieżąt* Stephena Kinga oraz noweli Edgara Allana Poe *Ligeja*.

W przypadku święta zmarłych, kultywowanego w starsłowiańskim społeczeństwie istotne były miejsca, gdzie starano się zadośćuczynić umarłym trudy ich odejścia, nagrodzić ich i przekonać, by nie podejmowali wysiłków powrotu do krainy żywych. Najczęściej obrzędy dokonywane były na cmentarzach lub w przycmentarnych kaplicach, rzadziej w prywatnych domach. Któż bowiem chciał rozmawiać z duchami w przestrzeni, w której później przyszło mu egzystować...

Motyw cmentarza, stającego się teatrem śmierci i zmartwychwstania, pojawia się w jednej z popularnych powieści Stephena Kinga zatytułowanej *Cmentarz zwieżąt*. Czytelnik poznaje sympatyczną amerykańską rodzinę z dwójką małych dzieci. Dramat rozpoczyna się później, gdy ginie ukochany kot córki, a zrozpaczony ojciec podąża za nowo poznanym przyjacielem do obszaru leżącego za tytułowym Cmentarzem Zwieżąt, do stworzonego przez dawne plemię Micmaców cmentarzyska, gwarantującego odrodzenie złożonego w nim ciała. Ów cmentarz, bardziej nawet niż tworzone przez okoliczne dzieci miejsce spoczynku dla ich nieżyjących zwierzęcych przyjaciół, ujawnia podobieństwo do przestrzeni wydarzeń *Dziadów*. Kryje on w sobie moc silniejszą niż ludzka śmierć. Ludzie odprawiający starsłowiański zwyczaj wierzyli, że dusze zmarłych znajdują się tego specjalnego dnia blisko nich, stoją niemal obok żywych. Byli traktowani na równi z żyjącymi, ponieważ prócz swojej historii dysponowali również mocą. Mocą czynienia dobra, lecz także mocą czynienia zła. King, nieświadomy zapewne tradycji starsłowiańskich, buduje swoją opowieść na idei

zmarłych, wyrwania zmarłych ze szponów śmierci. Louis Creed, lekarz internista – człowiek tak zwyczajny, że bardziej zwyczajnym być się już nie da, doprowadza do wskrzeszenia kota, później zaś syna i żony. Lecz, podobnie jak w wyobrażeniach ludzi wierzących w obrzęd dziadów, odrodzeni – wracający do świata, stają się innymi istotami, odmiennymi od tych, którymi byli przed swoją śmiercią. Nie zawsze przypominają oni cierpiącego i wrażliwego Upiora, bohatera jednej z ballad Mickiewicza. Wykazują raczej podobieństwo do tworzonych przez drugorzędne wytwórnie filmowe postaci zombie, zaślepionych złem i chęcią zemsty. Autor wskazuje na te cechy, przedstawiając historię młodego żołnierza, poległego na wojnie i następnie ożywionego przez ojca na cmentarzu Micmaców. Timmy stał się potworem:

*Z rękami zwisającymi bezwładnie po bokach, głową lekko pochyloną i wysuniętą do przodu i sterczącym podbródkiem. [...] Jego oczy... jego oczy wyglądały jak martwe. Martwe i mętne niczym szklane kulki. [...] Był przebiegły, jak wtedy gdy powiedział pani Stratton, że chciałby się z nią zabawić. Coś działo się w jego głowie, [...] ale to nie było myślenie i wątpię, by miało wiele wspólnego – może w ogóle nic – z Timmym Batermanem (CZ, s. 272).*

Można pokusić się o stwierdzenie, iż King wizualizuje obawy i lęki Słowian, pragnących odegnać duchy przodków od swoich domostw, od swojego życia – bezpiecznego, o ile skupionego na codzienności. Dowodzi tym samym, że obawy te są uniwersalne. Ludzie dziś, podobnie jak kilka wieków temu, boją się tego, co może nadejść zza zasłony śmierci, ponieważ zdają sobie sprawę, że przejście przez granicę stanowi krok nieodwołalny, przekształcający to, co znane, w to, co nieznanome.

Poe również koncentruje akcję swojego opowiadania na pewnych centralnych punktach, określających przestrzeń, w której rozgrywają się wydarzenia. Mniej istotne wydają się opowieści narratora, datowane na czas małżeństwa z tytułową Ligeją oraz sam moment jej śmierci. Dostarczają one informacji o obojgu bohaterach, lecz mają miejsce niejako przed tym, co nazwać można akcją właściwą. Akcja rozpoczyna się bowiem dopiero w momencie, gdy bohater wydaje pozyskane dzięki małżeństwu pieniądze i kupuje stare opactwo, jawiące się jako opuszczony, nawiedzany przez odległe siły dwór. Ciemne, zimne, gotyckie dworzyszczce staje się miejscem akcji jednej z najstraszniejszych opowieści amerykańskiego prozaika. Najgroźniejsza zaś okazuje się umiejscowiona na szczycie wieży komnata o kształcie pięcioboku, którą narrator i zarazem główny bohater wybrał na sypialnię dla siebie i swojej nowo poślubionej żony – Lady Roweny. Znamienne jest już samo nawiązanie do pięcioboku, identyfikowanego w historii jako kształt zarezerwowany dla nagrobnych obrazów, sytuowanych na trumnie zmarłego. Kształt komnaty staje się zapowiedzią śmierci



bohaterki oraz momentu przerwania granicy pomiędzy życiem i śmiercią. Ponadto, każdy z boków komnaty „ozdabiały” *ogromne sarkofagi, wydobyte z grobów królewskich opodal Luksoru* (ON, s. 66). Już sam ten element upodabnia miejsce wydarzeń do scenerii cmentarnej, widocznej jako tło obrzędów dziadów. Uczucia niepokoju graniczącego wręcz ze strachem dopełniały nieustannie poruszające się obicia ścian sypialni.

*Przeogromne, aż rażąco wysokie ściany były okryte od góry do dołu sutymi fałdami grubych, ciężkich opon. [...] Za oponami krążył nieustannie sztucznie tam wprowadzany silny prąd powietrza i wzmagał jeszcze widmowość wrażeń, darząc wszystko rozedrganym, ohydny życiem* (ON, s. 67).

Czytelnik odnosi zatem wrażenie, iż akcja noweli rozgrywa się rzeczywiście w jakimś surrealistycznym śnie, nie zaś w zamczysku leżącym zapewne w jednej ze staroangielskich wsi. Poe nadaje przestrzeni cechy żywej istoty. Stworzenia, panującego nad zmysłami ludzi na podobieństwo wiary – ślepo nakazującej wyznawcom podążać utartymi ścieżkami i zawierzać temu, co zdaje się tylko wytworem wyobraźni.

Obrzędy dziadów, jak informują źródła historyczne, miały miejsce kilka razy do roku. Jednak najważniejsze uroczystości przypadały nieodwołalnie na początek listopada. Stąd przecież wywodzi się święto Wszystkich Świętych oraz, bardziej chyba zbliżony do starosłowiańskiego zwyczaju, Dzień Zaduszny. Obyczajowi temu wierny pozostaje Poe, u którego dzień powrotu do życia Lady Ligei przypada jesienią, na przełomie września i października. Sugestia ta skłania do spojrzenia na wydarzenia z opowiadania jako na kontynuację rytmu pór roku, obrazującego przekształcanie się życia na Ziemi. Małżeństwo pomiędzy narratorem i Roweną zawierane jest latem, w obliczu rozradowanej, pełnej życia i energii przyrody. Jest początkiem czegoś nowego, twórczego, choć skażonego pamięcią zimy – Ligei. Stopniowo, wraz z przechodzeniem lata w jesień, młoda żona zaczyna słabnąć, by ostatecznie skonać wraz z końcem września. Lady Rowena i Lady Ligeja – symbolizujące w tym przypadku życie i śmierć, walczą ze sobą. Ostatecznie wygraną pozostaje śmierć, która triumfująco wraca na świat pod postacią pierwszej żony narratora. Dziady opierały się właśnie na próbie zapobiegania takiemu stanowi rzeczy. Ludzie składali ofiary na grobach nie z radości i czci, raczej ze strachu i obawy, że zmarli postanowią wrócić. Starano się przebłagać przychodzące duchy, zachować dystans, nie zaś radować wraz z duszami zmarłych. Poe nie oszczędza narratorowi tego rodzaju spotkania. Co więcej, przeznaczona dla niego męką długiego oczekiwania, podsycanego szaleńczym strachem w momencie, gdy ciało wstaje z katafalku i poczyną powoli zmierzać w kierunku znajdującego się w komnacie bohatera.

O ile w noweli autora *Kruka* dostrzec można elementy synonimiczne pod względem czasu akcji w kontekście pór roku, o tyle w przywoływanym już dziele Kinga kwestia dotyczyć będzie pory dnia. Wszystkie momenty, gdy bohater przekracza granicę świata materialnego i sfery przeznaczonej dla duchów i starych kultów, następują nocą. Co prawda pierwsza wycieczka na Cmentarz Zwierząt, w której udział biorą wszyscy członkowie rodziny Louisa, odbywa się w słoneczne popołudnie. Lecz, równocześnie, nikt wówczas nie chce przekraczać granicy, którą stanowi drewniany wiatrołom. Granicy rozdzielającej serdeczną miłość dzieci do ukochanych zwierząt – stanowiącą podstawę istnienia tytułowego cmentarza – od mrocznego miejsca nawiedzanego przez Wendigo, prastarą istotę, potwora nadającego powracającym do życia postaciom złe, psychopatyczne cechy. Każda z trzech wypraw Louisa miała jeden nadrzędny cel – odwrócenie wyroków śmierci. Sprowadził do powtórnego życia kota, syna oraz, w końcowej części książki, żonę. Dwukrotnie bohater dotarł na cmentarzysko Micmaców nocą, raz wczesnym rankiem. Jednak wówczas jego przywrócona do życia żona pojawia się w domu wieczorem – pod osłoną nocy. Zasadne wydaje się zatem stwierdzenie, że noc musi zawierać się niejako w owych samotnych wędrówkach do źródeł złej, niszczycielsko-kreacyjnej energii. Niszczycielskiej, ponieważ trawi umysł Louisa, doprowadza do momentu wyczerpania nerwowego. Lecz równocześnie kreacyjnej, nadającej nowe cechy przywoływanym do życia ciałom, tworzącej niemal na nowo to, co kochający człowiek chciał przywrócić z martwych. Noc jest warunkiem – prośby albo powrotu.

Kolejnym elementem, koniecznym do zaistnienia obrzędu, do jego właściwego przeprowadzenia, jest kapłan, nazywany w *Dziadach* Mickiewicza Guślarzem. Stoi na czele gromady, dopełnia obrzędów, czuwa nad ich poprawnym wykonaniem. To on zostaje przeznaczony do kontaktu z nadchodzącymi duchami. Pomimo upływu lat, zmian kulturowych i światopoglądowych, nadal potrzebny jest nauczyciel – skłonny przekazać nowemu uczniowi swoją wiedzę i doświadczenia.

King bardzo mocno akcentuje ową zależność, bowiem rolę nauczyciela i mistrza powierza bohaterowi nazywanemu przez Louisa „drugim ojcem”. Rola i znaczenie Juda wychodzi na jaw już w zdaniu rozpoczynającym całą opowieść:

*Louis Creed stracił ojca, gdy miał zaledwie trzy lata; nigdy nie poznał swych dziadków i nie oczekiwał bynajmniej, że wkraczając w wiek średni, znajdzie nowego ojca, jednakże tak właśnie się stało – choć, jak wypada dorosłemu mężczyźnie, spotykającemu tak późno człowieka, który winien odgrywać tę rolę, nazwał go przyjacielem. (CZ, s. 9)*

Stopniowo zauważyć można coraz mocniejsze przywiązanie młodego lekarza do nowo poznanego sąsiada. Nieustannie rośnie również zaufanie, podsycane miłymi gestami Juda.

Prawdziwa nauka rozpoczyna się jednak w momencie, gdy zastępczy ojciec pokazuje Louisowi miejsce znajdujące się za wiatrołomem – ową granicą, o której mowa była nieco wcześniej. Wówczas przeradza się on z przyjaciela w nauczyciela i przewodnika. Pewnie stąpa po mokradłach, bagnach i innych niebezpiecznych miejscach, by wskazać zrozpaczonemu Louisowi drogę na miejsce ceremonii. Po dotarciu do cmentarza Micmaców zapoznaje młodego bohatera z kolejnością działań, lecz nie wprowadza go dokładnie w cel nocnej wycieczki. Louis nadal myśli, że nadrzędnym powodem wyprawy jest chęć pogrzebania martwego kota – Churcha. Dopelnienie następuje dopiero kolejnego dnia, gdy Church triumfalnie wchodzi do garażu domu Louisa, sprawiając wrażenie nieco zdezorientowanego, lecz jak najbardziej żywego stworzenia. Poznanie całej historii zmartwychwstania zwierzęcia pozwala zakwalifikować wszystkie prowadzące do tego faktu działania do kategorii ceremonii, obrzędu. Znacząca jest duża częstotliwość, z jaką zanoszono zwłoki – skądinąd bardzo różnorodnych stworzeń – na stary indiański cmentarz. Od wielu lat – w książce ukazano to za pomocą sędziwego wieku Juda, nadmieniającego, iż cmentarz istniał już w czasach jego młodości – miejsce to stanowiło tabu zamieszkującej Ludlow społeczności. Było powodem strachu, lecz równocześnie nadziei. Przedstawiony przez Kinga starszy, niczym niewyróżniający się Jud nabiera uniwersalnego znaczenia. Jest przewodnikiem, podobnie jak przewodnikiem był Guślarz, stanowiący medium pomiędzy żywymi i umarłymi. Louis sam nie byłby w stanie trafić na cmentarz Micmaców, ponieważ był obcy w nowej społeczności. Nie posiadał wiedzy w zakresie tradycji i obyczajów zbiorowości. Guślarz – Jud zapoznał go z nimi, równocześnie uwalniając się od swego rodzaju klątwy wiszącej nad osobą, która jako ostatnia zakopała coś na pradawnym cmentarzysku. Krótko mówiąc – przyczynił się do zagłady Louisa i całej jego rodziny.

Nieco inaczej kwestię przewodnictwa akcentuje Poe. Eliminuje on rolę pośrednika pomiędzy żywym narratorem i jego zmarłą żoną – Ligeją. Właśnie owa więź, spowodowana przez małżeństwo oraz głęboką miłość i przywiązanie łączące obojga bohaterów, pozwala mu rozważyć usunięcie medium umożliwiającego komunikację. Można co prawda doszukiwać się pewnych informacji, dających motywację do uznawania Lady Roweny za medium – wszak to ona dostarczyła Ligei „materiału”, ciała, które ta mogła objąć w posiadanie. Jednakże, nadrzędnym powodem powrotu z zaświatów pierwszej żony narratora staje się wola – owa *wola, co nie umiera* (ON, s. 58). To obustronne pragnienie ponownego połączenia spowodowało, że Ligeja mogła przekroczyć granicę śmierci. Brak tu zatem obecności przewodnika w dosłownym tego słowa znaczeniu. Obrzędowi nie przewodniczy Mickiewiczowski Guślarz ni żaden kapłan, powołujący się na znajomość kwestii

metafizycznych. Poe posługuje się motywem powrotu z martwych, by uświadomić czytelnikowi siłę ludzkiego umysłu oraz moc więzi łączących dwoje ludzi. Narrator przywołuje żonę z zaświatów poprzez usilne prośby, zaklinania. Posiada zatem ogromną moc, pozwalającą na rozerwanie kurtyny rozdzielającej świat doczesny od świata zmarłych. Medium, o ile w tym przypadku można w ten sposób mówić, jest zatem nie Lady Rowena, lecz miłość dwojga postaci. Wątek ów przywołuje na myśl postać jednej z bohaterek dramatu Mickiewicza – pasterki. Kiedy przybywa do zgromadzonej w kaplicy ludności, mówi:

*Żyłam na świecie; lecz, ach! nie dla świata!  
Myśl moja, nazbyt skrzydlata,  
Nigdy na ziemskiej nie spoczęła błoni. [...]  
Do tych pasterzy goniłam stada,  
Którzy mą wielbili krasę;  
Lecz żadnego nie kochałam (D, s. 12)*

Zasadniczym problemem, niszczącym widmo wiecznego szczęścia w raju, jest dla niej brak miłości. Nie zaznała uczucia, które mogłoby ją przekształcić, zmienić, spowodować stworzenie więzi z drugim człowiekiem. W opowiadaniu Poe'go jest zgoła odwrotnie. Bohaterowie połączyli się tak mocno, że przerwanie połączenia okazało się niemożliwe. Dlatego też autor nadaje obojgu moc i rolę przewodników – mistrzów ceremonii. Większą zasługę ma w tym przypadku Ligeja, ponieważ to ona wykazuje się inicjatywą powrotu. Z drugiej jednak strony, to rozmyślanie, wspomnienia i nieustanny hołd ze strony narratora dają bohaterce szansę na zmartwychwstanie.

Wspomnieć należy jeszcze o jednym czynniku koniecznym do zaistnienia obrzędu. Są nim ludzie, wierzący głęboko w możliwość połączenia się z duchami przodków poprzedzających ich w ostatniej – duchowej podróży. Teoretycy literatury wielokrotnie podkreślają, że konstytutywnym warunkiem każdej wiary są wyznawcy. Wraz z odejściem wierzących następuje śmierć bóstwa. Słowiańskie dziady cieszyły się ogromną popularnością, były obrzędem sprawowanym przez całe społeczności. W opisywanych przeze mnie dwóch utworach kwestia ta ukazana jest w sposób odmienny. King pozwala części społeczeństwa zamieszkującego Ludlow na dostęp do wiedzy o tajemnicy cmentarzyska Micmaców. W ten sposób oddaje bóstwu – Wendigo, niebezpiecznie podobnemu do chrześcijańskiego wyobrażenia śmierci czyhającej na żywych w pobliżach miejsc wiecznego spoczynku – status obiektu czci. Jeżeli istnieli ludzie, którzy zawierzili opowieści o cudownych wskrzeszeniach

zakopanych na cmentarzu zwłok, to stanowili oni – nawet w sposób nieświadomy – czciciele Wendigo, bóstwa powodującego owe zmartwychwstania. Istotny jest fakt, iż autor nie wprowadza do swojej opowieści żadnych elementów związanych z religią i wierzeniami, prócz wspomnianego kultu bóstwa śmierci. Wendigo żyje, bo żyją ludzie, którzy wierzą. Podobnie jak dziady odprawiane były, ponieważ istnieli przewodnicy oraz społeczność zawierająca tradycje i ufająca, że przeznaczona duszom ofiara pozwoli im ustrzec się od ingerencji umarłych w sprawy materialne.

Szczególnie trudno pisać w tej kwestii o bohaterach opowiadania Poego, ponieważ narrator wielokrotnie podkreśla, iż bardzo zależy mu na izolacji od innych, zwłaszcza zaś od dużych społeczności. Nieprzypadkowo kupuje domostwo znacznie oddalone od siedzib ludzkich. Nawet w obrębie swojego domu wybiera część znajdującą się w możliwie największej odległości od pokoi, w których przebywa służba. Opisując sytuację strasznej nocy zmartwychwstania, posługuje się on słowami:

*[...] wieża zbyt była oddalona od skrzydła opactwa zamieszkiwanego przez służbę – dowołać się jej nie było można – i nie było jak jej zawezwać bez wychodzenia na czas jakiś z komnaty. (ON, s. 70)*

Można zatem pokusić się o stwierdzenie, iż narrator – w pewnym sensie całkiem nieświadomie – tworzy teatr przeznaczony wyłącznie dla trojga widzów – jego samego, umierającej Roweny oraz odradzającej się Ligei. Nie sposób doszukać się zatem, przynajmniej w tej kwestii, podobieństwa do dziadów. W utworze Poego jest to bowiem obrzęd przeznaczony wyłącznie dla jednej duszy i jednego kapłana.

Analiza czterech wymienionych powyżej czynników pozwoliła na ukazanie dużej liczby podobieństw, wskazujących na próby kontynuowania motywu dziadów w literaturze grozy. Ważne jest również, by czytelnik dostrzegł rozbieżność obu cytowanych i opisywanych tekstów. Edgar Allan Poe – rówieśnik Juliusza Słowackiego, pisał swoje opowiadania w wieku XIX, zaś Stephen King przynależy do kategorii literatury najnowszej – współczesnej. Jednak, pomimo różnic, oba teksty są budowane na podobnej strukturze – nadziei na zmartwychwstanie. Obydwa kończą się w sposób raczej pesymistyczny. Louis w stanie załamania nerwowego, graniczącego chwilami z szaleństwem, podąża na cmentarz Micmaców, by ożywić zamordowaną przez zmartwychwstałego wcześniej dwuletniego syna żonę. Ta ostatnia wyprawa, powodowana w dużej mierze poczuciem winy i wyrzutami sumienia, sprowadza na bohatera śmierć. Żona wraca, lecz nie taka sama. Wraca naznaczona śmiercią i przestrzenią grobu. Akcja opowiadania *Ligeja* kończy się w momencie, gdy narrator zaczyna rozumieć, co wydarzyło się w trakcie nocy, akceptować powrót Ligei. Lecz

ostatnie zdanie przez niego wypowiedziane: *To wyraziste, czarne, nieodgadnione oczy miłości, co mnie odeszła – to oczy Ligei – LADY LIGEI* (ON, s. 72), podkreślone dodatkowo użyciem wersalik, raczej nie powoduje u czytelnika wrażenia triumfu życia nad śmiercią. Wywołuje ono bardziej strach przed tym, jak wyglądać będzie dalsze życie narratora, życie dzielone z Ligeją. Dla bohaterów obu tekstów dramat nie kończy się wraz z ostatecznym zakończeniem obrzędów dziadów. Obaj muszą radzić sobie z sytuacją, którą sami spowodowali.

Myślę, że dotychczasowe rozważania pozwalają na wysnuć kilku zasadniczych wniosków. Po pierwsze, utwory oparte (lub przejawiające podobieństwo) na motywie dziadów powstawały już od czasów najdawniejszych, powstają i, prawdopodobnie, powstawać będą. Przewidywania te łączą się z uniwersalnością i nośnością motywu kontaktu świata materialnego ze światem duchów, zmarłych. Po drugie, obszarem, który w najmocniejszy sposób ukazuje owe tajemnicze obyczaje i tradycje jest literatura grozy, sama z siebie stworzona, by straszyć, niepokoić, zaspokajać ciekawość. Po trzecie i ostatnie, nie jest koniecznym wymogiem, by autorzy tekstów znali i dokładnie rozumieli obyczaj czy też pewne zespoły cech do niego nawiązujących. Dwaj przedstawieni przeze mnie pisarze prawdopodobnie nie mieli pojęcia o starosłowiańskim obrzędzie dziadów odprawianym w listopadzie w środkowej i wschodniej Europie. Najistotniejsze zdaje się bowiem w tym momencie specyficzne porozumienie, łączące wszystkich tych, którzy pragną odkryć tajemnicę śmierci oraz przezwyciężyć jej wszechobecne panowanie.

Przytaczane cytaty pochodzą z następujących wydań:

A. Mickiewicz, *Dziady*, wyd. Czytelnik, Warszawa 1980.

E. A. Poe, *Opowieści niezwykłe*, wyd. Siedmoróg, Wrocław 1997.

S. King, *Cmętarz Zwieżąt*, wyd. Prószyński i S-ka, Warszawa 2013.



YES



NO

SHRED PERSPECTIVES WORKS  
DESIGN



DARK ART  
AND DESIGN

GOOD BYE

# PARTNERZY



**STRASZNE-HISTORIE.PL**  
ODWAŻYSZ SIĘ?!







Jeśli  
piszesz  
horro-  
ry,  
wiedz,  
że HIS-  
TERIA  
się  
tobą  
intere-  
suje

Czekamy na Wasze historie! Zakres tematyczny jest bardzo szeroki. Im bardziej będziemy się bać czytając Wasze prace, tym lepiej.  
Długość tekstów od 5 do 15 stron znormalizowanego maszynopisu (1800 znaków ze spacjami na stronie).

Teksty należy przesyłać na adres:

[magazynhisteria@gmail.com](mailto:magazynhisteria@gmail.com)

